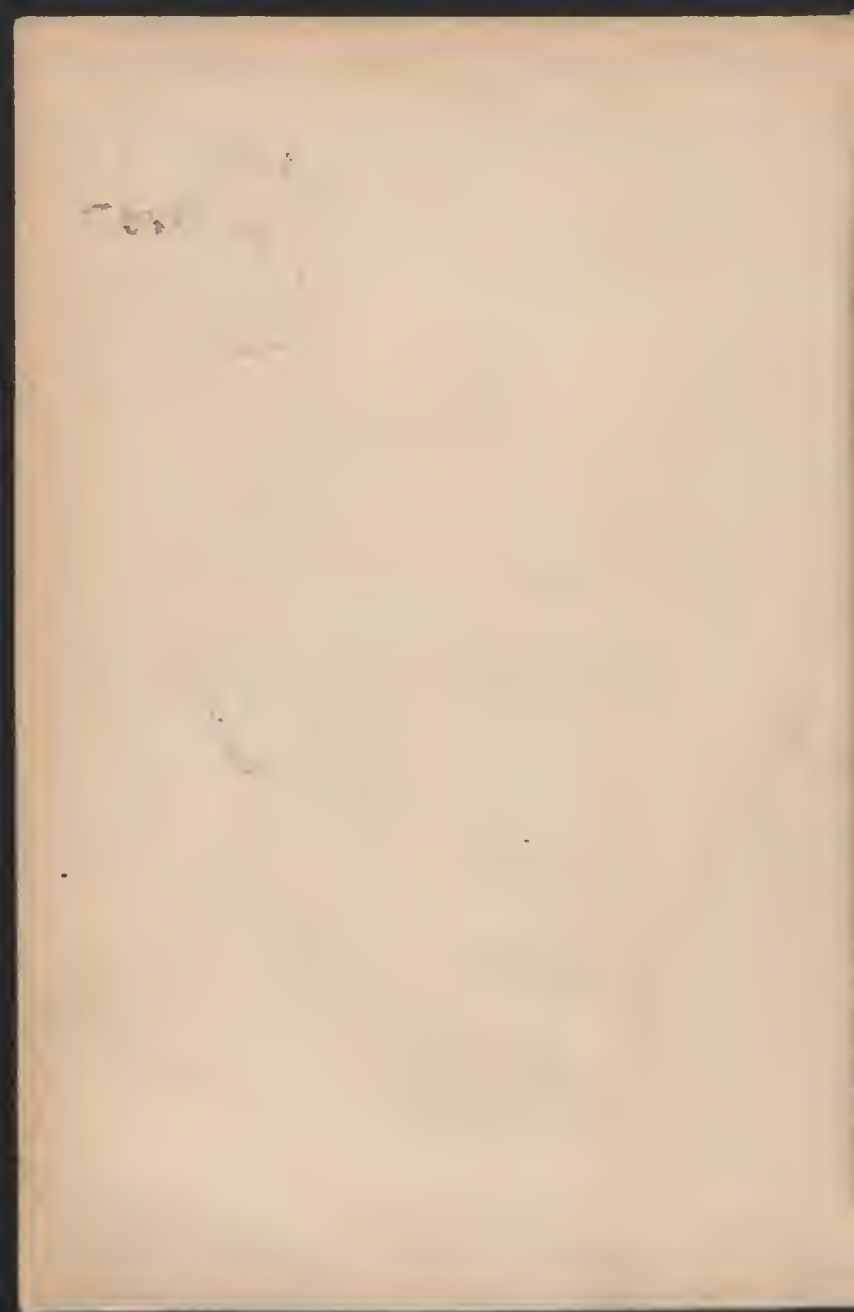


STAROSTA WARSZAWSKI.



STAROSTA WARSZAWSKI.



OBRAZY HISTORYCZNE Z XVIII WIEKU

PRZEZ

J. J. KRASZEWSKIEGO.

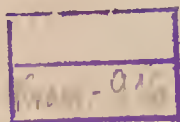
Tom I.

Piotr Ostromecki.

WARSZAWA.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

—
1877.



Дозволено Цензурою.
Варшава 22 Сентября (4. Октября) 1876 г.



Kraków. — W drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

Prolog.

I.

Piękny był wieczór jesienny, chociaż ludzie co w chmurach, niebiosach. powietrzu, głosach ptasich, znakach rozmaitych, pospolitemu oku obojętnych czytać umieli — kręcąc głowami nie zeń nie wróżyli dobrego.

Pan podkomorzy Laskowski, który się w Haura zaczytywał i z innemi księgami uczonemi miewał do czynienia, znaki na niebiesiech obserwować i one aplikować umiał do spraw gospodarskich — z tego zbytniego ciepła, dnia pierwszego września, z zarumienionych obłoków, kierunku wiatru i różnych innych sygnałów, prędką aury zmianę prorokował, — zimę bodaj rychłą i nie daj Boże srogą a przeciagniętą.

Tuż przy bramie Krakowskiéj naprzeciw zamku, gdzie wówczas (a było to roku Pańskiego 1750)

niejaki Peszel winiarnię trzymał — dla ciepłego tego wieczora, kilku ichmościów, między którymi i pan Laskowski się znajdował, kazało chłopcu ławę wynieść ze stolikiem, w ulicę przed dom — i używając tu świeższego powietrza gawędką się zabawiali...

Z Laskowskim, który tu rej wodził, ba i wszędzie gdzie się okazał, bo był człek wymowny, głośnawcz i bywalec — zeszli się u Peszla na lampeczkę, Ocieski ubogi szlachcic z Poznańskiego, Kostrzewa i Babiński.

— Nie to mospanie dobrego nie jest, mówił rozglądając się Laskowski, — kiedy natura ze swych praw i obyczajów się wyłamuje. Wprawdzie ja tu na tym horyzoncie warszawskim tak swego nie jestem pewien, jak doma w mojej Górcie... bo tam wiem co lada obłoczek znaczy; jednakże takie ciepło pierwszego septembris... źle wróży!!

Ptactwo na południe dawno odleciało, a ono ma nos lepszy od najrozumniejszego astronoma. Nagle mości panie ścisną mrozy i zima się da we znaki!..

— E! e! rzekł popijając Ocieski... bywa różnica... Czasem wszystkie *omina* chybiają. Dał Bóg ciepło, cieszyć się niém, a w łasce Jego ufać, że nam za to płacić nie kaze.

— A ja z panem podkomorzym trzymam, odezwał się Kostrzewa, który, prawdę rzekłszy, trzymał zawsze z tym z kim pił, i miał po części słuszość.

Babiński milczał, tylko czapki trochę uchylił, jakby chciał łysinę ostudzić i westchnął. Stało to za aprobatę.

Laskowski wciąż po niebiesiech się rozglądał, choć ich ztąd niewiele widać było, lecz uczyły go chmurki przeciągające z kąd wiatr dał, i kolor ich, co się na niebie działo.

— O tak! tak — dodał jakby sam do siebie... zimę będziemy mieli ostrą... Daj Boże, aby nieco wybujałe zboża mróz schwycił, nim śniegi na nie padną, boby to wyprzało z kretelem...

Wszyscyśmy sieli zawczasu... a tu jesień taka, że żyta szczególnie, aż strach...

— To je spasać — odparł Ocieski — i kwita... Tyleby biedy...

— Spasać!... więcej bydlę wydepcze niż zje — dodał Kostrzewa — na to przymrozków trzeba czekać...

Babiński znowu głowę ostudził i westchnął, ale tym razem tak, że wszyscy nań spojrzeli, bo czuli, że prosił o głos...

— Ja, mości brdzieju — rzekł — ja — co się tyczy mnie, mam taki system... Na Bartłomieja, mości brdzieju sieje... rola musi być zrobiona *ut sic*, zabronowana jak należy... ziarno czyste, posładu na siew nie dopuszczam jak drudzy, słowem robię co mogę, a gdym spełnił moją powinność, przeżegnany rolę i czapkę zdjawszy Panu Bogu ją polecam... Reszta do mnie nie należy... unywam rękę...

— Waszmość jesteś jak ten, bodajże go! zapomniałem, co w procesie Trójcy Świętej dawał plenipotencję i adwokata nawet nie bierał.

Rozśmieli się wszyscy, gdy Kostrzewa to rzekł, a pan Laskowski kontynuował:

— Nie jestem ja też z tych, którzy o Bogu zapominają, mówił, choć pod te czasy siła się ich namnożyło... ale znaki niebieskie Bóg nie kto inny też pisze... tylko się ich czytać nauczyć potrzeba...

— Tandem, odezwał się Babiński, *ad vocem* znaków, co nam pan podkomorzy wróży w innych koniunkturach... a zwłaszcza w sprawach Rzeczypospolitej...? Boć to i na ziemi osobliwe jakieś widzimy symptomata czasów... Więc ku złemu, czy dobremu idzie... tu sęk!

Kostrzewa ramionami ruszył.

— Ciekawość pierwszy stopień do piekła! Zimę zgadywać jeszcze jako tako się udaje, ba i tym co kalendarze piszą, ale w politycznych rzeczach... i djabeł jutra nie zgadnie.

— Ja najgorzej wróżę, począł rozgadując się Babiński. Od czasu jakśmy Sasów sobie na kark posadzili, coraz ku ruinie idzie Rzeczpospolita... Na prawdę, rzekłszy, już gdyśmy ich brali, nie było dobrze... a co teraz!

Machnął ręką i umilkł.

Ocieski westchnął i obejrzał się...

Laskowski rękę za pas włożywszy, choć jeszcze w niebo patrzył... już znać na ziemię myśl sprowadził, bo natychmiast głos zabrał...

— Że źle się dzieje — nie przeczę, rzekł; ażeby temu sami Sasi winni byli, *nego*. Uderzmy się w piersi... mądrzej głowie dość na słowie...

Chrzaknął Babiński... Rozmowa tak zagajona nie szła jakoś raźnie... oglądali się wszyscy, bo ulicą ten i ów przechodził, a wolno ciągnąc słyszeć rozmawiających było łatwo. Najwięcej téż może na zamknięcie ust wpłynęło to, iż nieznajoma figura, która téż przesuwała się tedy ku zamkowi... wstrzymywała się w pochodzie i zdawała przysłuchiwać.

Był to szlachcic ze staroświecka i dziwacznie odziany... w krótkim żupaniku i kontuszu, w długich butach, w czapce z futrem, z ogromną szablą na wyszarzanych przedniczych rapciach wiszącą... z kijem w rękę, obuszkciem zakończonym. Suknie jego z niepośledniego materyału, znać długie lata w kufrach przeleżały, i więcej od tego snu ucierpiały, niż od używania. On téż sam jakby z puzdra go wyjęto wyglądał — twarz miał żółtą, wywiedłą, zaschlą, pomarszczoną, policzki zapadłe, oczy zbladłe... a mimo zawiędnięcia ruchy żywe i niecierpliwe wiele w nim fantazyi i gorącości krwi zdradzały...

Stanąwszy w pewnej odległości od stoliczka, nie oczyma, ale uszami czegoś zdał się szukać, jakby nie dowiedział. Lecz jeśli głosu czekał, zawiódł się, bo i podkomorzy i inni zamilkli, przypatrując mu

się... Postawszy tedy chwilę, zwolna ku Laskowskiemu podszedł.

Podkomorzy dopiero lepiej się przypatrzwszy — zawołał...

— Zagłoba! jak Bóg miły...

— A no — a juściż! odparł podchodzący. Ja waści po głosie poznałem, bo pod wieczór tyle tylko widzę, że czasem drzewo od człowieka rozpoznam i Niemca od Polaka... I to nie zawsze...

Więc się sobie rzucili na szyję serdecznie bardzo.

— Cóż ty tu robisz! skarbniku!... ty, coś na domatorstwo poprzysiągł? jakżeś się ty z domu wywłókł? Czy proces masz? czy się o urząd starasz? czy ci spokój nie miły?...

— Otóż widzisz — począł skarbnik — uie zgadłeś...

Żartobliwym, dziwnym, niby szyderskim mówił głosem, tak, że wszyscy umilkli, ciekawie bardzo nastawiając ucha, bo człowieka i głos i ton zdradza... a rozum się i w dźwięku mowy wydaje... Poczuli tedy panowie Kostrzewa, Ocieski i Babiński, że znajomy podkomorzego musiał być człek nie lada, któremu ucha dać było warto.

— Ale naprzód — przerwał Laskowski, na ławie miejsce jest, panie Skarbniku, a u Peszla butelka druga zamówiona... lampeczka wakująca, czyściutka stoi, bo mnie tu znają. Mam taki zwyczaj, od dziadów jeszcze, że u mnie w domu zawsze u stołu

jedném nakryciem więcej jest niż gości, i do butelki lampek więcej jedną niż gąb...

To mówiąc nalewał, a skarbnik się nie bronił i siadł... ale wprzód czapki uniósł i submitował się panom braci, którzy mu też wszyscy po imieniu i nazwisku się opowiedzieli.

— Więc, gdy nie zgadł — ciągnął Laskowski, mów co cię tu sprowadziło?...

Skarbnik z lampki trochę pociągnął, jakby tylko usta sobie chciał odwilżyć. Twarz owa pomarszczona, gdy ją podniósł, oczy zbieleły, usta wpadły, jakimś ogniem wewnętrznym rozjaśnione, zapłonęły.

— Co — Boże miłosierny — począł — co!? *mirabilia fecit Deus!* na cudam tu przybył patrzeć. Albo to nie widzicie, że cuda się dzieją... i że nie ma tak błogosławionego kraju jak nasz... nad którymby opieka Wszechmogącego wyraźniejsza była!!

Wszyscy po sobie spojrzeli, a skarbnik, żartobliwie zawsze, ciągnął dalej spozierając na swych słuchaczy:

— I com rzekł, dowiodę — mówił. Jest - li na świecie kraj, któryby nierzędem tak wyśmienicie stał jak nasz? w którymby próżniakom się lepiej działo? gdzieby wina więcej było, a przedniejszego choć winnic nie mamy? gdzieby jedwabiów więcej schadzano choć jedwabników nie hodujemy? gdzieby złotem sypano hojniej, choć go nie kopjemy? i — na ostatek, gdzieby dwunastoletnie chłopaki jednego dnia pełnoletność za łaską pańską uzyskać mogli??

Laskowski głową pokiwał, a Babiński obejrzał się bojaźliwie... Ruszył się nawet nieco, i gdyby nie wstyd, byłby się wyniósł może...

Nastąpiło milczenie... choć niedowidział twarzy skarbnik, poczuł i zrozumiał, że się słuchacze jego języka zlekli.

— Co to o tém gadać! bąknął Laskowski... na co?

— A o czémże? O kobietach, jak to u nas zwyczaj, pod rezon, jam za stary, o pobożnych rzeczach nie mam zwyczaju rozprawiać, bo respekt dla nich czuję — jeśli szlachcicowi *de publicis* nie wolno — cóż już? chyba głowę zamalować, albo ją na kłódkę zamknąć...

— Ale bo, mój skarbniku — szepnął Laskowski... słyszeliście w Saksonii o tym... o tym starym zamku na górze... Kat go wie, Koenigstein się zowie...

— To pudełko do chowania Sasów — odezwał się skarbnik...

— Tak, ale w niém i kilku naszych zakonserwowano — szepnął Babiński.

Nie zmieszał się stary i — popił.

— Ja, bo — rzekł — gdy mi język świerzbi... wytrzymać nie mogę. Djabeł nie tak straszny jak go malują, a gdyby wszystkich co się śmieją i stękają chcieli chować tam, miejscaby nie stało...

Machnął ręką i rozśmiał się.

— Jak mi Bóg miły — zabawna rzecz, mówił nie zważając na otaczających. Ichmość panowie co

w mieście częściej bywacie, z damamiście się oswoili; ja, domator... admiruję...

Wtém zwrócił się do Ocieskiego, który głowę miał nad lampką zwieszoną.

— Wszakże mnie uszy nie mylą — JMPan Ocieski?

— Tak jest — do usług.

— Jastrzębiec?

— Nie ma innych tylko tego herbu...

— Czyby z Ocieszyna? pytał uparcie skarbnik, choć odpowiedzi szły leniwo i niechętnie.

— Pisaliśmy się z Ocieszyna... cicho wymówił zagadnięty.

— A no! to któż lepiej o cudach dzisiejszych czasów wiedzieć może nad waćpana dobrodzieja?

Stał się cud, iż graf Brühl, pierwszy minister najjaśniejszego Pana... który rodził się kędyś w Turynii, a żył w Saksonii, nagle znalazł się polskim szlachcicem, Jastrzębczykiem i Ocieskim... tak jak Waszmość Pan! a toż nie *mirabilia*?

Ocieski tylko głową kiwnął.

— Gdyby nagle sowa, ptak Minerwy... dodał skarbnik, stała się z dnia na dzień jastrzębiem... naturalisciby z całego świata się zbiegli! Nie prawdaż?...

A no, to rodzina jakaś od Boga uprzywilejowana... Ten sam Brühl z Ocieszyna... ma synka. Synkowi jest lat dwanaście... jeszcze mleko ma pod nosem... Tymczasem Warszawie osieroconej

ze starosty grodowego, przez rezygnacyę wojewody ruskiego, brak głowy i dłoni. W całej Rzeczypospolitej nie ma człowieka na tę godność — dwunastoletniemu chłopięciu król Jegomość łaską swą dodaje lat dziesiątek... dzieciak budzi się dojrzałym, i oto go jutro będziemy widzieli wjazd uroczysty odprawującego na swą stolicę...

Alboż nie cuda? *mirabilia!*

I śmiać się począł...

Podkomorzy Laskowski po niebie spojrzał.

— Wiecie acaństwo co?.. Ciepło było, ale zawsze to wieczór wrześniowy, a kto ma w kościach łamanie, temu o tém zapominać nie potrzeba; wotuję więc, abyśmy się razem z butelką i lampeczkami pod sklepienie do izby zacisznej przenieśli. Padająca rosa nigdy nie jest zdrowa...

Wszyscy wstali, jakby uradowani wnioskiem; skarbnik się rozśmiał i poszedł za ich przykładem.

— Na czym wózku jadę, tego piosnkę śpiewam — rzekł: z lampeczką podkomorzego idę za moim winodawcą... Macie słuszość, pod dachem zawsze — zaciszniej... a nuż co padać zacznie?

Przez okno otwarte Laskowski zawołał chłopaka, który w koszuli i fartuchu zwijał się po izbie, i kazał mu szkło zabierać. Poszli tedy processjonaliter, gęsiego, dla niezbyt szerokich drzwi, jedni za drugimi, skarbnik przodem, Laskowski, Kostrzewa, Babiński, tylko się Ocieski coś ociągał...

— No, a waszmość? pytał Babiński.

— Nie bardzo mi się chce — szepnął Ocieski; to jakiś, mocidzieju, wyszczekany kawał konfederata... i już mi łatki przypinać zaczął.

— Ale chodź! Co bo znowu! fuknął Babiński, i popchnął — a to pomyśli, żeś się go zląkł!

— I to racya — rzekł Ocieski.

Poszli tedy... ale nie zatrzymali się w pierwszej izbie, gdzie kilka osób w arcaby grało, a po kątach sączono z kufłów. Podkomorzy, który u Peszla był jak w domu, zaprowadził do bokówki, gdzie nikogo nie było. Tu chłopak stołki prędko fartuchem pościierał, stół zdmuchnął... butelkę na nim ustawił, a sam, po świecę poszedł, bo w izbie się ściemniało...

— A toż to nie cud? ozwał się dalej ciągnąc skarbnik, któremu jego myśl znać w głowie tkwiła — toż nie cud, że szlachta polska, tak się stała w ręku saskiego ministra potulną, iż ją jak wosk miękkiego ugniata i czyni z niej co mu się żywnie podoba??

Ocieski w izbie śmielszy, siedział bardzo nadęty... Ledwie tych słów dokończył Zagłoba, rzucił się z impetem wielkim.

— Bóg widzi, począł wybuchając — że ja zwady nie szukam... jestem człek spokojny, ale zuów nie mogę ścierpieć, by mi docinano...

Skarbnik spojrział nań bardzo zdumiony.

— Albo co?

— Bo, że Ocieski jestem... i że Brühlowi szlachectwa i herbu nie przeczę... to mi pouo za złe macie?

— Albowi mówił?

— No, nie, a samo z siebie to wyszło — począł Ocieski — a gdy raz o to się potrafiło... *clara facta*, trzeba się tłumaczyć.

Skarbnik oczy nań zwrócił, szlachciec wstał i wziął się pod boki...

— Powiem wszystko, bo się nie sromam i nie taję tego com uczynił... Szlachciec jestem i byłem... ale nas różne *vicissitudines* do mizernej substancji przywiodły... Miałem chłopów piętnastu... a dzieci pięcioro... Jejmość i ja jużśmy niemal kochać się bardzo obawiali, żeby błogosławieństwa bożego więcej nie przybyło... Tandem, *deus ex machina*, jawi mi się jednego dnia, poszóstno, urzędnik koronny, którego nie wymienię. W bramę z karocą zajechać nie mógł, bo ta tylko dla fur z gnojem i dla bryczki była zbudowana...

We dworze popłoch, dzieci do ogrodu pouciekały, a starszy się nawet w pokrzywach poparzył, jejmość na strych drapnęła... zostałem ja w kitlu płóciennym... przymuszony stawić czoło jaśnie wielmożnemu, ba, nie zdradzając tajemnicy — jaśnie oświeconemu...

Ten u bramy wysiadłszy, dwóm dworzanom psy podwórzowe przykazawszy trzymać w respekcie — wprost do mnie do ganku.

Byłem pewien, że albo koło mu się w drodze złamało, albo oś pękła, bo coby u mnie taki

dygnitarz robił? A no — wola boża, o kowalu tylko myślałem...

Wita mnie — ja mu się submituję.

— Szanowny panie bracie, rzeczce... ja tu do waszmości w pilnej sprawie, więc się wpraszam gdzie na ustęp, abyśmy swobodnie pogadać mogli.

Myślałem tedy, ani chybi! sejmikowa sprawa; ale zkał mu z tém do mnie, breczkosieja i domatora?... Idziemy tedy... Łbem się o uszak wyciął w progu, i śmiejąc się jeszcze a trąc czoło — rzekł: wysokie progi. W izbie gościnnéj, gdzie dzieci harce wyprawiały — nieład był — choć płacz... ale oświecony na to nie zważał... Siadł... Jam kitla zapiawszy stał — co téż to będzie...

— Widzę u waszeci pana brata, skromny domek — rzekł — po staroświecku...

— Tak, panie wojewodo: — Maciek zrobił, Maciek zjadł.

— A dziatki Bóg dał?

— Pięcioro! westchnałem...

— Chwałaż Bogn! to największa pociecha... hodują się zdrowo?

— Nienajgorzej...

Czekam aż o sprawie zacznie, a ten wciąż kołuje... gdyby kałuże objeżdżał... Patrzę mu w oczy, dławi się, idzie mu nieraźno. Pyta o familię, spowiadam mu się z dziada i pradziada... słucha... Dowiadyuje się czy nas więcej jest, mówię mu, żem sam.

Wodził mnie tak z pół godziny, naostatek powiada:

— Dziwnie to losy ludźmi rzucają... a gdy Pan Bóg komu chce poszczęścić, osobliwszych do tego środków zażywa. Muszę waszmości powiedzieć o czém pewnię nie wiesz, że ów Jan Brühl, na Ocieszynie, podkomorzy poznański, za Kazimirza Jagiellończyka, od którego się wywodzicie, miał rodzeniuteńskiego brata, który się wyniósł do Niemiec.

Tum krzyknął: — Chowaj Boże! — a ten znak ręką dał: — „Wysłuchajcież“. Słucham tedy... Jał prawić, że grafowie Brühlowie są jego potomkami i że się chcą szlachtą polską wywodzić... Jeszcze dobrze nie rozumiałem co z tego ma być, gdy głos zniżwszy dodał: — Dziesięć tysięcy czerwonych złotych przywiózłem z sobą... Chcesz je mieć — krótka sprawa! Grafa Brühla do herbu i familii przyjmiecie...“

Dopiero mi się wyjaśniło...

Skłoniłem się oświeconemu do kolan... — Łaskawco, rzekłem, dawniej szlachta do herbów z pozwoleniem, zasłużonych chamów przyjmowała, nie za to nie biorąc; a jabym grafowi za dziesięć tysięcy czerwonych złotych miał téj satysfakcyi odmówić? Toćbym głupi był...“

— „Masz słusność — odparł przybyły dygnitarz... Cyrograf mi podpiszesz... worki ci oddam i rzecz skończona... A teraz daj co zjeść i czém gardło popłókać, bom jak pies głodny...“

No — kończąc historję — dodał Ocieski, tyle powiem, żem wódki i miodu kazał przynieść, jójmość na prędce jajecznicę zrobiła i bigos się znalazł... wioskę zaraz kupiłem, i w rok mi szóste dziecie na świat przyszło...

A mam tego za cztery litery, kto myśli, żem źle zrobił.

Dano brawo Ocieskiemu — Babiński go pocałował...

— Ja i bez czterech liter — odezwał się skarbnik — pochwaliłbym wasze postępowanie... Zszodry zrobić szlachcica polskiego... toć to i sztuka i zasługa!... Ale czyś waszmość dał przynajmniej na mszę na tę intencyę, żeby mu Bóg zesłał *gratiam status*, i żeby mu ze szlachectwem sentymenta się złąły, które *nobilitati* są właściwe?

— To nie moja rzecz — odparł Ocieski — niech on się o to stara!...

Wypił jednym tchem szlachcic lampeczkę i drugą sobie nalał...

— Stało się — począł skarbnik... i oto jutro dwunastoletni synalek nowo odkopanego szlachcica wjeżdża na gród warszawski...

— To się nie chwali! mruknął Ocieski... boć to drwiny albo z nas... albo z całego świata.

— A, tego asindziej nie mów, z przybraną powagą odezwał się skarbnik... Ażeby o tém sądzić, głębiej trzeba zajrzeć w *misteria* pewne, i oto te *gratie status*, o których tylko co wspomniałem...

Wiadomo światu, że gdy małoletni pozostanie dynastą... lat mn dodają i panuje tak dobrze... jakby wasy miał. Brühlowie tak blisko stoją tronu (tu odchrząknął znacząco), iż przywileje monarchiczne na nich spływają.

Szlachta nie odpowiadała...

— Ale co bo tam o téj materji tak łaskotliwój... prawić mamy! odezwał się Laskewski... ot raczój powiedzcie panie skarbniku... co tam na prowincyi słychać? Jak się obiecują urodzaje? jakie ceny? co z Gdańska?... Czy omłotna pszenica?...

— Wszystko najwyborniej — odparł szydersko skarbnik... raj — błogosławieństwo boże... jedz, pij i popuszczaj pasa! Bo, proszę was — wszyscy wiecie, że naszój ziemi tylko pognoju brakło... Król JMśc saski umyślnie nam wojsk nastął cudzoziemskiego autoramentu, i tak nam pola ugnoił, że gdzie kapucyna posiał, kozak się rodzi!...

Na prowincyi wszyscy szczęśliwi tak, że im słów braknie, aby to szczęście opisać, i dla tego milczą. Z Gdańska najlepsze wieści — powiadają nawet, że dla tego, aby się ceny w porcie podniosły, oddamy go Prusakowi. To gospodarzy człek... zaraz pszenica podrożeje... Cóż tedy chcecie?

Hulanka u nas taka, szlachta się roztańcowała, że chłop nosa boi się wytknąć... Słowem, *mirabilia!*

Wszyscy umilkli; podkomorzy Laskowski, człowiek stateczny i poważny, uczuł, że skarbnika więcej pytać nie wypadało, bo się za daleko puszczał...

Zagadano i o innych rzeczach i butelczynę trzecią dano na stół.

Babiński się jednak milczkiem wyniósł, Kostrzewa w kąć zaszył, a Ocieski nadrabiając fantazją, podparł się łokcie na stole położywszy i wprost w oczy patrzył wyzywająco na skarbnika... Ten, Bogu ducha winien... powiek też nie zmrużył... a Laskowski zwrócił konwersacyę na ową jesień i prognozyki przyszłej zimy...

Ze skarbnikiem było przytrudno, bo on i mrozy umiał wykładać po swojemu, aby z obecnych spraw, ludzi i toku wypadków przedrwiwać.


Tak się to do nocy prawie przeciągnęło, aż nareszcie Ocieski posłyszawszy późną godzinę bijącą na zegarze, do odwrotu się zabrał. Zostali tylko Laskowski i Zagłoba...

Klapnął po kolanie przyjaciela, podkomorzy...

Niepoprawny waszmość jesteś, rzekł cicho... Dobrze to sobie postękać i pobiedować we cztery oczy, ale tam gdzie osób więcej, bezpieczniej milczeć. Uczciwie ludzie wszyscy — ale języki świerzbą, — po co sobie robić nieprzyjaciół?

— Ja bo, widzisz, cicho szepnął skarbnik — tych co mi nieprzyjaciółmi być mogą, gdyby przyjaciółmi być chcieli, gorzejbym się obawiał jeszcze. Bóg z nimi! W sumieniu spokojny... *non curo verba malorum!*... Prawdy się nie zaprę. *Verbum nobile* powinno być nie tylko *stabile* — ale i świętemu przekonaniu stać na świadectwo... Jak milczę —

znoszę wszystko; gdy usta otworzę — kłamstwa
przez nie nie przepuszczę, boym sobie nietylko
usta, ale i duszę powalał... Machnął ręką — Bóg
z waszecią! I poszedł.



II.

Ruch cały i życie skupiało się naówczas w stolicy, nie około zamku, który stał niemal pustkami i tylko czasu sejmu lub wielkich uroczystości służył swemi obszernemi komnatami na przyjęcie licznych zgromadzeń — ale około saskiego brühlowskiego pałacu, gdzie król przebywał i wszechmocny jego minister, Saksonią i Polską władający...

Obaj królowie ostatni, wprawdzie nawiedzali Warszawę, a z musu niekiedy jakiś czas w niej spędzali, lecz pobyt w téj stolicy mniej im daleko smakował niż w Dreźnie, gdzie jako dziedziczni monarchowie władzę mieli nieograniczoną i wszystko pod ręką co życie uprzyjemniać mogło. Do Polski, oprócz zwierzyny, w którą obfitowały lasy, wszystko z sobą przywozić było potrzeba; szły muzyki za

obozem, jechali aktorowie i teatru, wiozły karety piękne panie, ciągnęły gwardye, wieziono wina i puhary; słowem cały świat Augustów przenosił się z nimi chwilowo nad Wisłę.

Tu jakoś rządy szły dziwnym kierowane sposobem... Na pozór nikt się niemi nie zajmował, puszczano je na łaskę bożą, przecież działa się tylko to, czego sobie życzo. Przyjaciele i nieprzyjaciele, jedni chętnie, drudzy mimowoli przyczyniali się do tego. Nici i sprężyny wszystkiego skryte były głęboko; ręce, co niemi władały, nie wychodziły na wierzch, a maryonетки skakały przecie jak im muzyka z Saskiego pałacu zagrała... Kapelmistrz był doskonały... Od lat ostatnich panowania Augusta II, ważne to stanowisko zajmował hrabia Brühl, z malutkiego pazia i niezamożnego szlachcica wyrosły na wszechmogącego władcę... W Saksonii protestant, katolik w Polsce, tam się wywodził z Gangloffsömmernu, tu z Ocieszyna — nad Łabą panował z pomocą Koenigsteinu i Pleissenburga — nad Wisłą sztuką nadzwyczajną zyskiwania sobie ludzi, których do spółki przypuszczał...

Przy królu Auguście Mocnym był najpierwszym sługą, u następcy potrafił być panem w całym tego wyrazu znaczeniu, trzymając malowanego króla pod najściślejszą strażą w przyjemnym więzieniu, które rozrywało myśliwstwo, teatr, sztuki piękne i gnuśny spokój u niedostępnego domowego ogniska...

Brühl był niezaprzeczenie jednym z najzręczniejszych i najśmielszych kuglarzy, jacy pod imieniem ministrów bawili się naówczas losami Europy. Wiedział on, jakim do kogo mówić tonem i jak osnuć przedzę, aby się we wzory pożądane utkała... Szczęście służyło mu nadzwyczajne, a ile razy zawiodł go los, nigdy głowy i przytomności nie stracił... W domowém pożyciu też był równie zręcznym i zuchwałym — wiodło mu się dziwnie, a ludzie zazdrościli, zdumiewali się i uśmiechali. Jedna z najpiękniejszych kobiet dworu królowej, dziecię znakomitęj rodziny, oddała mu rękę swoją, aby z nim podzielić losy...

Z sercem czy bez niego oddana, piękna ta rączka, silniej niżby się zdawało, podpierała ministra. Hrabina Brühl miała wolę swoją i fantazye, minister wielbiąc ją, nie krył się z pobocznymi stosunkami, wzajemnie pobłażano słabościom, a oboje rodzice, choć zajęci i państwem i światem i zabawami i intrygami, nie zapominali o dzieciach...

Najulubieńszém dziecięciem był ich pierworodny... Ale bo też, jeśli są na świecie cudowne istoty, Alojzy z pewnością do nich należał... Przyszedł na świat z uśmiechem na ustach i szeroko otwartemi oczyma, silny, zdrów, piękny, na uwielbienie tych, co mieli szczęście tego aniołka widzieć w kolebce...

Zdawało się, że mu było pilno rosnać, by żyć i używać... Nie miał czasu być dziecięciem...

Zaledwie chodzić się nauczył, gdy go w atłasy i koronki ubrano, przypięto mu szpadkę drewnianą z rączką porcellanową, włożono na korkach trzewiki i w peruczce złotowłosej wyprowadzono na pokoje. Mały bęben od razu chwycił trójgraniasty kapelusz pod pachę, jak gdyby go całe wieki już nosił — i nie poślizgnął się ani razu na woskowanych posadzkach. Chwytała go królowa na kolana, brał chętnie król Jegomość, czasem na żart dym mu z fajki w nos puszczając... Mały Alojzy dawał naówczas klapsa swemu dostojnemu ojcu chrzestnemu, ale nigdy się nie rozpłakał. Kochali się z sobą okrutnie.

August III wystrzygał dla niego rybki i ptaszki papierowe, i obaj nieraz stawiali z kart domki, z równym zapałem, z tą różnicą tylko, że monarcha uroczyściej się tą architekturą zajmował, gdy chłopię często jednym zamachem piramidy jego obracało w gruzy...

Dano malcowi nauczycieli najrozmaitszych, ale matka była najpierwszym... Jój wejrzenie, słowo, rzekłbyś oddech wlewał w dziecko jakimś cudownym sposobem rozum, wiedzę i instynkt...

Ojciec się nim mniej zajmował, ale kochał na równi z matką... Alojzy nie wiedział sam, kiedy się czytać i pisać, ani jak nauczył. Mówił od kolebki po niemiecku, po francuzku, po włosku i wcale mu to się w głowie nie mieszało. W wolnych chwilach węglem po ścianie, kredą na tablicy rysował

takie rzeczy, iż starzy patrząc tylko głowami kiwali. Klawicymbału trochę nauczyła matka, trochę Włoch, najwięcej on sam siebie... ale to mu nie starczyło, musiano się postarać o skrzypce. W dziesiątym roku konno jeździł i pływał lepiej od tych, co go uczyli...

W ciągłym ruchu myślą i ciałem, rozwinał się na silnego chłopca, tak, że rówieśnik żaden mu nie dotrzymał... Nie dlań trudnego nie było — aleć wszystko ciekawe... Nienasycona żądza uczenia się i łamania z trudnościami paliła go od dzieciństwa... W kuźni u kowala zachciewało mu się nauczyć władać młotem, gdy słyszał kapełę, pragnął zaraz grać — a książka w obcym języku niepokoiła go, póki sobie nauczyciela do niego nie wyprosił. A że ojciec był wszechmogący, że matka była rozkochana w tym cudzie, nazajutrz znajdowano nauczyciela... w tydzień Alojzy szwargotał, a gdy raz przedarł się przez pierwsze trudności, dalej szedł już sam nie pytając.

Nigdy bardziej rozbudzonego nie widziano umysłu... Strwożeni starzy, radzili powstrzymywać młodego szaleńca, obawiając się, aby tak wcześnie rozwijające się władze nie spaliły wątłego stworzenia... Lecz któżby był mógł już naówczas pieszczone dziecię, rozkołysane, wybujałe zmusić do spoczynku?...

Dziwna rzecz, całusy i uściski, pochlebstwa jednych, miłość drugich, admiracye i oklaski co go popsuć mogły — uczyniły tylko rozumnym przed

czasem. Poznał ludzi nim się miał czas w nich rozpatrzeć. Dwór Brühla, jak królewski dawał mu gotowe próbki wszelkiego rodzaju...

Chłopak wkrótce zdumiewać począł nadzwyczajną trafnością w poznawaniu ludzi...

Słowem — było to istotne cud - dziecie... Na dworze saskim już się z tém oswojono, ale w Warszawie nikt przyszłego pana starosty grodowego nie znał i nie domyślał się. Śmiano się z tego... bębna — przewidując, że chyba z niańką razem na grodzie zasiędzie.

Alojzy miał lat dwanaście... Król reskryptem swym dodał mu wiekn, aby mógł rozpocząć urzędowanie... Niepraktykowana to była rzecz naówczas. śmieszna zdala, lecz dla młodego Brühla niemal niesprawiedliwiona.

W istocie chłopiec ten i na oko i z blizka mu się wpatrzywszy, a badając, starszy był daleko od swojej metryki...

Tego wieczoru właśnie, gdy pan podkomorzy Laskowski u Peszla swych znajomych i przyjaciół traktował, w pałacu Saskim, na sali od ogrodu, rześście oświeconej, było u ministra przyjęcie i narada...

Pan wojewoda ruski, mąż powagi wielkiej, ale polityk nie mniejszy, który był się zrzekł warszawskiego starostwa, dla dogodzenia Brühlowi, bo ten na nie zawczasu syna chciał installować, aby się w łaski obywatelskie wkupił — pan wojewoda ma-

zowiecki Stanisław Poniatowski, całe grono kontuszowych i frakowych panów, wygolonych głów i peruk fryzowanych otaczało ministra, na ten wieczór wystrojonego ze smakiem sobie właściwym. Sala zamkowa na wzór komnat pałacu drezdeńskiego urządzona, acz z daleko mniejszym przepychem, połyskiwała od mnogich świec jarzących, snopami u ścian pozapalanych w brązowych świecznikach... Jasno cytrynowe obicie jej jedwabne, w ramach białych i złotych — odbijało jeszcze blask ten obficie się rozlewający do koła i łamiący w kilku weneckich zwierciadłach umieszczonych między oknami. W dwóch kończynach sali, w ramach misternie giętych i przeplatanych złocistemi kwiatów wieńcami, stały dwa wielkie wizerunki Augusta II w płaszczyku królewskim, z buławą w dłoni, i syna jego, za którym ulubiony murzynek niósł szyszak... jakiego on pono nigdy nie włożył na głowę. Szlafmyca była mu upodobaną.

W jednym końcu sali właśnie Brühl, dwaj wojewodowie, kilku Sasów i daleko większa liczba kontuszowych przyjaciół ministra, otaczali młodego pana Alojzego, któremu dawano nauki, jak się dnia jutrzejszego miał znajdować. Dwunastoletni starosta, który jutro z mocy nadanej mu pełnoletności, miał uroczystą składać przysięgę, acz wzrostem nie dochodził żadnego z tych rozrostłych i barczystych panów, którzy nań z góry osłupiałemi niemal po-

glądali oczyma — acz w nim dziecko widać było... ze swobodą osobliwszą się poruszała...

Ładna ta laleczka, wyprostowana, z podniesioną główką, z oczyma jasnymi, stała z taką rażnością, rozpatrując się i słuchając co jój mówiono, tak się uśmiechała rozumnie, iż ci, co ją po raz pierwszy widzieli — ze zdumienia do siebie przyjść nie mogli...

Szatan zdał się siedzieć w chłopcu... Ojciec z tryumfem spozierał na niego, niektórzy z pewnem niedowierzaniem, jakby własnym nie ufali oczom i lekali się, by to widzenie osobliwsze lada chwila nie przyszło.

Obraz był do malowania, godzien pędla Silwestra... Otaczająca młodziuchnego pana starostę grupa na pół ze wschodnim przepychem jaśniejących strojów, w pół z francuzkich elegantów złożona, łączyła w sobie jakby dwa światy, które się tu zetknęły i zlały.

Coś jeszcze rycersko - pańskiego widać było na rozlanych już i zmiękłych obliczach szlachty mazowieckiej, zgnuśniałej pod ostatnimi panowaniami; w rysach Brühlów, Flemingów i Vitztumów czuć było cywilizację wybujałą i nadwątloną zbytkiem a wytworem... Na czołach podgolonych jakaś zaduma ospała spoczywała, po tamtych igrał dowcip łatwy, myśl żwawa, ale płocha... lekceważenie wszystkiego...

Dwa światy stały tu pojednane z sobą i zgodne, a mimo to jakby do walki gotowe. Tym razem

tylko walka nie na pospolity oręż odbyć się miała — choć równie jak od żelaza mogła być krwawą.

W uśmiechu Brühla i jego spojrzeniu widać było pewność zwycięstwa, które miał dać rozum i przebiegłość — na czołe wojewody ruskiego, przedstawiającego owo najpotężniejsze w kraju stronnictwo, *familię* — rzekłbyś, że przy powadze i majestacie, zakradła się wiara w rachubę, która umyślnie prostotą i szczerością się okryła. Niktby w nim nie odgadł, że o lepszą walczył z Brühlem i czuł się na siłach pokonać ministra... przecież czasem bystre spojrzenie bodło jak żelazce... gdy niepostrzeżone poleciało... Gdy w oko patrzali sobie, Brühl był słodyczą samą, pan wojewoda samą prostotą i otwartością... Czy sobie wierzyli — któż odgadnie! ale tego wieczoru byli tak serdeczni jakby się braćmi rodzili i zbratać jeszcze ściślej żądali. Minister zdawał się nie mieć tajemnic, księżę wojewoda dozwalał sobie do dna serca zaglądać. I co chwila księżę ścisnął hrabiego, hrabia rzucał się w objęcia wojewody...

Radość i wesele panowało powszechne — mówiono otwarcie. Na pokojach też nie było nikogo, oprócz przyjaciół ministra i tych co mu tu służyli...

Młody chłopak wytrzymał egzamina ojca i przyjaciół jego z aplauzem wielkim... Kazano mu odezwać się po polsku — choć nieco zarywał z cudzoziemska, nie zmieszany pozdrowił jaśnie oświeconych, wielmożnych i miłościwych panów a braci...

Wojewoda mazowiecki aż go ucałował... a Brühl zapłacił zaraz Poniatowskiemu za syna i do piersi go swój przycisnął... W téj chwili dwóch kamerlokajów w kanarkowej liberyi ze srebrem, otwarło drzwi drugiej sali, muzyka na galeryi zabrzmiała marszem i całe towarzystwo do jadalni ruszyło...

Przyjęcie u króla było téż królewskie, choć sam monarcha nie znajdował się w Warszawie i prawa ręka pańska go zastępowała. Było naówczas zwyczajem chwili biesiadowania i miejscu, w którym do uczty przystępowano, nadawać jak największą świetność, jak najwytworniejszą fizyognomię. Zasiadający do jedzenia paśł najprzód oczy widokiem sreber i kryształów, kwiatów i łakoci, które czekały na ostatnie danie... muzyka czarowała uszy, woń napawała powonienie — wszystkie zmysły używały... cała istota ubłogosławiała się rozkoszą i zapominała niemal, że była śmiertelną.

Z takiej uczty wychodził — kto mógł wyjść o swój sile — dziwić się, iż na świecie czarno było i smutno... a chłodno... Wielu wśród snu sardanapalowego traciło pamięć początku i końca, pomnać tylko błogie wrażenia owego raj... z którego wynieśli go hajducy do lektyki lub karocy...

Tego wieczoru kobiet, czarodziejek, któreby urok biesiady podniosły czarnemi oczyma — nie było, za to tém większa panowała swoboda...

A że przyjęcie już szło niemal na rachunek przyszłego starosty, młody Brühl, wedle obyczaju

polskiego nie siadł do stołu, i obchodząc gości każdemu się z kolei submitował, do każdego coś innym przemówił językiem — wszystkim umiał grzecznością wypłacić za ich uprzejmość.

— Przyznać trzeba — szepnął na ucho księżę wojewoda panu Poniatowskiemu — że chłopak istotnie osobliwy... Nowego Mirandola wydała na świat żona ministra... Jeśli pożyje, dojdzie wysoko...

Wojewoda mázowiecki piękną swą twarz zwrócił ku szwagrowi milczący, i ruchem głowy potakiwać się zdawał — ale co oczy mówiły — zgadnąć było trudno.

Po pierwszych kielichach poczał się szmer wesoly, niby pszczoł w ulu modlitwa, gdy z obfitym zbiorem powrócą; za drugimi śmiechy gdzie niegdzie strzeliły jak salwy radosne; dalej huk głuchy się rozległ i hałas taki, iż niemal przygrywającą muzykę zagłuszył; wreszcie po pierwszym toaście krzyczeń jęli kontuszwowi na całe gardło...

Wtém — jakby mak siał... oczy się zwróciły wszystkie w jedną stronę: śliczna lalka w aksami-tach i koronkach wskoczyła zręcznie na krzesło, z kielichem w rękę... Tylko mu było przypiąć skrzydełka, aby do jednego z tych cherubinków był podobny, których z saskiej porcelany kunsztownie lepiąno...

— Toast wdzięczności! zawołał chłopak... łaskawych nad miarę serc panów a braci... którzy nas zaszczycić raczyli...

Reszty usłyszeć nie było podobna, tak huknęli wszyscy, kielichy w górę wznosząc a wołając...

— Starosty naszego zdrowie — wiwat! wiwat in aeternum!...

Ogromny szlachcic, jak olbrzym zbudowany wypił najprzód wino, kielich cisnął o ziemię, potem pochwyciwszy wyrywającego się małego Alojzego, podniósł go w górę... wołając na zabój:

— Wiwat! wiwat!

A że mu się już dobrze kurzyło z czupryny, minister się zląkł, żeby mu i syna o ziemię nie rzucił... Wyczałowanego jednak starostę puścił wielbiciel... pomiąwszy go tylko trochę...

Po tym epizodzie uczta się miała ku końcowi, bo nazajutrz siły były potrzebne... Jutro dopiero uroczystością wspaniałą i biesiadą lukullusowską dla całego województwa Mazowieckiego odznaczyć się miało. Zapiwszy więc ostatnie — kochajmy się... z wolna żegnać się zaczęli goście... Dostojniejszych minister, zawsze grzeczny do zbytku, aż do przedpokoju i ganku wyprowadzał...

Starosta też, jak wytrawny gospodarz... nie chybił nikomu, i powagę umiał przybrać taką, iż się jój dziwić było potrzeba...

Po odjeździe wojewody ruskiego, minister wprost z antykamery, przeszedł do swoich pokojów... Alojzy pocałowawszy go w rękę i skłoniwszy się, w drugą stronę wysunął się w towarzystwie mentora — nad którym tak przewodził, iż raczej on się jego ucz-

niem mógł wydawać, niż pan Alojzy jego wychowawcem.

Służba gasiła światło w żółtej sali i wypijała resztki z kielichów zapomnianych na stole, gdy minister szybko wbiegł do gabinetu...

Tu wszystko gotowe było na jego przyjęcie; dwóch lokajów zdjęło suknie, obowie, wdzieli nań atłasowy szlafrok, uwolnili od peruki, którą lekka zastąpiła czapeczka... fotel znalazł się też, i Brühl w mgnieniu oka rozebrany, siedział u stolika...

Ruchem ręki dał znać... i znowu na milczące to skinienie posłuszne otwarły się drzwiczki... a w nich pokazała się jedna z tych postaci, które jak nietoperze, w nocy dopiero na świat wychodzą.

Dla obcych zestawienie z sobą pełnego elegancyi i wdzięku ministra, z tym zeszlłym człowiekiem niepocześnie ubranym, do jakiegoś świata niezrozumiałego należącym — mogło być niepojęte.

Co Brühl chcieć od niego i mieć z nim mógł wspólnego?...

Wchodzący miał lat około pięćdziesięciu, lub może ich nie miał nad trzydzieści kilka — wieku trudno się było dobadać z twarzy, która nigdy świeżą nie była, a może nigdy młodą, i dla tego też starą nigdy być nie mogła. Jedno ramię wyższe od drugiego, głowę z prawej strony zasłaniało. Z bladego oblicza, na którym nie bardzo wydatnie popłatały się nos i usta, marszczki, fałdy i plamy żółciowe... tylko ogromne wypukłe oczy czarne

naprzód się i najdobitniej przedstawiały. Zdawało się jakby nie miał prócz oczu i żył tylko niemi... Strój niby polski, szary, skromny, trzymał środek między europejskim a narodowym... Ani szabli, ani szpady nie miał przy boku... Wszedłszy we drzwi, począł się do stolika zbliżać tak cicho, tak nieznacznie, iż go za widmo wziąć było można... Brühl podniósł ku niemu oczy i uśmiechnął się — gość mu się skłonił, ale bez zbytniej uniżoności...

— Siadaj panie starosto... rzekł po francuzku... bardzo proszę... musimy pomówić z sobą, choć jestem dniem dzisiejszym zmęczony śmiertelnie, choć jeszcze pocztę odprawić muszę... choć mi głowa pęka...

Nazwany starostą wziął krzesło, odsunął je nieco i przysiadł na brzeżku — ale ust nie otworzył.

Przyjacielu — odezwał się Brühl z gorączkowym pośpiechem — przyjacielu, bo ci to imię należy... mów, mów mi otwarcie... Nie wiem jak rzeczy stoją. Na oko wszystko idzie jak z płatką... lecz właśnie gdy się tak dzieje, najwięcej się trwożę... Niedowierzam nikomu...

Familia jest mi zupełnie oddana. Widzicie co książę wojewoda uczynił dla Alojzego, on i Poniatowski na rękach go noszą, służą mi... słowem...

— Słowem — odezwał się cichym, bardzo ale wyraźnym głosem starosta, który rękę z palcami suchemi podniósł i w powietrzu trzymał zawieszoną — słowem chcę Waszą Ekscellencyą wziąć,

pozyskać, związać wdzięcznością i panować w Rze-
czypospolitej...

Familia jest potężna, a każda potęga straszna...

Brühl zamilkł chwilę...

— Sądziacież, iż ja tego nie widzę i nie rozumiem...?? Lecz, oni mnie, ja ich potrzebuję, służymy sobie wzajemnie... bronić się musimy i popierać — pakt jest obustronny...

A tak — odrzekł starosta — z tą tylko różnicą na niekorzyść Waszój Ekscellencyi, że oni są w domu, a hrabia obcy zawsze, zajęty Saksonią — musisz być na ich łasce...

Nie zapominajcie o tém, że ja i król, pan mój najmiłościwszy, jesteśmy jedném, i że — gdybym w obronie praw moich potrzebował sprzymierzeńców, znajduję ich zawsze... w nieprzyjaciółach *familii*.

— Na tych nie zbywa — szepnął starosta — ale któż ich zbije pod jedną chorągiew? to trudnoby było Waszój Ekscellencyi... W tym kraju, który ja, jako z Pruss doń należący, swoim nazywać muszę... jest niemal tyle obozów ilu ludzi... Zwiemy się braćmi. ale jemy jak wilcy...

Brühl nie zdawał się słuchać z wielką uwagą...

— Powiedzcież mi... co szlachta prawi na to, co się jutro odbywać będzie?

— Mam prawdę rzec? — nieprzyjemne rzeczy... Pryskają strasznie... ale bo też niewidziana się stanie osobliwość, tam gdzie pod wąsem młodzież od ojców batogi bierze, by dwunastoletni chłopak

starój szlachcie przewodził. Nie w smak to naturalnie...

Brühl dumnie jakoś podniósł głowę.

— Mój starosto, rzekł: — jedno na moją ekskuzę mogę powiedzieć — chłopiec dojrzały jest, niż niejeden wasz zadomowiony szlachcic... Zobaczycie go jutro... ani chybi. Mazury go na rękę nosić będą...

— A wróciwszy do domu dziwy prawić i myślać.

— Cóż mi to szkodzi? dodał Brühl... Chłopak powoli dorobi się miłości u ludzi. Sprytu ma dosyć, puszcze go w świat jeszcze, aby się uczył i przecierał, tu go podstarości i urzędnicy zastąpią... Bądź co bądź, stosunki w Polsce utrwalić muszę, z Alojzego zrobię szlachcica i pana polskiego... córki wydam za magnatów... W złym razie, gdyby Saksonię choć chwilowo losy ciężkie spotkać miały... znajdziemy tu przytułek i ojczyznę... Spojrzał na starostę, który ręką na poręczu krzesła coś wygrywał palcami...

— Niepewny grunt... trzęsawisko — odezwał się z cicha — radzę ostrożność... a *familii* nie zawieierać i jój się nie spowiadać z niczego... Jeśli się nie mylę, a nie sędzę, bym mógł się mylić, zamiary jój i plany sięgają daleko... wysoko. Któż wie? — aż do tronu może. Oni potrzebują tu ładu, rygoru, porządku, którego nie ma... Waszemi rękami anarchię pogrzebią, a gdy wy im do tego

dzieła pomożecie — dla was wpływu wszelkiego zaparta zostanie droga... Naówczas oni panować tu będą.

Brühl się rozśmiał.

— I wy myślicie, że ja w Rzeczypospolitej ten ład zaprowadzić dozwolę? Bardzo dobrze rozumiecie czego chce *familia*, muszę jęj do czasu ulegać i iść z nią razem... lecz... nie przejdę granicy... Idąc razem, wiem drogę...

Starosta spojrział ironicznie...

— Myślicie, że oni się wam z nięj wypowiadają, albo pójdą tak prosto, aby ją było można odgadnąć?

— Mój starosto, dodał Brühl — wiezcie jedno: ja nikomu nie ufam, nikomu nie wierzę — i niczém się nie wiążę... Kajdan nigdy nie nakładam sobie; polityka moja — znacie ją — tak prosta jak tylko być może... Patrząc zkąd wiatr wieje, co dzień każdy przynosi, i z dniem każdym ster i żagiel odmieniam... Ja w żadne systemy nie wierzę...

To mówiąc wstał Brühl.

— Jak wy jesteście u familii?

— Ja — mały, nieznaczný człeczek? ja? nikt tam na mnie nie patrzy. Głupiego udaję, z tém mi najlepiej... Ale *familia*, szlachtę choęby pruską i inflancką... zna tak całą, że jęj kolligacye na pamięć umie... więcem nie obcy... Z tradycyi jesteśmy dobrze... w terażniejszych czasach neutralnie...

— Nie zaniedbuj ich! szepnął Brühl... A z Potockimi i Radziwiłłami...

— Wsunę się ja wszędzie gdzie potrzeba, rzekł starosta.

Brühl mu rękę podał.

Bądźcie mi przyjacielem, nie zawiedziecie się — rzekł cicho... Jużbym wam o to teraz, gdy koło Elbląga coś zawakowało służył — a nie mogę! nie mogę! Zdradzę siebie i was, gdy przywilój otrzymacie... a nam się z sobą znać nie trzeba, abyście mi byli użyteczni...

Oczy starosty zrobiły wyraziste pytanie, jakimżeby sposobem nawzajem minister przyjacielowi chciał być użyteczny? Brühl to zrozumiał.

— Co do mnie, rzekł, będę się wam wywdzięczał nie honorami, ale brzęczącą monetą. Za starostwo, którego nie daję, zapłacę.

Skłonił się gość dosyć nisko...

— A teraz, począł Brühl, zbliżając się do niego... jutro... starajcie się mojemu chłopcu pomódz... gdyby szlachta mruczała... Wy to potrafcie. Mam was uczyć? A! tego nie potrzebujecie... Kolligacye macie na Mazurach... wmieszajcie się w tłum i narzekajcie najprzód na taką egzorbitancję, na nadużycie, na eksces prepotencyi... Z wolna może was młody chłopak skonfiskować, nawrócić... Za wami pójda drudzy...

Rozśmiał się Brühl...

— Chcąc dobrze zrobić, nie dosyć gardłować, trzeba umieć do przekonań trafić... a któż to lepiej niż wy potrafi?

— Hm! szepnął starosta, nawróci najlepiej wiecie co? Pieczeń dobra i wina w bród... to argumenta, którym się mało kto oprzeć może... U nas do przekonań droga najpewniejsza przez żołądki...

— O! o to bądźcie spokojni — przerwał Brühl — na jutro są wydane rozkazy. Nie zabraknie wina, choćby się kąpać w nim chcieli... Chłopak mój dobrze wystylizowany, do serc obywatelskich też przemówić i insynuować się potrafi... Mówię wam, panie starosto... takiego dziecka drugiego na świecie nie ma, nie dla tego że ono moje — ale że istotnie cudowne!!

— Niechże mu pan Bóg da długie życie i sukcesu... zamknął kłaniając się skrzywiony starosta... Brühl podał mu rękę... Prawie niedosłyszane drgnienie dzwonka, przywołało sługę, który gościowi drzwi otworzył. Postać ta dziwna cicho znowu stąpając, prześliznęła się przez pokoje już ciemne... okryła w antykamerze opończą, szwajcar drzwi jéj otworzył... i znikła w ciemnościach nocy... jakby one ją pochłoneły... W téjże chwili drugie drzwi gabinetu Brühla otwarły się, i saski sekretarz, z uśmiechem na ustach, z teką pod pachą wszedł z listami z Drezna... Nocnych ptaków, i przyjaciół

niewidomych, jak ów starosta, Brühl miał całe poczty na usługi... nie znał ich nikt oprócz niego, a na pokojach ledwie im głowę skinął z dala minister, jakby sobie postaci ni nazwiska nie przypominał.

III.

Dzień drugi września 1750, był jeszcze tak piękny. słoneczny i ciepły, iż przyjaciele pana podkomorzego Laskowskiego, przed którymi rychłą zmianę aury prorokował, spotkawszy go rano, wracającego ze mszy od reformatów — z fałszywego prognostyku głośno acz grzecznie się naśmiewali...

— Czekajcie acaństwo do zmiany lunacy, odparł spokojnie Laskowski — zobaczycie co ta powie... *Tertia, quarta qualis, tota lunutio talis...* to nie chybi... Tandem, proszę o cierpliwość, — czas okaże czyje będzie na wierzchu!! Z tego pięknego dnia korzystała Warszawa, bo miał być uroczystym, a niemałą obudzał ciekawość. Od rana roiły się ulice, szczególniej po drodze od Saskiego pałacu do królewskiego zamku, której młody starosta

wjazd swój miał odbywać. Obrząd ten nie był żadną osobliwością, gdyż ktokolwiek wysokie zasiadł krzesło, wjeżdżał zawsze pompatycznie na swą stolicę. Odbywali wjazdy wojewodowie, kasztelani, starostowie, — wjeżdżał prymas i biskupi... Kawalkata i dwór wedle przemożności i dostojenstwa się składały, mniej więcej licznie, bogato, strojno i zło-cisto. Nie szło o przepych, którego się ludzie natrzyli, ale o ten pierwszy wypadek, jakiego ludzie nie zapamiętali, o jakim nikt nigdy nie słyszał, ażeby dwanaście lat mające chłopię, przez osobliwą fikcye uznane pełnoletniem, urząd tak znaczny, od którego mianowanie starościńskich urzędników zależało — funkcyę tak ważną miało sobie powierzona. Gdy po raz pierwszy o tém mówić zaczęto, nikt wierzyć nie chciał... śmiano się jak z plotki i potwarzy... aż rzecz z ust do ust szydersko podawana, jakby cudem się sprawdziła. Przyjaciele dworu i Brühla byli w niemałym kłopotcie, jak ten krok wytłómaczyć, niby na wypróbowanie cierpliwości i na uragowisko — postawiony... Dnia też tego, gdy na pewno już po królewskim dekrete wjazd się miał odbyć uroczysty, co żyło chciało być jego świadkiem...

Kto nie mógł na salę do zamku się docisnąć, bo tam i na dole i na galeryach miejsc zabrakło, ten choć w ulicy wcześniej starał się w pierwszym stanąć rzędzie, aby na oczy widział... uprzywilejowanego — *berbecia*. Tak szlachta niechętna prze-

zwała swojego starostę. Rozumniejsi i ostrożniejsi nie śmieli ust otworzyć, bezczelniejsi bronili zreźnie ministra, ogół śmiał się i sarkał... aż uszy wiedły.

Przyjaciele ministra rozsiani umyślnie pomiędzy tłumami, aby opinię publiczną sondowali — stali kwaśni i zafrasowani... nie szły argumenta na obronę. Ludzie do pana skarbnika Zagłoby podobni, mieli watek doskonały do wyśmiewania się z Sasów i ich regimentu.

Dzień był na przekorę przepowiedniom, piękny, ciepły, słoneczny... niebo nawet sprzyjające ministrowi w godową się szatę przybrało... Na drzewach, choć pożółkłe, jeszcze przymrozkami nie zwarzone trzymały się liście zielone... Można się jeszcze było jakby przedłużoném ludzi latem.

Z województwa Mazowieckiego szlachta *de jure*, dostała się na zamek, wcisnęło się i suciój poubieranych z różnych innych kraju części sporo... Dziedzińce były nabite, wschody i korytarze pełne, plac przed zamkiem napchany... Mieszczanstwo zalegało ulice, w oknach pootwieranych kamienie, widać było postrojone kobiet głowy i piętrzące się twarzyczki... Wszystkim wesoło z oczu patrzyało, jakby się śmiać chcieli...

Już tłum zalegał wszystkie przejścia, gdy z Krakowskiego Przedmieścia ukazał się z trudnością przedzierający powóz poszóstny. Ludzie znający się na ceremoniale, łatwo odgadli, iż nie należał do orszaku

starosty, który jeszcze był z Saskiego pałacu nie wyruszył. Domyślano się, iż jeden z panów dążył znać na zamek, aby być świadkiem uroczystego aktu... Woźnicy szło trudno... palił z bata, krzyzczał: — z drogi! — a gęsta ciżba jakoś mu się nie ustępowała...

Nie miano poszanowania dla możnego pana, choć kareta, konie i ludzie przy niej świetnie wyglądali. Chomąty lśniły od srebra, kareta od pozłoty, liberja od galonów... Przez tafle szklane karety, malowanój jaskrawo, widać było w środku mężczyznę, młodego jeszcze, w peruce fryzowanój misternie i orderze Orła Białego, piękną kobietę z głową wysoko w loki i sznury pereł ubraną, a pomiędzy niemi dwojgiem dziewczyneczkę śliczną, we włosach długo na ramiona puszczonech, z twarzyczką wdzięczną, uśmiechniętą, uradowaną... do aniołka podobną.

Dziewczę mogło mieć ledwie lat ośm... ale miłość rodzicielska ustroiła je już na wielką panią... a szczęście rozwinęło nad lata... Rączkami w rękawiczkach pozapinanych aż po łokcie, klaskała z radości, na wszystkie strony zwracając główkę... Kto z tłumu zobaczył tę śliczną twarzyczkę, uśmiechnął się jęj i pokłonił, ona też uśmiechem, główką i pocałunkiem od ust paluszkami odpowiadała... Rodzice patrzali z rozrzewnieniem na swą pieszczoszkę... Kareta sunęła się tak zwolna, że dziewczę mogło się i napatrzyć, i nakłaniać.

Na drzewczkach powozu i na uprzęży widać było krzyż Potockich, ale pomiędzy mieszczaństwem mało tam kto pamiętał herbu, choć ich na liberyi prymasa Teodora napatrzeć się mogli — więc pytali jedni drugich, co było za państwo i czyja śliczna dziecina..?

Właśnie karetą sunęła się około gromady szlachty, w której pan skarbnik Zagłoba przewodził i po swojemu przedrwiwał, gdy ktoś mu huknął w ucho:

— A toż kto taki? kto taki?

Skarbnik, któremu łatwo się na żart zbierało, zobaczywszy w karecie główkę wdzięczną dzieciny, zawołał głośno: — „Czapki w górę! czyż nie widzicie... to pani starościna warszawska!! Czyście ślepi! Starosta którego pełnoletnim uczyniono, wnet z tego będzie korzystał, więc mu żonę wiozą, — do wieku jego właściwą... Hukniemyż jój wiwat!“

I sam pierwszy stary skarbnik, rękę z czapką futrem okładaną wysoko wyciągnął w górę — wołając:

— Wiwat — pani starościna!

A za nim drudzy, choć nie rozumieli dla czego i po co — poczęli krzyżeć:

— Wiwat starościna warszawska!!

Ze śmiechem rozległo się wołanie. Siedzący w karecie zdziwili się i zmieszali. Mężczyzna poczerwieniał i pobladł, rzucił się, żona go powstrzymała, bo się rwał do tafli... i byłby się może na słowa rozprawił z wesołą gawiedzią. Kobieta cofnęła się

w głąb powozu, unikając oczu... ale dziewczę, które to bawiło, klaskając w rączki, okrutnie uradowane — dziękowało.

Nieprzyjemna ta scena uliczna byłaby się może nad miarę przeciągnęła, gdyby w téj chwili stangret nie smagnął koni i tłum się szerzej nie rozbił na dwie strony, tak, że karetą szybko podążając ku zamkowi, z oczu ciekawych znikła. Ścigały ją wszakże okrzyki jeszcze i nieprędko się uciszyły, a mieszczanie, którym się po mianowaniu dwunastoletniego starosty zaślubienie go z ośmioletnią panną nie zdawało już niczem nadzwyczajném — święcie nawet uwierzyli, iż starostę żenić miano...

— Komedia mosterdzieju! — wołali niektórzy... — Historye! mówili drudzy... — Dziwowisko... krzyczeli inni. Skarbnik, który się znalazł tak dowcipnie, usta wykrzywiwszy tryumfował...

— Panie skarbniku — trącając go w ramię, ozwał się Laskowski, który niedaleko stał — a czy się to godziło pana cześnika koronnego podawać w pośmiewisko!... A czy się godziło!! Wszak to wnuk Stefana i prymasa...

— A cóż mu się stało? bąknął skarbnik... z takiemiśmy go honorami przyjęli... jakich się ani spodziewał...

— Zabawna fikcya wasza — dodał Laskowski — pójdzie z ust do ust... i dojdzie do uszu Potockiego... a miłą mu nie będzie, choćby dla tego, że żona, którą widzieliście właśnie, jest córką księcia

Sułkowskiego z Rydzyny, onego to, co go Brühl wygryzł z łaski króla JMci...

— Albom ja o tém wiedział! rzekł skarbnik pół żartem, pół seryo. Przyznacie mi, że za domysłem moim wszelkie było prawdopodobieństwo... Dla starosty berbecia... żonę jakby ulał... A śliczno dziewczę...

— I rozniesie się to — szepnął Laskowski... Ktoś się wygada, żeście to wy sobie tak zadrwili...

— Wyjdę jeszcze na dowcipnisia na starość! ręką potrząsając i kończąc rozmowę dodał skarbnik — w istocie klęska to, bo mi się dowcipu ludzie będą dopominali, a jam go i niewiele miał, i — jak rak, dawnom się z niego wyszeptał...

Tu się wszelkie przerwać musiały rozmowy... w tłumie poszedł szmer jakiś i wszystkie głowy zwróciły się ku pałacowi Saskiemu... Starościńska kawalkata właśnie z bram jego się wysuwała. A było na co patrzeć... témbardziej, że nie po polsku to wyglądało, ale zupełnie z niemiecka i cudacznie...

Szła tedy najprzód muzyka królewska... przed którą ogromny drab kijem sążnistym wywijał; dalej jechali całym poczem w liberyi galonowanej dworzanie, z kitami piór u kapeluszów, za nimi dopiero poczynął się szereg nieskończony karet dworskich, pańskich, przyjacielskich... wśród których jedna pozłocista cała, otwarta, niosła wystrojonego niebiesko, w peruczce i kapelusiku pana starostę warszawskiego... Tę otaczała straż starościńska na nowo

uformowana i przybrana kanarkowo z niebieskiem, w kapeluszach czarnych z galonkami srebrnymi, w ładownicach czarnych, pasach białych, przy szablach, z karabinami i bagnietami. Po drodze mieszczanie poznawali w tych zniemczających żołnierzach starościńskich swych dobrych towarzyszków, i śmieli się im w oczy z ich stroju... Ci zmuszeni do powagi, bo pod bronią parsknąć nie śmieli, wielką mając ochotę sami drwić z siebie, dziwnie gęby kręcili, aby się nie dać spokusić do śmiechu...

Oddział gwardyi saskiej, w której młody Brühl już był pułkownikiem (a oprócz tego i szambelanem ojca chrzestnego) — oficerowie, drabanci, hajducy i różne tałająstwo saskie ogonem długim za paniczem się ciągnęło...

Nigdy wspanialszego ale zarazem dziwaczniejszego wjazdu nie widziano...

Stojący na kupie kamieni pan skarbnik patrzył *cum debita reverentia* na to wszystko, a że mu Laszkowski drwić zakazywał, mówił z powagą:

— Co teraz, to już wierzę, iż Brühle z Ocieszyna pochodzą... zaraz to widać z kroju i stroju... Nie ma wątpliwości. Boć to wiadomo, że szlachcie polski strój chętnie zmieniał dla przypodobania się. Za Walezego po francuzku, za Batorego po węgiersku, za tureckich i tatarskich wojen nosiliśmy się z turecka i z tatarska — logicznie tedy dziś trzeba było wdziać żółte fraki i trupie włosy na głowę,

kiedy Sasi to czynią. Peruka zresztą zdrowa rzecz, zwłaszcza zimą w kościele od kataru...

Gdy się to działo w ulicy, na zamku witano pana starostę... chciano się śmiać z wyrostka... a trudno było. Szalony chłopak tak rażno i z gęstą miną wszedł na salę natłoczoną, i z taką swobodą stanął przed panem wojewodą mazowieckim Stanisławem Poniatowskim... tak się umiał cale nie zmieszać ani ironicznemi twarzą otaczających wyrazami, ani szmerem dwuznacznym... iż — spoważniali wszyscy. Ciekawość wypiętnowała się na obliczach...

Chłopak stanął do przysięgi... ale onego czasu bez mowy się nie obeszło nic, a wojewoda téż stał przy tém, aby przytomnym panom a braci wyłożyć tę tajemnicę łaski pańskiej, przez jaką młody Brühl — nagle lat doścignął... choć ich nie miał...

Mowa pana wojewody była arcydziełem kunsztu... nie z niej na prawdę zrozumieć nie było podobna, oprócz tego, że wielkie zasługi ojca spadając na syna jak słoneczne promienie... dojrzałym go czyniły... że szlachcie wypadało czuć się wielce zaszczyconą, iż syn takiego męża zawczasu zasługiwać się jój pragnął i t. p.

Argumentów potężniejszych nie było, ale wymowa nie na nich się zasadza. Logika mała rzecz, rozsądek poślednia, — leży wszystko w deklamacyi i entuzyazmie. Największą niedorzeczność gdy orator subtelny wyrzeczce kunsztownie, gorąco, ogniście,

a huknie, a stuknie, a oczy wywróci, a westchnie — tłum się mu da porwać i zanieść kędy zapragnie...

Wprawdzie, gdyby nastąpiła replika równie rozżarzona i nie mniej wydekłamowana — ręczyć nie można, aby i jój nie przykłaśnięto — a raczój — można być pewnym, iż pogrzeblały poprzedniczkę... ale — bodaj to unieć mówić!...

Dla tego Cycero i Demostenes takich dokazywali cudów, mieli czy nie mieli słuszność, i dla tego dawniej po szkołach taką do retoryki wagę przywiązywano. Wielkim mówcą nie mógł się nazwać wojewoda mazowiecki, lecz go uroczystość dnia tego, miłość dla Brühla i wyraźne instrukcje *familii* inspirowały... Nie zważano wiele na słowa — z dala po sali takie rozchodziło się echo... tak falował głos to się podnosząc, to zniżając dramatycznie... że szlachta jakby po węgrzynie czuła się upojoną... Applaudowano...

Młody starosta głosem jasnym i dźwięcznym złożył przysięgę naprzód... zdumiano się jak gładko i ślicznie to dopełnił, a nawet z niewidzianą przy juramentach elegancją.

— Kawaler co się zowie! szeptały Mazury...

Lecz — po przysiedze dopiero czekał nań szko-puł, o który się wszystko rozbić mogło — i złośliwi sędzili — że rozbije... Komu się jednak szczęści... temu wszystko na dobre wychodzi.

Starosta dziękując, musiał pałać mowę. Tu był sęk... Nastawiono uszu. Spodziewano się jój jak z seksterniczka... z cudzoziemska i nie do rzeczy...

Nieprzyjaciele cieszyli się zawczasu. Elegancya w juramencie uchodziła, w mowie do szlachty trzeba było zrozumiałego dla niej użyć języka, zwrotów, tradycyjnych niemal frazesów, na które jak się mógł zebrać paniczek?

Stał się cud — Brühl obrócił się twarzą ku publice i począł... Szatan mu chyba szeptał... bo mówił z pamięci, ze swobodą największą i takimi słowy, że wprost za serce chwytały... Począł od podziękowania Majestatowi, dalej panu wojewodzie, następnie wszystkim przytomnym a łaskawym panom a braci, skarbiąc sobie miłość ich i względy...

Jak musztardą posypana była mowa łaciną, wyglądały z niej znane owe a ulubione *dicta*, mądrość wieków i tradycye Rzeczypospolitej szlacheckiej. Starzy się aż popłakali...

Przyszło do nominacyi urzędników grodzkich, których wybór był szczęśliwy i umiejętny...

Rosła w Mazurach miłość dla pana starosty, rósł i on sam w ich oczach... Cóż dopiero, gdy konkludując szczęśliwym zwrotem swą oracyę i polecając z pokorą służby powolne szlachcie — ozwał się z zaproszeniem obecnych wszystkich na „ów chleb przyjacielski“, o którym już nie wątpiono, że suchy nie będzie...

Gdy skończył, uniesienie nie znało granic; żartownisie i niechętni umilknąć musieli, a na złęby było wyszło każdemu, ktoby naówczas lekceważaco o panu starości się odezwał...

Wnet go winszując obstępiono, ścisnął pan wojewoda Poniatowski, całował wojewoda ruski, z kolei ścisnęli i obejmowali kto żył i dostąpił, tak, że mu koronki pomięto, suknie pognieciono, fryzurę poplątano, a dobrze jeszcze, iż go na barkach nie wyniesiono z sali. Szlachta wiedząc, iż w takich razach do stołów docisnąć się niełatwo... natychmiast rzuciła się ku otwartym salom, w których sześć ogromnych na nią czekało podków.

Honoratiores pozostali trochę, otaczając młodego i starego Brühla... Naówczas to, ktoś spostrzegłszy państwa cześnikowstwa Potockich na galeryi, rozpowiedział na ucho aż tu doszły żarcik czyjś z powodu ukazania się pięknej Maryni. Podniosły się ku niej oczy; minister, który dla Sułkowskiej grzeczniejszym chciał być niż dla kogokolwiekbądź innego, bo dla jej ojca był niegdyś zbyt grzecznym także — z żartu biorąc assumpt, starostę posłał prosić państwa cześnikowstwa koronnych... do stołu...

Młody Brühl poprawiwszy stroju, z właściwą sobie zręcznością i swobodą pobiegł na galeryę, spełniając ojca rozkazy. W dwunastym roku był już takim dla kobiet galantem, jakby od urodzenia ćwiczył się w tej sztuce... Państwo cześnikowstwo siedzieli czekając aż się tłum rozplynie... gdy ładuy chłopak stanął przed nimi...

Oczka małej Maryni ciekawe i po dziecięcemu śmiałe, spotkały się z jego wejrzeniem...

Dziecinny ten wzrok miał jakąś siłę cudowną... oczy przemówiły i dwie dusze się zrozumiały...

Brühl się uśmiechnął do Maryni, mała Potocka dygnęła mu jak poważna dama... Starosta zapomniał o swém dostojństwie i o tém z czém przyszedł — dopiero po chwili, gdy ten urok ominął — zwrócił się ku państwu Cześnikowstwu...

Z panem Ignacym Potockim łatwiejszaby może była sprawa — ale Sułkowska wychowała się, wyrosła w nienawiści dla Brühlów, brzydziła się nimi — nie cierpiała ich. Znalazła się tu tylko, aby wyszydzić scenę śmieszną...

Na widok chłopaka, który z największą uniżonością, komplementem francuzkim zapraszał, państwo cześnikowstwo, aby mu zaszczyt uczynili i raczyli przyjąć udział w uczcie, twarz pani pobladła, brwi się zmarszczyły, usta wydeły, a że mała Marynia wciąż się do starosty uśmiechała — chwyciła ją matka za rękę i zmusiła ustąpić. Suchym i zimnym głosem podziękowano i odmówiono...

Maryni w oczkach łzy stanęły...

Brühl westchnął, rękę położył na piersiach, skłonił się nisko... nalegać nie śmiał... Na drodze stała zasmucona Marynia, chłopak pochwycił jęj małą rączkę i pocałował... Matka się zarumieniła... Starosta zniknął — państwo Potocy natychmiast odjechali do miasta...

Są w życiu chwile, które się na zawsze w pamięć wrażają — są wejrzenia, które w ciemnościach



świecą — są sympaty, których nie zrywają lata... są może istoty dla siebie stworzone... Któż to zbada? Mały Brühl zbiegł ze wschodów z obrazem Maryni, a dziewczę zadumało się dziwnie... myśląc o ładnym, maleńkim staroście, który tak ślicznie ją w łapkę pocałował...

Ministrowi wszakże przykro się zrobiło, iż państwo cześnikowstwo odmówili. Ktoby był zajrzał w jego duszę w téj chwili, znalazłby w niej może myśl, z której się sam sobie spowiadał: Znajdę ja kiedyś drogę do Snłkowskich i Potockich...

Tymczasem na salach zamkowych brzmiała królewska muzyka i szlachta tłumnio obsiadała stoły pozastawiane w podkowy, gruppując się wedle ziem, powiatów, koleżeństwa, pokrewieństwa i rozmaitego powinowactwa z ducha i ciała. Przyjęcie było królewskie i Brühlowskie, to dosyć powiedzieć — obrachowane tak, aby zadziwić, natchnąć poszanowaniem, rozrzewnić, nakarmić i upoić... Kamerlokaje cytrynowi, fioletowi, piaskowi, karmazynowi, w srebrze i złocie. Hajdacy, służba wszelka, murzyni, turcy, nieśli wysoko ponad głowę, podnosząc ogromne misy srebrne, z których się woń rozchodziła szeroko... Na białych jak śnieg obrusach, świeciły wazony porcelanowe, kryształ, zwierciadła, szeregi całe figur srebrnych, zdających się przed gośćmi tańce zawodzić... Kielichy wszelkich rozmiarów napełniały kredensa, na których srebrne oksefty czekały tylko, aby im złoty nektar strugą puścić ka-

zano... Przepych był niezmierny, a kilku przyjaciół i dworaków Brühla, pełniących funkcje wicegospodarzy, od pierwszej chwili rozpoczęło pielgrzymkę do koła stołów, rozsadzając szlachtę, nalewając kielichy, animując, aby każdy o sobie i o sąsiedzie pamiętał...

Co większa, sam Brühl ojciec i syn, nie siadając do stołu, poczęli też zaraz obchodzić biesiadników, co kilka krzeseł czyniąc stacyę, podając ręce, submitując się — posługując i zyskując sobie uprzejmością niezmierną serca obywatelskie...

Nie pilnowano wcale w przyjęciu, czy kto do województwa należał, kto był i z kąd pochodził — jak na ucztę ewangeliczną ściągano niemal z ulicy, byle kto na szlachcica wyglądał. U stołu dopiero wielu ojcu i synowi się przedstawiało...

Obiad był obmyślany z kunsztem i znajomością wielką charakteru i żołądka narodowego. Dać było ichmościom pulpety delikatne, do których poufałości nie mieli, ani znajomości z niemi, byłoby może wywołało przycinki... Kucharz więc pomieszał półmiski szlacheckie z pańskimi, bigosy z pasztetami, zrazy z siekanemi wątróbkami, zamorskie delikatesy z rodzimą strawą... Była i sztukamieś z kwiatkiem, i flaki z imbierem, i pieczone bażanty z królewskich łowów, i jelenie, i jarzabki... ogórki i pomarańcze. Każdemu więc smakowi stało się zadość — wszelkiej ciekawości i fantazyi.

Nalewano też tak troskliwie, że kieliszek żaden przez jedną sekundę nie stał próżny... Czatowali nań opatrzeni w gąsiorzy słudzy, a skoro któremu zabrakło w nich cieczy, wnet na dany znak od beczki leciała w pomoc zapaśna brygada... Gdy pierwszy toast za zdrowie króla Jegomości, a potem duchowieństwa i senatorów wypito, sypnęły się jedne po drugich wiwaty... którym za każdym razem trąby wtorowały... A że stoły nie wszystkie z sobą były w wiaźku, pito u jednych inne, u drugich różne zdrowia, jak komu fantazyja przysła... Z rozkazu ojca, młody starosta z kieliszkiem w ręku, mając za sobą piwniczego, który zafarbowaną nalewał go wodą, szedł od jednej do drugiej gromady z każdą z nich trącąc się, ściskając, wzajem grzecznościami obsypując... i pijąc ochoczo.

To mu pono najwięcej serca zjednało.

— Wielkich nadziei młodzieniec! mówili starzy... tak się już dziś akkomodować umie! ho! ho! pójdzie wysoko w obywatelstwie!

Pana podkomorzego Laskowskiego wciągnął Mazur mu pokrewny; Laskowski niemal gwałtem zmusił skarbuika, aby mu towarzyszył. Wzdragał się stary zrazu, aż złośliwa ciekawość przemogła...

Siedli więc jakoś razem: podkomorzy, skarbuik, Kostrzewa, Ocieski i Babiński...

Zagłoba po cichu drzwi począł — ale rozpatrzywszy się po ludziach, rozsłuchawszy w mowach, ustał prędko... Nie jadł wprawdzie, i kieliszka

swojego nie ruszył, bo mu się ni jeść ni pić tego chleba i wina nie chciało. Twarz jego wyrażała politowanie jakieś i smutek. Ręce założywszy na piersi, poglądał na sąsiadów, a wzrok jego ziębił na kogo padł...

Laskowski mu aż szepnął:

— Z waćpana *turbator chori*, drugim odejmujesz humor i apetyt... Juściż kto w gościnę idzie, ten wszystkie jój następstwa akceptuje...

— Hm, jam tu raczej spektatorem niż gościem — rzekł Zagłoba... a z rana z mojej faski bigosu zjadłem i wodym się napił. Dosyć mam...

— Co mu jest? pytali drudzy — malkontent jakiś...

— On taki zawsze był i jest, szepnął podkomorzy... dać mu pokój, powoli się wysapie...

Uczta była w połowie już, a pan skarbnik postępowania swojego nie zmienił wcale; przestano też i zważać na niego w końcu, gdy się humory coraz poprawiać zaczęły, a kielichy wypróżniać. Zagłoba należał, jeśli nie dostojenstwem to wiekiem i powagą charakteru do najwydatniejszych osobistości. Nie pokazywał się on często w stolicy, nigdy na dworze, u możnych na pokojach kędy o łaski zebrano nie zjawiał się też nigdy, ale gdy szło o to, aby kogo na posła prowadzić, umysłami pokierować, kłaniali mu się i panowie, jednając go sobie... Znał go też niejeden z tych, co u wyższego końca siedzieli...

Jak się to stało, wypadkiem czy z rachuby nie wiadomo, dosyć że znany dobrze skarbnikowi pan Żebrzyński, podżyły człek, powinowaty mu nawet przez babkę, niegdyś z nim zażyły — dziś do dworu nowego starosty należący przez jakąś osobliwszą konjunkturę, — stanął nagle przed nim, i to nie sam, ale po za sobą wiodąc młodego Brühla z nalanym kielichem...

— Panie skarbniku — zawołał, klepiąc go po ramieniu — oto solenizant nasz dzisiejszy — *spes magna*, młodzieniec, na którego ojczyzna rachuje, umiejący szanować zasługi i dostojenstwo charakterów... których lepiej niż w osobie twój uczcić nie może — chce wasze wychylić zdrowie... Jakkolwiek widzę, że nie pijesz, dziś się mu odmówić nie godzi...

Skarbnik odwrócił się, za nim stał galante uśmiechnięty, ze swą wesołą i dowcipną twarzą młody Brühl, z oczyma jasnymi... z kieliszkiem w ręku, który ku skarbnikowi wyciągnął...

Wnet i jemu nalano. Rad nie rad stary drżącą ręką musiał ująć szkło... a Brühl zbliżywszy się doń, zawołał — jakby stary wyjadacz... co dziwnie od młodej jego twarzy i postaci odbijało:

— Szczęśliwym się pocytuję, że tak powszechnie szanowany i wielbiony z cnót swych obywatel raczył mnie zaszczyścić, przyjmując miejsce u przyjacielskiego stołu... radbym na jego łaski zasłużyć — i wpraszając się w nie, niechaj mi wolno

będzie wychylić ten kielich za zdrowie i sukces, za powodzenie wszelkie pana skarbnika dobrodzieja i całej jego rodziny...

— Wiwat! krzyknięto — Wiwat do koła. — Brühl podał rękę, gracko kielich spełniając; skarbnik nie wiedział już sam, jak kielich dziękczynny do dna wysączył...

— Proszę być łaskawym na mnie... dodał kłaniając się starosta i odszedł...

Skarbnik stał jak słup...

— O! to go z mańki zażyli! rozśmiał się Laskowski — byłby z kamienia, gdyby go to nie poruszyło...

Rzeczywiście jak nań podziałała ta grzeczność — nie wiadomo, ale Zagłoba się rozruszał, i zobaczwszy kielich przed sobą nalany... drugi wypił z roztargnienia... Przyniesiono właśnie sarninę, obudzony winem znalazł się apetyt... wziął dobry zraz i powtórzył...

Ze złego humoru zostało tylko zafrasowane milczenie.

— To ten furfant Żebrzyński, co się całe życie wszystkich klamek czepia — tego mi piwa i konfuzji nawarzył — w duchu rzekł skarbnik — gdybym go we cztery oczy pochwycił — dałbym mu dopiero...

Niedługo na to czekać potrzebował, bo młodego Brühla o kilka kroków odprowadziwszy, Żebrzyński się zawrócił nazad i sam nastęczył skarbnikowi.

— Słuchaj ty — Judaszu — szepnął mu stary — coś to mi ty za figła wypłatał? Albow to ja potrzebowałem takiej kompromitacyi? Coś ty oszalał!

Żebrzyński obie ręce jak przed Sakramentem do góry podniósł.

— Skarbniku — zawołał — czyś oszalał? klnę ci się, bodajbym dzieci moich nie oglądał, żem ja tu *passive* spełnił co mi kazano...

— A zkądże mnie on mógł znać? zawołał Zagłoba.

— Albo ja wiem! ramionami dźwigając dodał Żebrzyński. Jeszcze raz ci powiadam — żem się ja do tego nie przyczynił. Rzecz się tak miała. Starosta, który nad wiek swój jest rozumny, dobył kartki z kieszeni, stało na niej nazwisk kilka ołówkiem nakreślonych, a waszecine było oznaczone notabena zamaszystą. Wskazał mi je palcem. Nie możecie mi tego oto obywatela wskazać, bym jego zdrowie wypił? Com miał czynić? przywiodłem ci go... Tak mi Boże dopomóż i krwawa Męko Jego, prawdę mówię.

Skarbnik siadł...

Żebrzyński mu rękę podał, a że dużo do czynienia miał — zaraz go odciągnięto...

— Nie mówiłem ja ci, szepnął mu Laskowski — że z głośném gadaniem ostrożnym być trzeba? Musiał już ktoś donieść, żeś starostę swatał *proprio motu*...

Skarbnik nie nie rzekł... głowę tylko spuścił; siedział markotny. Ucztowanie, jak się tego było można spodziewać, ogromnie się przeciągnęło. Noc już była a u stołów i po kątach sal zapijano jeszcze i gości nie wypuszczano. Najchmurniejsze twarze powoli się rozjaśniały i do ogólnej zastosowały pogody...

Skarbnik miał się wysunąć, zostawiając Laskowskiego, gdy z głębi sali poczał się ku niemu gwałtownie przeciskać Żebrzyński, rękami w górze gestykulując, aby się dlań zatrzymał...

Gdy się w końcu dobił do skarbnika, po drodze kilka kielichów potrąciwszy i parę libacyi otrzymawszy na kontusz... chwycił go za rękę... i wprowadził nieco na stronę...

Czy skarbnik masz w lasach dyfferencję z królewszczyną?? zapytał.

— Któż ci o tém powiedział? *pendet* sprawa od lat piętnastu, dotąd nie rozstrzygniona... odparł Zagłoba zdumiony — jam już o tém prawie zapomniał.

— Jego Ekscellencya, minister Brühl, kazał mi wam oznajmić, iż dnia wczorajszego podpisał rozkaz komisyi zjechać na grunt i słuszną dać wam satysfakcyę.

Ścisnął go znacząco za rękę.

Skarbnik zbladł i stanął milezący.

— Bóg zapłać — rzekł sucho — ja Jego Ekscellencyi nie mam szczęścia znać, ani wiem zkad

na mnie to szczęście spada... podziękujcież mu za mnie...

Spojrzeni sobie w oczy...

— Hm — szepnął Żebrzyński po cichu — czyś ty mu się czém naraził, czyliś mu na co potrzebny? Mów prawdę...

— Nic nie wiem — rzekł skarbnik... oprócz żem niespokojny w sumieniu, bo *timeo Danaos et dona ferentes* — najbardziej!

Ścisnęli się za ręce...

— Gdybym Sasem był — rzekł do siebie skarbnik, poszedłbym do Pleissenburga... a żem szlachcicem polskim — dostanę kawał królewsczyny — i — milczeć muszę — bom — wziął!!

Z rozpaczą potarł czuprynę. Żebrzyński nań spojrzał niewiele rozumiejąc...

— Co ci jest?

— A nic — taki jestem szczęśliwy! rzekł uśmiechając się skarbnik, ścisnął jego rękę i wyszedł.

Gdy ciemności nocne nadeszły, zamek, pałac Saski i ulica wiodąca od jednego do drugiego zajaśniała mnogimi lampami... Bawiono się do późna...

Takie było pierwsze wystąpienie na scenę pana starosty warszawskiego, Alojzego Brühla, pierwsze jego ukazanie się na scenie Rzeczypospolitej, której był przybrany obywatelem... a miał zostać jej wiernym dziecięciem. Dzień ten w duszy chłopięcia zostawił niezatartą pamięć po sobie — związał go można powiedzieć z miastem, ziemią i krajem, —

zalecił obywatelstwu, uczynił fenomalną istotą obudzającą powszechne zajęcie — zgotował przyszłość... A piękne oczka Maryni Potockiej, wśród widziadeł tłumnych dnia tego, zostały w pamięci młodego chłopca — jak dwie jasne gwiazdki na niebie.

IV.

Od pierwszego ukazania się na scenie młodego starosty warszawskiego, lat dziesiątek upływał. Od tego czasu zmieniło się znacznie położenie, okoliczności, stosunki osób i rodziny, ojca Brühla rachuby i postępowanie; — lecz to co obiecywał dwunastoletni chłopak, owego pamiętnego dnia, gdy go łaska królewska i ojcowska potęga dziecięciem upelnoletniły i na taką godność wyniosły — dotrzymały lata następujące.

Nigdy nadzwyczajne dary natury świetniej się w nim nie rozwinęły. Nie popsuko go to, że był, jakby królewicz jaki, kołysanym na rękach pochlebców, że miał do trwonienia krocie, że życie zdawało się miękkim kobiercem rozkładać pod jego stopami.

Młody Brühl był w istocie wyjątkowém zjawiskiem: — okoliczności składały się na to, ażeby z niego pospolitego uczynić panicza, ładną lalkę z głową pustą; on sam wychował się na człowieka niepospolitego.

Uwielbiająca go matka, ojciec próżności pełen, który dla swojego najstarszego i przyszłego spadkobiercy nie nie żałował, król, który go kochał i psuł jak własne dziecko — zdawali się go popychać na drogę szaleń, lekkomyślności, rozmiłowania w świecie, w rozrywkach, zapomnienia o poważnym życia celu. Młody Brühl miał w sobie coś tak samoistnego, energicznego, że się zwiechnąć nie dawał. Umysł przedwcześnie dojrzały, bo zawczasu rozbudzony, wskazywał mu drogę własną — niezmierna żądza wiedzy i nauki, ocalała go od pragnień zawczesnych innego rodzaju. Otoczony królewskim dworem, młody Alojzy wysłany został najprzód na uniwersytet do Lipska. Z Drezna mogli rodzice śledzić tu każdy krok jego — nie napędzano go zbyt do nauki — on sam jęj pragnął, tak, że go wstrzymywać musiano. Ojciec sądził, że przebieży tylko audytorya i w tajniki nauki zbyt się głęboko zapuszczać nie będzie. Stało się całkiem przeciwnie: młody panek zapalił się do nauk, rozkochał w nich — przyłgnał... Matka zaczęła się obawiać pedanteryi, lecz gdy na ferye przybywał do domu, tak umiał z siebie otrząsnąć pył książkowy, tak się stawał salonowym roztrzepańcem, dowcipnisiem... dosiadał

konia tak śmiało... dworował przy paniach z takim wdziękiem, iż w nim trudno było studenta odgadnąć. Zmieniał z nadzwyczajną łatwością zajęcia, twarz, mowę i zastosowywał do tego co go otaczało. Sztukę tę wysoko oceniał ojciec.

— Uniwersalny będzie człowiek! mówili wszyscy, i proroctwo to nie zawiodło w istocie.

Z Lipska posłano go do Lejdy. Tam, choć go zawsze też sama pańskość i przepych otaczał, profesorowie mniej mieli powodów akkomodowania się synowi ministra i pobłażania obcemu paniczekowi—i tu wszakże za cudo uchodził.

Mentorowie jego i nauczyciele prywatni— poważne głowy w perukach, nawykłe do powolnego trawienia, których on żywością umysłu prześcigał—wlekli się za nim raczej, niż go prowadzili... Młody Alojzy nie stał się nawet przez to zarozumiałym, nie okazywał nigdy swęj wyższości, aby nią drugich upokarzać—zdawał się się do tego zbyt wielkięj nie przywiązywać wagi, co inni cenili bardzo wysoko.

Zdaje się, iż w tęg główce, takimi siły obdarzonęj, już naówczas zdobyta świeciła prawda— że cała mądrość ludzka, wielce względna, jest wartości bardzo wątpliwęj, a ten kto sądzi, że ją zdobył—nigdy posiadać nie będzie ani odrobiny... Jedno wybitne znamię go odznaczało—był niesłychanie ciekawy, pragnał się wtajemniczać we wszystko, a gdy się dobił do celu—zdobyte niemal

lekcewżył. W téj pogoni za wiedzą, niemal chorobliwój — niekoniecznie dobierał się do wierzchołków i niedostępnych szczytów, — uczył się z chciwością filozofii, lecz z równą namiętnością badał historję sztuki i wszystkie drobne tajemnice najpospolitszego rzemiosła.

Podobne to było do ścigania prawdy, chowając się przed nim po kątach, które wszystkie prze-głądać musiał, ażali jój tam nie znajdzie gdzie przyczajonój.

W tym czasie, gdy się jeszcze w Lejdzie znajdował, trafiło się, iż jednego pięknego poranku znikł swym mentorom i dozorcóm — wysliznął się im z rąk, ulotnił — w pierwszej chwili przerażenie całego dworu, obawa odpowiedzialności przed rodzicami była niewysłowiona... Zaalarmowano miasto i okolice. Szczęściem dopatrzono w czas kartki na stoliku, w której uspokajając tych panów, zapewniał ich, że wkrótce powróci, i prosił, by go nie szukano daremnie.

Chociaż chłopak młody był bardzo, ulękli się mentorowie, aby się w jakie przedwczesne, niebezpieczne uwikłać nie dał miłości — na wsze strony rozesłano gońce i szpiegi, — nigdzie nie znaleziono ani śladu. Domyślać się nawet nie umiano co mogło spowodować i ułatwić ucieczkę...

Gdy się to w Lejdzie działo, o mil kilkanaście ztamtąd, w słynnej naówczas lejnarni dział, zjawił się młody parobczak, dosyć niepocześnie ubrany,

wyglądający ubogo, ale zdrowy i silny — wprasząc się za prostego w fabryce robotnika. Poszedł przyjeżdżać pracować z innymi około pieców i form — parzyć się i smolić przy ogniu, spełniać najtwardsze roboty i podzielać życie najbiedniejszych wyrobników. Zbyt nie jakoś białe, choć nadzwyczaj krzepkie i silne dłonie zwracały nań uwagę, ale więcej jeszcze niepospolita pojętność, z jaką chwycił i uczył się wszystkiego...

Po kilku tygodniach z prostego robotnika, nieznanego chłopak postąpił na dozorcę, wzięto go do kierowania innymi — zrodziła się ztąd zazdrość, spory, odgróзки, prześladowanie. Towarzysze dawniejsi, których wyprzedził, zasadzili się nań, aby mu dać naukę, jak niebezpiecznie jest być od innych bystrzejszym. Nieznajomy robotnik napadnięty, wyzwany, dwóch napastników obalił, zgniótł, wyszedł z tryumfem spokojny, i nikomu się na to nie poskarżył. W kilka dni potem inni spiskowi z grobli go w kanał rzucili, a z niego wypłynął dawszy nurka tak swobodnie, jakby się na majtka urodził i w wodzie wychował. I tę napaść pokrył milczeniem... Dano mu pokój — lecz o niewiele szło, by go za ubielonego diabła nie miano, zwłaszcza gdy wkrótce potem jednego z synów dyrektora koń obalił na ziemię, a młody robotnik chwyciwszy go i dosiadłszy — jak dziecko poprowadził.

Odtąd byli dlań wszyscy z poszanowaniem wielkiem, i już mu bardzo korzystne czyniono propo-

zycze — gdy jednego poranka ów uczeń tajemniczy, zostawując dla dawnych towarzyszków summę dosyć znaczną — znikł nie wyjawiając nazwiska, a współcześnie zjawił się w Lejdzie młody Brühl i siadł na ławce słuchaczów.

Wybryków takich dla nauki rzemiosł, drugim wcale niepojętych, popełnił Brühl wiele. Przystano się im dziwić w końcu, i fantazyje te płazem puszczano... Kto go znał bliżej i dłużej, każdy w nim, rad nie rad, wyższość niezmierną nad popolitych ludzi uznawał — chociaż pokryta była pozorem lekkości, powierzchownością światową i dowcipem a wesołością, niedającą się domyślać, iż coś poważniejszego w nim mieszkalo. Rzadko kogo natura wyposaża tak szczodrze — bo siły i zdrowie miał niezwykajne, nie chorował nigdy — i cielesna ta moc rozwijaniu się ducha nie przeszkadzała...

Wychowując się za granicą, młody Brühl nie zapominał Polski i węzłów, które go z nią łączyły... Do starostwa warszawskiego, w lat kilka przybyła mu, po Szołdrskim wojewodzie inowrocławskim, chorągiew pancerna, a razem prawie order Ś-go Aleksandra.

W rok potem szlachta w Zakroczymiu obrała go posłem na sejm, który nie doszedł tak jak inne.

Tymczasem świetna gwiazda ministra przyćmiewać się zaczynała. Saksonię zagarnięto, król i Brühl uchodzili do Polski przed gburowatym Fryderykiem, który teatr wojny przenosił na obcą ziemię, i głosząc

się przyjacielem, nie poszanować nie chciał, a do przemocy dodawał szyderstwo...

Zawrzała ta siedmioletnia wojna, której szczęśliwy koniec winny były Prusy raczej jakimś nadzwyczajnemu zrządzeniu Opatrzności — cudem ocalającój je od zagłady — niż geniuszowi Fryderyka, który już z rozpaczcy życie sobie chciał odebrać.

Młody Brühl, w którym się obok innych rycerskie obudziły instynkta — wyprosił u ojca aby z wojskami austriackimi i tym jedynym pułkiem saskim, który z Polski uratowany poszedł na pole bitwy walczyć przeciw Prusom.

I tu młody Alojzy nie okazał się pośledniejszym od innych — nie zbywało mu na zapamiętałej odwadze... Dodani przez ojca aniołowie stróże musieli go hamować — zatrzymywać, prosić, oszukiwać — aby wielkiego domu nadzieja nie stała się łupem zbłąkanój kuli jakiego ciury Fryderyka. Kilka razy wymknął się im młody Brühl, jak w Lejdzie — nabawił ich strachu, powrócił posiekany, zakrwawiony, śmiejący się i szczęśliwy.

Wojna ta go kusila jak wszystko czego się dotknął — lecz pomimo chwilowego zapału nie roznamiętnił się do niej tak, aby z niej zadanie życia uczynić. Z doniesień, jakie szły do ojca o rycerskiej gorączce, Brühl wniósł, że bezpieczniej było syna powołać nazad do Polski, niż go narażać na niepewne tej walki losy. Obawiał się tego roz-

ognienia, z jakim Alojzy rwał się do wszystkiego czego się dotknął. Kazano więc powracać, a pan starosta z równą obojętnością, z jaką rzucił inne zawody, zaledwie rozpoczęte — rozstał się z tym. Pożegnał wesoło swych towarzyszków, zwinął obozisk i posłuszny udał się nazad do Polski.

Tu dawne brühlowskie stosunki zupełnemu uległy przewrotowi.

Przymierze z familią, która pragnęła instytucjami nowemi, trwałemi, silnemi kraj zamieszany i rozbity długim nieładem odrodzić — przymierze nieodpowiadające interesom i planom ministra, pragnącego jak najdłużej łowić ryby w mętnej wodzie — zostało nadwreżone a nakoniec zerwane.

W miejsce przyjaźni gotowała się, zapowiadała wojna nieublagana. Ci sami, co niegdyś prowadzili młodego Brühla na starostwo, wojewoda ruski, książę kanclerz, wojewoda mazowiecki, zmienili się w zajadłych nieprzyjaciół wszechmocnego ministra, jego syna i dworu...

Starego Brühla ten zwrot nieszczęśliwy równie mało obszedł jak wojna siedmioletnia. Tu, jak tam, nie było mu trudno o sprzymierzeńców — tak się przynajmniej zdawało. Stosunkowo nagłe dźwignięcie się *familii* do znaczenia w kraju i potęgi, która możliwem i nawykłym do przewodzenia przynależać się zdawała — zrodziło nieprzyjaciół, współzawodników, zazdrosnych. Umiano liczbę ich przynmnożyć ze sztuką wielką. Z drobnych i rozbitych

sił, sklejać je w jedno, można było łatwo, do przeciwważenia familii, ulepić partyę, która z ministrem na czele do boju wystąpić mogła.

Brühl znał dobrze wielkie syna talenta, w którym także widział narzędzie, potrzebniejsze mu daleko w zawichrzonej Polsce, niż w zawojowanej Saksonii. Tak samo jak przed laty dziesięciu poświęcił córkę, oddając ją Mniszechowi, teraz postanowił syna oddać na pastwę swój polityce... Gotów był nań zlać dostojęstwa i siłę, jaką mu w kraju dawały ogromne posiadłości, w nagrodę za straty w Saksonii, ofiarowane w Polsce przez króla... Syn za niego mógł być czynny tam, gdzie minister sam występować nie mógł lub nie chciał.

Król August, chcąc mu zapłacić za to, co pochłoneła siedmioletnia wojna, za spalone zamki i splondrowane pałace, zniszczone skarbcy, złupione kontrybucye — osypywał go starostwy, a Brühl je przelewał na syna... Tak nań zaczęły przechodzić po jednym z kolei Lipnickie w Krakowskiem, Bołimów w Rawskiem, Błonie pod Warszawą na Mazurach, a nawet Spiż po śmierci królowej, oddany Brühlowi, przelany być miał na jego syna.

Szło o to, aby on silne stanowisko zajął w polskiem obywatelstwie i mógł być głową stronnictwa, któreby wszelką reformę hamowało... Czy dobór syna był trafny — jest rzeczą wątpliwą; ale ojciec nawykły był do biernego posłuszeństwa, nie przy-

puszczał oporu, rachował na to, że Alojzy bronić musi interesów rodziny.

Ofiary czyniono z obu stron. Gdy *familia* ofiarą jednego ze swych najdroższych klejnotów, pięknej wojewodzianki Izabelli Poniatowskiej, sądziła, iż potrafi sobie pozyskać hetmana Branickiego — Brühl najstarszą córkę, najmilszą, równie znakomicie jak Alojzy obdarzoną, piękną, wychowaną do świetnicnia na największej scenie, Maryę Amelię, przyjaciółkę Winckelmanna, oddawał Mniszchowi marszałkowi nadwornemu.

Tak samo chciał syna polityce swój poświęcić — dzieci były dlań narzędziami, które wchodziły w rachunek... Starosta warszawski miał naówczas lat dwadzieścia jeden, lecz z pewnością umysłem od rówieśników swych był starszy, choć tak się umiał trzpiotać jak oni. W chwilach wolnych zwiedził już całą niemal Europę, podróż ta królewiczowska kosztowała miliony... Jedna fantazja służenia jakiejś angielskiej lady, którą Alojzy na drodze spotkał chwilowo się nią zajmujący — opłacona została 80,000 funtów szterlingów...

Czas było może pomyśleć o ożenieniu pięknego kawalera, którego serce, jak umysł, żywo się zajmowało spotykaniami przedmiotami — i równie rychno rozczarowywało. Z nauką i z miłością starosta warszawski postępował sobie jednakowo — ciekawy był serce i wiedzy — ale oboje zaspokoić nie mogło. Szukał ciągle czegoś nowego...

Nie miał też nadziei, aby w małżeństwie serce jego udział jaki mieć mogło. Znał nadto swe położenie i plany ojcowskie, by nie wiedział iż go ożenią dla polityki — tak jak siostrę temuż poświęcono... choć ta daleko energiczniej ojcu opierać się umiała... Z tém przeznaczeniem, Brühl — dosyć obojętny na wszystko — zgodzić się musiał... wyzwoleń się było mu niepodobna...

Dotąd projekta ministra osłonięte były tajemnicą... być może, iż się nie zdradzano z niemi zawczasu, bo pierwsze jakieś spełzły na niczém i wiele żółci napsuły. Domyślać się łatwo było, iż wybór padnie na rodzinę przedstawiającą wielką siłę, mającą wpływy przeważne. Na Litwie ponętni byli dla Brühla w położeniu jego tylko Radziwiłłowie, w Polsce i na Rusi Potoccy.

Ostatnia z tych rodzin, już od kilkunastu pokoleń rosła w majątności i coraz większe znaczenie... Brühlowi zresztą nie szło o samo imię i kolligacyę, lecz zarazem o związek z taką rodnią galezią, w którejby się cała jego potęga i żywotność kupiała.

Szeptano o Potockich. Dnka niedaleko leżała Krystynopola, a pani Mniszechowa mogła łatwo usłużyć ojcu i bratu...

Brühl młody zasłyszawszy to imię — mimowolnie przypominał sobie ową małą, śliczną Marynię, której oczy jeszcze mu gdzieś na dnie duszy świeciły... Miałoby to być jego przeznaczeniem? Nie badał... ojciec dotąd milczał...

Stary Brühl kochając swe dzieci, był dla nich bez litości; minister w nim zawsze ojca zwyciężał... Jedną z najdroższych była mu ta marszałkowa Mniszchowa, której sercem rozporządził nie pytając o nie, którą później w listach zmuszał do przypodobywania się tym, których przez nią dla siebie chciał pozyskać... Istota zupełnie innego świata, żyjąca sztuką, pieśnią, marzeniem, czcigodna — córka Brühla musiała jechać do Polski, która kobiecie obcej wydawała się pustynią przerażającą. Wzdychała do Florencyi i Rzymu — wysłano ją do Dukli... Nie mogła tu znaleźć tych uczonych, z którymi lubiła rozprawiać o sztuce greckiej, o kunstzie u Rzymian... Ojciec słał jęj w listach instrukcye, ocukrowane prośbami i pochlebstwy, ucząc jak się ma uśmiechać do wąsatych wojewodów i rozmiłowanych kasztelanów, aby ich spętać, upoić i popchnąć gdzie on każe. Taki sam los, twardszy może, miał spotkać młodego Brühla, bo dla córki, nienbłagany ojciec miał jeszcze pewne względy i wyrozumiałość, których z mężczyzną zachowywać nie potrzebował. W życiu niewiasty uczucie było usprawiedliwionem — polityk i statysta winien był, w przekonaniu ministra, wszystko umieć poświęcić temu celowi, który się dlań najwyższym nazywał... Celem tym była potęga okupiona bodaj najdroższymi ofiarami sumienia, obowiązków, godności własnej. Dla władzy godziło się złożyć i święcić

wszystko — aby od niej potem wymagać wszystkiego co ona dać mogła...

W tych zasadach stary Brühl wychowywać pragnął syna, nie głosząc ich jednak jawnie, lecz praktycznie raczej na sobie poznać mu je dając. Zbyt wielkim był znawcą serca ludzkiego, by nie wiedział, że nagie i suche wypowiedzenie prawdy absolutnej daleko mniej jest skuteczne, niż wpajanie jej zwolna w żyły sączącą się trucizną. Z lekkością i dowcipem sobie właściwym, stary polityk w pół żartem, pół seryo próbował zaszczipać w synu pryncypia, których się trzymał.

Alojzy słuchał cierpliwie, nie dając znaku życia, nie przecząc im, nie dziwiąc się, nie unosząc niemi, a czasem pozwalając sobie w żart je obracać. Przyjmować się je zdawał, jako smutne konieczności położenia. Ojcu ten chłód wydawał się dobrą wróżbą.

Miał on jednak wcale inne znaczenie, niż stary Brühl sądził. Starosta z rodzajem rezygnacyi patrzył i słuchał tych smutnych prawideł, ale duszą i sercem był gdzieindziej. Wszystko to, co minister miał za najważniejsze, dla niego było prawie obojętne. Natura, jakby na urągowisko losowi, co go uczynił synem ministra, stworzyła marzycielem i poetą — jednym z tych ludzi, których blask nie bawi, których kłamstwo dławii, którzy wkładają szyte suknie wzdychając, a zrzucają je z radością. Młody Brühl znosił to, ale tęsknił ku czemu innemu... Pragnął nauki, a kazano mu uczyć się

intrygi — lubił sztukę a musiał się bawić polityką ojcowską — był poetą w duszy, a po szyję wkopano go w brudy i zawikłania... Targać te więzy, któremi go pętano od młodości, ani mógł, ani chciał, szanował władzę ojcowską — brał więc życie jak się bierze lekarstwo, *non tam libenter, quam reverenter*, z pogodną twarzą umiając się zastosować do swojego położenia, a zamiast rozpaczać, uśmiechał się wśród bólu, którego poznać nie dawał. Uśmiech ten i szyderstwo samego z samego siebie — stało się dlań koniecznością, nałogiem. Był to ten powiew chłodny, co trochę ranę ostudza.

Rok 1759 się poczynął, król August III wygnany siedmioletnią wojną, siedział znudzony w Warszawie... Jednego dnia szambelan dał mu znać, że nań Najjaśniejszy Pan oczekuje — i kazał wezwać do siebie... Bywał on codziennie prawie na dworze, wezwanie nic w sobie nie miało nadzwyczajnego, oprócz oznaczonej godziny, która domyślać się kazała lub szczególnego polecenia, albo jakiegś nagłej sprawy.

Pieszczoszek królewski, ile razy do chrzestnego ojca przychodził, przynosić musiał wesołość z sobą. Samo spojrzenie na tę wdzięczną, rozjaśnioną, różową twarzyczkę króla JMci rozpromieniało. A były to czasy w których i taki promyk radości wielce się stał dla króla pożądanym. Wojna niszczyła Saksonię, Fryderyk nielitościwie nękał państwo jego dziedziczne — biedna królowa zmarła patrząc na to

na zamku drezdeńskim. August w Polsce czuł się gościem i wygnańcem...

Szczędził mu wprawdzie Brühl zmartwień, nie dopuszczając doń innych nad pomyślne wiadomości, w potrzebie tworząc je — starano się o rozrywki... Gdy nie było zwierzyny, ściągano pod mur psy miejskie, aby król mógł do nich strzelać. Mimo to wzdychał do swych starych lasów bukowych około Moritzburga i Hubertsburga, do swego zamku, teatru, baletu, bazantarni i ogrodów, miejsc, do których przyrósł nałogowo.

Godzina była przedwieczorna i światła właśnie zapalić miano, gdy młody Brühl, który jako szambelan miał zawsze prawo wchodzić na pokoje — oznajmił się przez pазia i natychmiast został wpuszczony.

August od obiadu siedział na pół drzemiąc w fotelu u komina, na którym palił się ogień ogromny... Część jego przysłaniał ekran z blachy srebrnej... z czasów lepszych Augusta Mocnego. Szklanka jakiegoś napoju stała przed nim... Dowiedziawszy się o Brühlu, obrócił ku wchodzącemu twarz, jak zwykle, rozpromienioną. Gdy młody szambelan przystępował do ucałowania ręki pańskiej, poklepał go po twarzy przyjacielsko i poufale...

— A co? spytał lakonicznie — zimno!

— Najjaśniejszy Pan raczył kazać mi przybyć...
Stawię się na rozkazy.

— Tak, tak — prawda! coś ci miałem powiedzieć... zawołał August... i długo patrzył mu w oczy namyślając się.

— Tak — dodał -- mam ci coś powiedzieć... nie domyślasz się.

— Nie Najjaśniejszy Panie, oprócz że co mi W. Kr. Mość rozkażesz spełnić, i będę z tego szczęśliwy...

— Ty dobry jesteś, mój Aloizy! tak... począł namyślając się August III; a ja cię kocham...

Brühl się skłonił... Nastąpiła pauza. Gdy trzeba było mówić o poważniejszych sprawach, król się nudził i zapominał.

— Masz lat...

— Dwadzieścia jeden Najjaśniejszy Panie...

— A tak! dwudziesty i drugi!...

Piękny wiek!...

Westchnął... Młody jesteś... co to za dobra rzecz ta młodość!... ale wszystko ma koniec... młodość, swoboda... rozumiesz? Nie chciałbyś ty się już ożenić?

Spojrzał mu w oczy — Brühl się uśmiechał milczący...

— Nie?? zapytał król — mów mi śmiało... mów...

— Najjaśniejszy Panie, odparł żartobliwie Aloizy, chociaż polskie przysłowie mówi, że kto się wczesnie ożenił, nie żałował... ja tak bardzo nie rad-bym się śpieszyć...

— I ja tak myślałem — mruknął król fajkę paląc, aby nie zgasła... ale widzisz czasem bo — trzeba się ożenić dla... wypada tak z okoliczności. Tacy ludzie jak ty, ulegają pewnym koniecznościom.

— Wiem to, Najjaśniejszy Panie — rzekł Brühl cicho... nie jesteśmy panami naszego losu.

— A tak — odparł król — ojciec twój jest mądry człowiek, on ci to powie... Masz wielkie szczęście, że jesteś synem takiego ojca... potrzeba go słuchać!..

— Nigdy mu się nie sprzeciwiam...

— Bo ty jesteś dobrym chłopcem — dodał August III. Ojciec twój myśli cię żenić...

Brühl ani się zdziwił, ani wymawiał, stał milczący królowi niedogodnie było mówić wiele, ale musiał.

— Myśli cię żenić, powtórzył... Ja wiem tybyś wolał pewnie poczekać, ja ciebie znam, lubisz swobodę, życie wesołe, podróże... (na nosie pogroził) twarzyczki ładne!! A widzisz...

Brühl odparł:

— A któż ich nie lubi?

— To kochaj się w malowanych — rzekł August scryo... żywych lepiej unikać... a jedną wziąć jaką ojciec naznaczy i wybierze, Ty nam potrzebny jesteś na to, żebyś się ożenił... dodał poważnie... Ojciec ci to wytłómaczy... Cóż chcesz! ta nieszczęsna polityka wszystkich nas kuje w kajdany. A nie wolalbym ja za te pieniądze, które mi król pruski wydiera, kupić sobie obrazów do galeryi? Widzisz,

widzisz! Myślisz, że mnie co królem jestem — lepiej??...

Siedzieć tu w téj Warszawie? Co tu za opera? jakie polowanie? Lasy daleko! Obrazów nigdzie nie ma... ja się męcę... a cóż robić? co robić?...

Sięgnął król ręką po kufel, napił się trochę, splunął, pociągnął z fajki, zaopatrzył się w ogień i nagle zapytał:

— Jak ty myślisz? będzie ponowa? Hm! za-polowałoby się?

Nagle przejście do innego przedmiotu zmieszało Brühla, choć do tego był przywykły.

— Ponowa? powtórzył. Wątpię...

Wstał August i ręką się zasłaniając wyrzwał oknem.

— Ehe! bąknął — szyby marzną... wątpię, żeby śnieg padał. Gdzie to tu — w téj Polsce! albo tu śniegi padają jak należy?

Westchnął, zamyślił się, głowę spuścił, zapomniał już widocznie, że rozpoczętej nie dosnuł rozmowy. Dopiero po chwili podniósłszy oczy na Brühla, popatrzywszy nań, dobrodusznie mu się zaczął uśmiechać.

— Wszak ci mówiłem... rzekł: — gotuj się do tego, że cię ożenią... Ale co ci to szkodzi? Nie jest to tak straszna rzecz... przyzwyczaisz się — jesteś młody...

Starosta warszawski miał od dzieciństwa poufałość do króla, tak, że ośmielił się go zapytać:

— Najjaśniesz Panie! a nie wolnoby wiedzieć z kim mnie swatać mają? Dobrzeby się zawczasu z tą myślą oswajać.

Nie podnosząc oczu August począł kiwać głową.

— Ale kto to może wiedzieć? rzekł... jak się złoży i wypadnie!... Ojciec pewnie z lada kim cię nie poswata... zatém osoba będzie zacna, pięknie wychowana... i familii dobrój... O to możesz być spokojny...

Spojrzał zwolna na Brühla...

— Hm! tobieby się chciało ładnej — rzekł cicho i poważnie — tak? A widzisz! A to najgorzej... Ładna ci zbrzydnie... a gdy weźmiesz niepiękną, przyzwyczaisz się i wyładnieje... Mówię ci przyzwyczaisz się...

Co robić! Polityka! Ta nieszczęśliwa polityka wszędzie się wciska nieproszona... Akkomodować się trzeba.

Brühl stał uśmiechając się posłusznie, a August zamyslił się o czém inném...

— Nic — rzekł, jakby sam do siebie — ponowy nie będzie...

Starosta wyprostowany milczał.

— Nie będzie...

Po chwili podniósł król oczy...

— Żal mi cię mój Aloizy — ale co chcesz?... to nasza dola... Gdybyś się nie urodził synem ministra... byłoby co innego... Ojciec mnie prosił, abym cię przygotował. i nakłonił do ślepego po-

słuszeństwa, ale ty dobrym jesteś chłopcem i... — będziesz się akkomodował — prawda wszak tak?

— Nigdy nie czynił inaczej Najjaśniejszy Panie, rzekł Brühl — zapewne wolałbym się ożenić sam, niżby mnie żeniono — ale...

— Widzisz! zawołał król — ale ty jesteś synem ministra — to nie może być... Darmo! Co ci dadzą trzeba wziąć.

Tu król obejrzał się do koła, zniżył głos kiwnął na Alojzego, a gdy ten się zbliżył, szepnął mu bardzo seryo...

— Wszystkie one jednakowe... Słowo daję... przyzwyczaisz się... Polityka! rozumiesz? Trzeba się akkomodować:

Tak zbywszy się swój missyi, westchnął August jakby mu ciężar spadł z ramion.

— Ponowy nie będzie — rzekł innym tonem... a do tych psów strzelać nudna rzecz... Powiadam ci, nudna... Trzeba czekać wieczoru? Do jednego wypalić wszystkie się rozlecą... i skowyezą nieprzyjemnie. Co to warto!..

Przeszedł się po pokoju. Brühl stał, August mu położył rękę na ramieniu...

— Już się nie bój — szepnął: ojciec ci wybierze dobrze, spuść się na niego, ja się na niego we wszystkiem spuszczam... Bądź spokojny, posłuszny — i żebyś nie wierzgał.

— Nie ma posłusznieszego dziecka nademnie, nie chwalcę się Najjaśniejszy Panie — rzekł starosta.

— Ja to wiem, mój Brühl, i dla tego cie wszyscy kochamy — ja szczególnie... Jak tylko się dowiem, kogo ci wybiorą, powiem w sekrecie.

— A dotąd niewiadomo, Najjaśniejszy Panie?

— Niepewne... odparł król rękę pulchną obracając na różne strony... są próby, traktowania... targi... Słyszałem coś o Potockiej... ale nie wiem! i — sza! cicho! nie wiem!!

Starosta drgnął: na myśl mu przyszło owo zjawisko młodości, ta Marynia, której dziecięce wejrzenie jeszcze za nim goniło. Posądził na chwilę los, że mu może niespodziankę uczyni...

Poruszenie i żywy rumieniec, który na twarz wytrysnął, nie uszły baczności króla, który się uśmiechnął.

— Nie wydaj mnie! rzekł... Znasz jaką Potocką?

— Nie wiem o jakiej mowa, przypominam sobie jedną... widzianą przed laty... dzieckiem... Cześnika córkę...

Król potrząsnął głową gwałtownie.

— Ale nie, nie — rzekł... Cześnikówna! to sierota! uboga! co ci po niej? Ojciec wybierze pewnie inną... Jest bogatych Potockich dosyć... mnie i ojcu kolligacye potrzebne, bo nam tu „familja“ bróździ. Tacy ludzie niewdzięczni! On ci wybierze dobrą, skromną... a zresztą...

Ręką machnął.

— Powiadam ci — przyzwyczaisz się! Co to tam!!...

Pierwsze dygnitarstwo, jakie zawakuje, dam ci na podarek ślubny — a bądź grzeczny... Niech ci Bóg błogosławi!

Brühl schylił się do ręki, August go w głowę pocałował...

— Wszystko będzie dobrze, tylko ojca słuchaj, to... głowa!

Uderzył się po czole...

Szambelan wszedł oznajmując dwóch biskupów. August fajkę położył, szlafrok ściągnął, a Brühl usunął się na bok i tak się to posłuchanie skończyło.

* * *

Tegoż wieczoru czekał nań ojciec. Stosunki ich były czułe, ale zewnętrzne oznaki poszanowania z jednej, przywiązania z drugiej stony — kryły rzeczywistą oziębłość. Wzajem się obserwowano. Gdy starosta wszedł, badając go oczyma, rzucił się uścisnąć minister...

— Byłeś u króla?

— Wracam od niego!

Spojrzeni sobie w oczy. Minister postąpił parę kroków...

— Cóż ty na to? spytał...

— Kochany ojciec — odezwał się starosta z tą smutną wesołością, która była zwykłym tonem jego rozmowy z ojcem — zdaje się, że ja tu głosu nie mam...

— Mój drogi! to tylko dla tego — zawołał minister — że my starzy daleko się lepiej znamy na tém, co szczęście dać może, co konieczne... co pożyteczne... Zresztą, mój Alojzy, królowie i my, co jak ja i ty, stoimy wysoko i do wyższych jesteście przeznaczeni losów, nie mamy swobody rozporządzania sobą... Więc...

— Więc — mój ojciec — odparł starosta... jestem na usługi téj wszechwładnej pani.

— Tegom się spodziewał po twoim rozumie... Siadaj...

Starosta usiadł, ojciec jakby z obcym, począł od przymilań i uśmiechów.

— Nie masz się czego lękać — mówił zniżając głos — ja — i siostra twoja zbrobiliśmy ewentualny wybór dla ciebie, który mojej polityce jest na rękę... a raczej — powiem — niezbędny...

Będę to winien téj nieoszacowanej Maryi Amelii która jest moją prawą ręką, która gdyby nie była zachwycającą kobietą powinna by była zostać ministrem...

Jój to rozum, jój niezmierna ludzi znajomość. Spojrzał synowi w oczy.

— Domyślasz się już?

— Tak, rzekł starosta, Dukla niedaleko od Krystynopola, a siostra często bywała u wojewodziny...

— I podbiła ją; zawojowała, oczarowała tę despotyczną chimeryczkę, rzekł stary z zapalem...

Jest wszelkie prawdopodobieństwo, że swaty do starszej córki się powiodą... byłeś ty chciał, umiał, poszedł za radami Amelii i trochę dołożył starania Siostra ci tam wszystko przygotowuje, da instrukcye.

Starosta westchnął...

— Bardzo brzydka? spytał ojca uśmiechając się.

— Nie a nie... pośpieszył Brühl z odpowiedzią. Pięknością nie jest, bo córce pana wojewody kijowskiego piękność niepotrzebna, ale młodziuchna nieszpeta... a co największa — pobożnie i surowo wychowana. Przyniesiesz jój z sobą wyzwolenie z pod okrutnego despotyzmu mamy — i będzie ci niewymownie wdzięczna...

— Więc to już postanowiono? spytał starosta.

— Z mojej strony jest to jedyne pragnienie. Wiesz co znaczy dla nas alians z Potockimi? Wiesz co są Potoccy? Wojewoda jest najbogatszym panem w Koronie... Lecz — *entendons nous* — tego szczęścia dostąpić nie łatwo...

— Cóż stoi na przeszkodzie?

— Zapytaj siostry — mówił minister... W domu panuje na pozór wojewoda, w istocie sama pani, a z nią cała klika faworytów i cały milion jój chimier. Będzie nas ścisła rano, a odpychała wieczorem. Ktoś przyniesie głupią plotkę i jedno słowo może zerwać wszystko... Karlica jój coś podszepnie, ksiądz zrobi minę, nie podoba się krój fraka...

Ruszył ramionami.

— To staranie — rzekł szydersko starosta — wynagać kędzie studyów...

— Siostra ci je ułatwi... a ty! ty, gdy zechcesz, podobać się potrafisz...

Smutnie uśmiechnął się pan Alojzy... Ojciec go za rękę chwycił.

— Dla mnie to ożnienie — rzekł — jest to sprawa życia lub śmierci! rozumiesz? Familia czyha na mnie i grozi, muszę przeciw niej stawić mur... któregooby ona złamać nie mogła... Tyś moją nadzieją całą!!

— Niezmiernie się lękam... oby ona nie okazała się zbyt wątłą...

— Tu idzie, ciągnął dalej minister, nietylko o mnie, o moją politykę, ale o twoją przyszłość, o wzmocnienie położenia twego, o siły! Z Potockimi ręka w rękę, jesteśmy pewni zwycięstwa!

— A raczej oni z nami są go pewni! poprawił Brühl... Familia także była niegdyś nasza...

Brühl stary brwi zmarszczył...

— Oni nas chcieli użyć za narzędzie — to było trochę za śmiało... Zresztą, wystawiłem ich na próbę, dawałem im alians — odrzucili go obrażając mnie osobiście... Plany ich odkryte, czychali na to, aby mnie obalić...

Lada chwila walka wybuchnąć może... trzeba do niej być gotowym...

Cóż ty na to?

— Jako żołnierz stanę z tobą do boju — rzekł starosta — na partyzanta przydam się może, na wodza nie mam ani doświadczenia, ani geniuszu...

— Nadto jesteś skromny...

— Znam siebie — odparł starosta...

— A zatém — zakończył minister... słowo — rachuję na ciebie...

Kroki się słyszeć dały — Brühl zmienił twarz — rozmowa była skończona.

V.

W Krystynopolu nad Bugiem, dziedzictwie jednego z najmożniejszych panów polskich, Franciszka Salezego Potockiego, wojewody kijowskiego, starosty bełzkiego, rubieszowskiego, robczyckiego, dobrzyckiego, i t. d., i t. d., stary, obszerny pałac, rezydencya głowy domu, nie wyglądał wspaniale. Były to zlepięte z sobą obszerne domostwa, kilku podwórcami otoczone, ocienione starymi drzewy, więcej imponujące obszernością niż pięknnością budowy. Przepych zjawiał się tu tylko, gdy się z nim popisać było potrzeba; na powszednie dni nie kuszono się o zbytek, a największym pono mógł się nazwać liczny dwór, który wojewodę otaczał... Jego gwardye, wojsko nadworne, urzędnicy pańscy, dworzanie, służba mnoga, acz z wielką utrzymywana

oszczędnością i rygorem, tak kosztowały magnata, jakby był małym królikiem.

Zwano go też na Rusi tym imieniem, bo posiadłości dziedziczne, starostwa, osady, ogromne kraju przestrzenie zajmowały... Nad znaczną częścią jego w istocie panował... W owych czasach bezpieczeństwo własne i tak wielkich posiadłości, zmuszało do ciągłego czuwania. Wewnętrzne urządzenia nie zapewniały ich dostatecznie... Musiał więc wojewoda utrzymywać pułki, miał na swym żołdzie dragonię, ułanów, kozaków, piechotę i służba w tym wojsku nadworném liczyła się na równi z koronną. Fortragowanie zawisło niby od hetmańskiej władzy, ta się jednak niewiele mieszała do wojsk nadwornych takich jak pan Potocki i Radziwiłł magnatów oni sami rozporządzali się tu podług własnego widzi-mi-się.

Wojska w części u boku pana, częścią po dobrach ukraińnych rozstawione były. Oprócz milicyi liczny dwór wojewody, utrzymywany był z rygorem nadzwyczajnym, w karności daleko większej niż wojska Rzeczypospolitej. Charakter dumnego pana odbijał się i odzwierciedlał w jego otoczeniu. Dostojność, potrzeba obrony i przewodzenia nad drugimi, zmuszały do trzymania na żołdzie służby bardzo licznój; liczono ją w Krystynopolu na tysiące. Nie wyglądała ona zbyt świetnie, karmiona była skromnie, — sam wojewoda, który w danych razach krociami sypał, o tynfa się czasem targował,

a rachował szczerze z każdym groszem... Na wielkie uroczystości mógł przypiąć wielkie guzy z soliterów, ale na codzień chadzał w szaraczku i butach kozłowych, a gospodarstwem dóbr swych zajmował się tak pilnie, iż żaden korzec jagieł extra, bez kwitu jego nie był wydany.

Kradziono mu ich pewnie stami, lecz rachować je musiano co do garnca. Nie wiem czy na tém gospodarstwie drobnostkowém, trochę śmieszném, dobrze wychodził pan wojewoda — bo mu często na większe sprawy czasu zabrakło, ale chciał o wszystkiém sam wiedzieć i na nikogo spuszczać się nie lubił. W każdój ważniejszej okoliczności panowie gubernatorowie (tak zwano naówczas rządzców) odnosili się do jaśnie wielmożnego pana, listów od nich codzień przybywało mnóstwo, na wszystkie odpowiedzi sam pan wojewoda albo dyktował, lub choć po kilka słów odpisywał...

Osobliwa mieszanina przepychu azyatyckiego i skąpstwa, a raczej oszczędności małowzrostkiej cechowała dwór i gospodarstwo pana wojewody. Umiał być wielkim panem, ale stare szlacheckie tradycje brały nad nim górę co chwila... Szczególniej na dzień powszedni, powierzchowność jego odpowiadała zupełnie temu charakterowi, w którym niepoimierna duma, marzeniami wzbijająca się do tronu mieszała się z zabiegliwością i skrzętnością chciwego dorobku szlachetki. Miał to sobie z tradycji podane pan wojewoda, że szlachcic a bodaj pan,

starać się powinien nie tylko fortunę utrzymać, ale ją zwiększać i dorabiać koniecznie. Zbytek a marnotrawstwo były mu w ohydzie i wzgardzie, lecz tam gdzie szło o podniesienie powagi domu, okazanie potęgi jego i możliwości, sił, jakimi rozporządzał — tam miliona rzucić nie żałował...

Surowy dla siebie i dla wszystkich — życie domowe wiodł wedle najściślejszych prawideł jakie prastare tradycje przyniosły... Nie godziło się od nich ani na włos odstąpić. Więc najprzód wszystko co z wiarą i religią stało w związku, poszanowane było i uświęcone. Obserwowano praktyki, zachowywano posty, odprawiano pielgrzymki, nie opuszczano nigdy żadnego nabożeństwa, a dzieci pod dozorem duchownym i w bojaźni bożej chowano, i dwór musiał iść w ślady pańskie, hoby mu najmniejszego zwolnienia nie przebaczone. Oboje państwo sami byli przykładem... Nikt tam w piątek, wigilię i suche dni, na stole nie tylko mięsa, ale nawet nabiątu nie zobaczył. Dzień się rozpoczął od modlitwy, mszy świętej, pieśni pobożnych, i na modlitwie kończył. Trzaskający mróz nie zwalniał od kościoła, a dwór pana i fraucymer pani, chyba obłożna choroba, poświadczona przez doktora Macpherlana, od Gorzkich Żalów i Niezporów uwalniała...

Zatém szło ślepe posłuszeństwo rozkazom pańskim, które spełniał każdy nie wchodząc ani w ich następstwa, ani w trudności, jakie miały go w tém

spotkać. Nie było odpowiedzi, gdy dyspozycja wydana została, chociażby wojewoda coś najdziwniejszego nakazał. Spełnienie pańskiej woli nie obciążało sumienia podwładnych — a kto by się wahał, ten na dworze nie długo popasał. Rygor był niesłuchany. W szarój kapocie, z głową podgoloną i podstrzyżoną, wojewoda z twarzą swą zwiędłą, żółtkłą, rzadko kiedy uśmiechem w życiu wyjaśnioną, nie obudzał sympatii, ale umiał wrażyć uszanowanie i trwogę... Powierzchnowość jego na pozór niczem nie zdradzająca pańskości (bo wszyscy officjaliści pokażniej od niego chadzali nawet na dzień powszedni), samą tą prostotą i zaniedbaniem odbijała od tłumu; a wpatrzywszy się w tę twarz nihy pospolitą i nie odznaczającą się rysami bardzo wybitnymi, czuł każdy, iż w czowieku mieszka wola silna i energia niezłomna... Wojewoda nie mawiał wiele, zwłaszcza do niższych, rzadko się w dłuższą wdawał rozmowę — objawiał rozkazy zadawał pytania, nie dopuszczał dysskusyi. Nie cierpiał też szczebiotania, musiano mu odpowiadać krótko a węzłowato — inaczej brwi chmuryły, a gdy nogą tupnął, ten kto go do tego zmusił, tracił łaski na długo, jeśli nie na zawsze.

Zwano go despota — może sam to znał do siebie, lecz znajdował, że w swém położeniu innym być nie powinien, i nie mógł. Na barkach pańskich spoczywała odpowiedzialność za wszystkie te tysiące bożego ludu, któremi władał. Wprawdzie

płacił za to tém, że go los wszystkich co go otaczali, niemal jak własnej rodziny obchodził. Władza pańska daleko się szerzej rozciągała, niżby domyśleć się można. Tak naprzykład kto był choćby gubernatorem w majątku wojewody, szlachcie często możny i niezależny — jak skoro w służbę wstąpił, już w niczem sobą bez wiedzy pańskiej nie rozporządzał. Chciał się naprzykład ożenić, musiał się wprzód w Krystynopolu sumbitować i wziąć błogosławieństwo, wojewoda pisał się opiekunko do intercyzy, i datkiem to sowitym opłacał. Dzieci trzymano do chrztu, panny z fraucymern wojewodzina wydawała i po trosze wyposażała. Sieroty wychowywano, ale niemi rozporządzano wszechwładnie. Posagi, dary nie były znaczne, wyprawy skromne, ale tyle ich się do roku zbierało, że tylko Potocki mógł na nie starczyć. Cokolwiek na ziemiach jego mieszkało, musiało niemal poddaństwu ulegać.

Pani wojewodzina Anna, Potocka z domu, wojewody poznańskiego córka, która wniosła ogromny spadek po matce, ostatniej z Łaszczów, z charakterem i przez pożycie z mężem, tak mu była podobna, iż nigdy może zgodniejszego małżeństwa świat nie widział. Niemniej surowa, może w tém męża przechodząca, podejrzliwa, kapryśna, wojewodzina tak ostro trzymała swój fraucymern, iż rzadki dzień się w nim obszedł bez różeg, a pomniejsze kary spotykały dziewczęta co chwila. Kłę-

czenie na grochu było chlebem powszednim. Liczny dwór żeński wojewodziny Anny, tuż obok jeszcze większego męskiego pana wojewody, trzeba było w istocie nadzwyczaj trzymać surowo, aby się gorąca młodzież nazbyt nie kumała z sobą. To też nawet chodzenie pod oknami panien najmocniej było wzbronione, a ochmistrzyni pani Wałowska oczy i wejrzenia śledziła. Nie zbywało i na innych szpiegach. Trzydziestu dworzan zawsze stało na usługi gotowych; marszałkiem dworu, *de nomine*, od uroczystości, był ubogi książę Włodzimierz Światopełk Czetwertyński, któremu za to wojewoda starostwo Ułajkowskie wyrobił, a trzymał go i płacił, aby sam żadnego nie używając tytułu rodowego, mógł się tém przed gośćmi pochwalić, iż mu posługiwali książęta. Oprócz tego na starostach we dworze nie zbywało... Zastępował Czetwertyńskiego niemniej dobrego rodu starosta zawidecki, a łowczy pan Sadowski tytułował się Ropczyckim. Na tych łowczych, podłowczych, szlachcie posessyonatach, ludziach poważnych, jak na królewskim nie zbywało dworze. Ci, dla miłości „wysokiej protekcyi” pana wojewody, przy inaych po większej części pensyjkach, obowiązki lekkie pełnili...

Zwłaszcza przy obcych na dni uroczyste, etykieta dworu niemal była monarchiczna. Zaledwie się ukazał wojewoda — na odwachu bito w bęben, występowało wojsko, prezontowano broń i odda-

wano honory dowódcy. Nie było też wiele więcej roboty przy wspaniałej wjazdowej bramie, od samego pałacu okazalszej, gdzie straż czuwała dzień i noc... świadcząc o potęgze pana.

Życie w Krystynopolu, zwykłemi czasy było dość jednostajne i nudne... uprzyjemniały je plotki, których wojewodzina była niezmiernie łakoma. Porządek dnia i godzin przeznaczonych na zatrudnienia, był ściśle oznaczony. Straże zaciągały, mieniały się, wybijano capstrzyki, szyldwachy chodziły zaspane, a żołnierz nie o wiele więcej miał do czynienia nad to, że powozów w dziedziniec nie puszczał — chybaby kobiety jechały... Panowie wysiadali przed bramą. i w jakąkolwiek bądź porę, szli z rewerencyą do pałacu piechotą. Ekwipaże dam, wysadziwszy je, natychmiast za bramę powracać musiały... dziedziniec był w poszanowaniu.

Zgwałcił go raz tylko pan starosta kaniowski, gdy Żyda jakiegoś krystynopolskiego, poturbowawszy tak, że umarł, na skargę wojewody odpowiedział posyłając mu całą furę własnego chowu Izraelitów, których pod samym gankiem wyrzucić kazał.

Ani pan, ani pani nie próżnowali. Wojewodzina miała do utrzymania swój fraucymer, do wychowania córek cztery, faworytów i donosicieli mnogo, ploteczek do słuchania obfitość; wojewoda majątek do rządzenia olbrzymi, politykę dla zabawy i nadzór daleki nad wychowaniem syna jedynaka.

Z blizka się wpatrując w tajemnice pałacowe, dostrzegł łatwo każdy, iż tu, jak w większej części polskich stadeł — nie ten był w istocie panem wszechwładnym, kto się nim wydawał. Wojewodzina rządziła mężem i wszystkim, bez jęj porady nie stało się nic, woli jęj mógł, ani się myślał sprzeciwiać. Kochał ją i był dla nięj słabym... Pani Anna z tą siłą swą nie występowała nigdy na zbyt jawnie — owszem gotowa była z uszanowaniem uleż mężowi, lecz pan wojewoda myśli zgadywał, płaszczył się i słuchał, aby uniknąć chimer spazmów i historyj, które domem całym wstrząsały...

Ich dwoje w końcu stanowiło jakby jedną istotę — umysły się spoiły, nastroiły, uczucia zrównoważyły, natury obie łączyły tak ściśle, iż różnica zdań nie była możliwa. Było to jakby dwa zegary z jednemi kurantami, które co innego nad nie grać nie mogły. Ten fenomen małżeńskiego pożycia, po długich latach nieprzerwanego związku, trafia się często, a dawniej był może niż dziś pospolitszy, gdy ludzie więcéj z sobą żyli, od innych wpływów odosobnieni. Skutkiem jedności téj uczuć i myśli, twarze nawet stawały się do siebie bratersko podobne wyrazem. Państwo województwo ruchy jedne, sposoby mówienia, jedne smaki, humor ten sam mieli oboje.

Panowanie wojewodziny było dla innych widoczne, dla wojewody prawie się ono czuć nie da-

wało, ulegał dobrowolnie — przybierało ono formy usługi, pomocy, współczucia, podziału pracy. Wojewoda mógł się czasem mniemać panem, ale w istocie nigdy nim nie był, chyba mu dopuszczono i pofolgowano — względem obcych się nim okazać.

W wychowaniu dzieci matka naturalnie pierwszy głos miała i kierowała niém wyłącznie; ona dobierała ludzi, odprawiała ich i z doniesień faworytów dawała o nich wyroki. Surowość, z jaką trzymano dwór, aby się nie śmiał rozpasać, jeszcze większa może była względem dzieci, nieustannie mianych na oku. Wojewodzina była w zasadzie tego przekonania, iż rygor jeden kształci, że jest konieczny, że nadeń innego środka wychowczego nie ma. Drżały one wszystkie na widok matki, chociaż je kochała, ale pokazać im tę miłość nazywało się słabością, strzegła się tego wojewodzina, za jęj przykładem mąż iść musiał.

Nie pieszczono więc ani dziedzica jedynaka, który miał być spadkobiercą téj potęgi, ani dziewcząt — jakby do najtwardszego uspasabiając je życia. Były to istoty zahukane, drżące, nieśmiałe, zmęczone ledwie wazące się podnieść oczy, a przez usługi trochę psute po kątach. Nigdy pono wojewoda nie pomyślał o tém, że syn który od dziecka żadnej nie miał woli, kiedyś prawie nieograniczoną miał dostać i mógł jęj nie umieć użyć lub nadużywać.

Wśród tych trosk o rodzinę, o znaczenie w kraju, zdobycie sobie stanowiska odpowiedniego

swój potędze, o utrzymanie i rozrost majątków — nie miała pani wojewodzina innéj rozrywki, nad komeraże swych faworytów, nad plotki któremi je karmiono, i nienastanne jakieś drobne sprawy domowe do olbrzymich podnoszone rozmiarów.

Jątrzone ją, uspakajano, głupota jednych, złość drugich, próżniactwo, chęć zasłużenia się, nie dawały jéj pokoju i zrodziły nałóg tego karmienia się niezdrowym pokarmem. Wojewodzina była uległością męża popsutą, chymeryczną, dziwaczną, łatwowierną, a życie z nią prawdziwą męczarnią dla otaczających. Wiedziała o tém, że ją chymeryczką zwano i gniewała się za to na ludzi. Najmniejsze sprzeciwienie wywoływało gniew, omdlenia, płacze, narzekania, choroby, po których następowały błagania, pochlebstwa, tłumaczenia, przejednywania, i pokój wracał na kilka godzin, dopóki go nowa plotka nie naruszyła.

Kilka osób szczególniej miało poważny wpływ na panią wojewodzinę, a największy kapelan i dyrektor sumienia ks. Russyan. Był to zakonnik skromny, cichy, dosyć energiczny, znający doskonale wszystkie wady swéj pani, i umiejący sam wpływać na nią i poskramiać je. Jemu wiele było wolno, czegoby nikt inny pozwolić sobie nie mógł. Nudził się biedny ksiądz ciągle niepokojony, aby latał co drudzy popsuli; nieustannie napastowany o jakieś pośrednictwo i protekę, i dla tego, skoro mógł tylko, z Krystynopola wytechnąć do klasztoru

uciekał. Wpływ ks. Russyana był tak wielki, że często i pan wojewoda się do niego w ważnych razach uciekał; nie podnosiło go to w pychę, upokarzało prawie... Czynił dobrego wiele, a męczył się swym położeniem okrutnie, lecz świadczoneo klasztorowi, był potrzebny wszystkim... nie puszcza-no go ze stanowiska.

Ktokolwiek miał sprawę w Krystynopolu, o radę go musiał prosić i protekcję. Pocziwy Bernardyn nie nadużył nigdy swój potęgi; ale w twarzy, ruchach, obejściu widać było brzemie, które nosił, i znużenie jakiego doznawał.

Po ks. Russyanie szła panna Terlecka, wielka pani faworyta, konfidentka, zręczna, przebiegła, umiejąca się przypodchlebić, padająca do nóg, grająca miłość dla pani niezmierną — a po cichu frymarcząca swą siłą i umiejąca ją na korzyść obrócić. Wojewodzina nałogowo do niej przywykła... Nie najpierwszej młodości, ale jeszcze świeża i dosyć przystojna, uboga wychowanica pani, miała mnogich starających się, którzy czuli, że wyposażenie mieć będzie znaczne z łaski dobrodziejki — odrzuciła ich jednak wszystkich, nie chcąc postradać stanowiska zdobytego... Przed panią zdawało się to miłością i ofiarą dla niej. Wojewodzina chwaliła się tém, że ją tak kocha Terlesia, iż dla jój miłości kawalerów, i to co się zowie powabnych, a dobrze sytuowanych, odrzuca... Terlesia dobrze wiedziała dla czego to czyniła... Po mału zbierały

się podarki, sumki. oszczędności... a potem... w ostatku pewne było dożywocie i posażek...

Panna Terlecka, której we dworze lękali się wszyscy, w sekrecie donosiła nie szczędząc nikogo i głównem była źródłem plotek z całego świata. Zwykle po wieczerzy, gdy się wszyscy porozcho-
dzili, ona i kilka osób zaufanych ściągało się do wojewodziny, gdzie z całego dnia sprawę zdawano, co kto powiedział, zrobił i t. p.... Na téj radzie tajemnej w garderobie pani rozstrzygały się nieraz losy ludzi i rodzin całych.

Terlecka miała głos pierwszy i największą wiarę — wojewodzina patrzyła na nią, a panna umiała zawsze przewidzieć co najmilszém pani być mogło. Terlesię jak ks. Russyana znali wszyscy, co byli zmu-
szeni dotykać Krystynopola — księdza zyskiwano dobrem słowem, faworytę prezencikami, które bar-
dzo lubiła. Dawła ona rady, przyrzekała pro-
tekcyę, lecz trzeba było umieć do serca jój prze-
mówić...

Obok panny, ale w innéj zupełnie roli stała matka jój, pani Katarzyna z Giedrojców Terlecka, postać osobliwa, oryginalna, coś pomiędzy dewotką a waryatką pośredniego... osobka mała, krzywa, gadatliwa, niedorzeczna, pyszna ze swego pocho-
dzenia od Giedrojców, natrętna, napastliwa, nie-
znośna, ale w łaskach u państwa, którzy w nią nabożeństwo dziwnie i krew pańską szanowali. Staruszka umiała z tego korzystać...

Funkcyą staréj Terleckiéj były modlitwy skuteczne; ona za wszystkich i na różne intencye módląc się, pościć, odprawiać nowenny umiała najlepiej, ona jedna aplikować trafnie nabożeństwo mogła do potrzeby; wiedziała kiedy należało się udać do Św. Antoniego, a kiedy do Św. Mikołaja, w jakim wypadku ten a ten patron był najlepszy, i jaki rodzaj ofiary mógł go zjednać... Udawano się do niéj na pewne...

Stara Terlecka przybierała wówczas poważną postać, zamyślała się i upewniała, że znajdzie drogi... Sekreta nowenn, postów, leżenia kryżem, praktyk dziwnych były jéj tylko wiadome. Niekiedy unosiła się aż do pewnego rodzaju prorokowania ekstazy. Naówczas mówiła zupełnie bez sensu, ale z takim zapałem, że nie można było jéj nie admirować. Oboje państwo bardzo pobożni, szanowali starą Terlecką. Sam jéj pozór w sali pałacu dla obcych osobliwém być musiał wrażeniem. Starnszka wychodziła wykrygowana, z głową podniesioną, sztywna, nie uraniając ani na chwilę powagi — a im więcej było obcych, tém się stawała dziwniejszą... Ogromny biały czepiec ze wstęgami, worek na rękę wypchany, rożaniec u pasa nieodstępny, wielka głowa na małej skrzywionéj figurce... czyniły ją doskonale śmieszną — nikt się tu jednak nie ważył inaczej do niéj zbliżyć, niż z największym poszanowaniem. W kościele stara Terlecka, w zakrystyi, na nabożeństwie formalny réj wodziła...

porywała świece, kierowała księżmi, intonowała pieśni, a pobożność jęj objawiała się taką mimiką gwałtowną... że trudno było pojąć, jak na dość podeszłe lata mogła jęj podołać.

Ręce wyciągnięte do góry czasem trzymała godzinami, biła się w piersi straszliwie, całując ziemię sztukała czołem, że się o czaszkę lękać przychodziło... Za to potęm jadła z apetytem wybornym i piła ze smakiem... Terlecka często ale nie zawsze siadywała w Krystynopolu, korzystając z łask wojewodziny, odwiedzała inne dwory gdzie ją z tego powodu dobrze przyjmowano i obdarzano. Stara łakoma była niesłychanie i wcale z wyciąganiem datków nie czyniła ceremonii, przymawiała się do nich. A że uboga była, dawano jęj chętnie suknie, pieniądze, łakocie... i t. p. Córce zawadzała nieco ta żebrania, lecz matka nie dała się skłonić, aby spokojnie siadła na dewocyi przy kościele, i żyła z ordynaryi. Nawykła do ruchu Terlecka, długo w jednym miejscu usiedzieć nie mogła...

Wpadała z okrzykiem do domów...

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Matka Boska nasza Królowa... Aniołowie święci niech ten domek okryją skrzydełkami... Na intencyę państwa moich dobrodziejstwa osobliwych odprawiłam Nowennę... że skuteczną... czuje to w sercu mojem uspokojoném... Miałam widzenie w czasie mszy świętęj... wszystko będzie dobrze! tak mi Boże dopomóż, bo państwo dobrodziejstwo o bie-

dnym i łaknącym nie zapominać... Duch święty podał to do serca mego... Czas się zbliża ukontentowania...

W dalszej rozmowie umiała się przymówić i o sztukę atlasu, i „o wino antałeczek na mój żołądeczek.“ Pobożność ta nie przeszkadzała pani Katarzynie z Giedrojców Terleckiej znosić do Krynopolu ploteczek z okolicy... Wojewodzina miała słabość do niej, ona też — nogi osobliwszej dobrodziejki całując, niedorzecznościami i pochlebstwami uszy napychała... Córka naówczas milczeć musiała... bo matka jej się nie dawała powodować... Nie licząc pomniejszej gawiedzi, która panią wojewodzinę otaczała, mniejszemi lub większemi jej ciesząc się łaskami, — na ostatek trzeba tu jeszcze zapisać ulubionych jej karłów dwoje — Bebusia i Bebę.

Bez tych dwóch istot wojewodzina równie jak bez Terlesi obejść się nie mogła. Popsute rozpieszczone, dziecinne, odegrywały one rolę, jaką gdzieindziej pieski faworyty mają, z tą różnicą, że gryźliwy ich i niespokojny charakter nieustannie wywoływał wojny i swary. Bebuś i Beba kłócili się z sobą, szpiegowali fraucymer i sługi, donosili co podpatrzyli przez okno, co podsłuchali u drzwi, zasługiwali się pani, a zarabiali na nienawiść całego dworu. Wojewodzina jednak mimo słabości dla karłów, trzymała ich niekiedy tak surowo jak i innych... Bebuś wzięwszy różgę do nóg padał,

przepraszał, dostawał sucharek i szedł się mścić nad towarzyszką wierną, nad którą się znęcał bez litości. Nie cierpiano Bebusia i Beby, ale i im musiano się czasem przypochlebiać, zyskiwać ich sobie, aby nie pletli niepotrzebnych rzeczy i nie poddawali złych myśli... Bebuś był plotkarz i łgarz okrutny... ile razy dowiedziono mu długojęzyczność grzeszną, wojewodzina kazała mu wieszać na szyi czerwony sukienny język, z którym czasem chodził po kilka godzin za karę...

W wielkiej sali pałacu w Krystynopolu, Bebuś i Beba mieli swój apartament osobny. Słuszny mężczyzna mógł mu się przyglądać z góry, gdyż nie okryty był dachem... Składał się on z parawanów, papierem oklejanych, na którym poprzylepiano wystrzygane figurki dziwaczne zwierząt i ptaków... Stanowiły one tych starych dzieci zabawkę... W pośrodku mieli salonik ze stołowami lilipuckimi meblami i całe niby gospodarstwo...

Nieszczęśliwe to małżeństwo z babiami twarzyczkami gębczastemi i obwisłemi, żyło z sobą jak pies z kotem, ale to na opak, Bebuś był tyranem i władzcą, a biedna Beba ofiarą... Obawiała się ona męża okrutnie, a ten że o cal od niej był wyższy, znęcał się nad słabą towarzyszką. Przypomniało mu się co dowiedzione zostało i za co był karany, stary, paskudny Bebuś, bałamut był i kochał się w pannach respektowych, dobierając zawsze dla efektów swych najsluszniesze wzrostem.

Gdy za parawanami rozpoczęła się wojna i wrza-
wa — bo karły miały charakter niespokojny — wo-
jewodzina dobywała z szufladki stoliczka małą dy-
scyplinę i szła własnoręcznie sprawiedliwość wy-
mierzać. Niestety — miała dla Bebusia pewną sła-
bość, z której on korzystać umiał; zawsze więc
prawie nieszczęśliwa Beba, choć rączki składała,
zaklinała się i przysięgała, że była niewinna, mu-
siała za grzechy męża pokutować. Bebusia ubie-
rano po polsku, i mimo że szlachectwo jego było
wielce problematyczne — chodził przy szabelce;
Bebę strojono w czepce, fryzury, robrony, i trze-
ba przyznać, że im na sukienki nie żałowano.
Kobiecina bardzo się stroić lubiła, a Bebuś próżny
był, elegant śmieszny i lusterko w kieszeni nosił.
Trafiło go to niezmiernie, iż mu wasy rosnać nie
chciały; choć po kryjomu golić się kazał cyruliko-
wi — nic to nie pomogło.

Wojewoda słaby we wszystkiém dla żony, cier-
piał to niezdolne stadło, do którego towarzystwa
należał mops otyły i kaszlący, i papuga zahrypła...
Beba pilnowała ptaka, Bebuś chorego przyjaciela,
który cierpiał na wątrobę — chodził go przewietrzać
na ganku... Pan wojewoda tolerując parawany,
zdala się jednak od nich trzymał i krzywił cza-
sami, gdy kakadu nadto wrzeszczała, a mops wyc
z niecierpliwości zaczynał... Rzadko się to jednak
zdarzało...

Bebuś i Beba nie próżnowali — odprawiali nabożeństwo z całym dworem, jejmość robiła pończochy i podwiązki, a on sam używany był do posyłek, roznosił rozkazy, a proprio motu, oboje się z za parawanów wyrwali w świat ze szczególném zamiłowaniem oddając szpiegowaniu ludzi wyższych wzrostem, których za nieprzyjaciół rodu swego uważali.

Wojewodzina nie zawsze mogła dopilnować tego co się działo za parawanami. Gdy długa panowała cisza, domyślała się dezerzy — naówczas albo sama się puszczała, lub wysyłała w pogoń jednego z dworzan, a zbiegi bezpasportowe za powrotem, jeśli się od dyscyplin wykupiły, musiały klęczeć, albo u stołu być pozbawione najmielszej potrawy.

Wyliczyć główne postaci dworu pana wojewody, byłoby trudno; faworytów nie miał, pochlebców nie lubił, preferował jednak tych, co jak koniuszy Wilczek najgoręcej spełniali jego rozkazy. W otoczeniu wojewody ludzi się liczyło seciny; najpokorniejsi i pochlebcy i tu szli górą, uniżoność bowiem i adoracyę ceniono ze wszystkich przymiotów najwyżej. Kto umiał się zalecać submissyą niezmierną, kłaniał do ziemi, za kolana ścisnął, oczu nie śmiał podnosić, olśniony blaskiem majestatu pańskiego — ten dał sobie rady. Najmniejszy tonik niewczesny pani wojewodzina w dworzanach karała na prędce ręką szybką, która wymierzała policzek,.. Nie krzywdziło to szlachcica, gdy od jaśnie wolmożnej pani

w papę dostał, ale nazbyt przyjemném nie było. Miłości téż wielkiej ani wojewoda, ani ona nie zjednali u dworu — szanować się kazali — i — drżało wszystko przed nimi. Rygor zresztą był więcej pozorny, niż rzeczywisty. Wyjawszy nieznośne karły, cały dwór wzajem sobie rad był ulżyć téj niewoli. Naoko szło wszystko sprężyć się, pilnie; posłusznie lecz umiano sobie folgować po cichu.

Mówiono o panu staroście zawideckim — który był mężczyzną ślicznym i galantem wielkim, że nawet w późnej po capstrzyku godzinie ośmielał się oddawać wizyty fraucymerowi. Było to zuchwalstwo tak straszne i niebezpieczne, iż na nie chyba miłość prawdziwa zdobyć się mogła... Udawało się to czas jakiś, ale karły coś przewączywały... Bebuś o cały fraucymer był zazdrosny. Wojewodzina coś podejrzewając, wyszła raz późną godziną na korytarz śledząc właśnie, gdy starosta z pokoju panien się wymykał. Schwytyany na uczynku, że było ciemno, nie widział innego ratunku nad udawanie duszy z czysca na padół płaczu przybyłej — znikąd ratunku nie mającej. Jął więc zawodzić, jęczeć, stękać, chrapać; wojewodzina przestraszona upiorem uciekła a za duszę starosty nazajutrz uroczyste odprawiono nabożeństwo... Na drugi raz pewnie był ostrożniejszy...

Podobnych wybryków działo się pewnie i więcej lecz jedni drugich jak mogli zasłaniali i bronili, a życie się wlokło. Kobiety, które w świat wycho-

dziły z fraucymeru wojewodziny, trzymane w takiej rzye, rzeczywiście na niej zyskiwały, i co późniój życie im przyniosło, przyjemném wydawać się musiało, po surowej klauzurze. W żadnym klasztorze reguła nie była tak ścisła jak tutaj,

Podlegał jój i sam wojewoda, któremu żona najmniejszego wyłamania się z godzin i trybów życia nie przebaczała. Po wyekspedowaniu kresów i listów wieczery i modlitwie, gdy na odwachu capstrzyk wybito, a konferencya jójmości z faworytami była skończona, wojewoda z kancelaryi swój, pozamykawszy wszystko, ze świecą woskową w maleńkim lichtarzyku, szedł przez pokoje do sypialni, do jójmości. Tu zwykle jeszcze odbywała się narada poufna, pod wpływem wrażeń z konferencyi wyniesionych, spowiedź z dnia całego, i wojewodzina dawała instrukcye małżonkowi w sprawach wątpliwych.

Przez jeden pokój, w którym zwykle sypiała panna Mładanowiczówna, lub inna z młodszych panien respektowych — oddzielony był tylko korytarz wiodący do fraucymeru i pokoju córek. Tam gdy w téj porze powszechnego milczenia, najmniej szmer dał się słyszeć, wojewodzina wstawiała sama ze stoczkiem lub bez stoczka, i narzuciwszy pudermantel, szła troskliwą rewizyę odbywać.

Niekiedy pannę w przedpokoju budził żwawy spór między małżeństwem wynikły — bo, choć się pan wojewoda akkomodował we wszystkiém, nie

bez tego, żeby mu czasem mucha na nos nie siadła. Naówczas, ażeby prejudykatu nie zyskał, jéjmość śpieszyła z poskromieniem swawoli, i nigdy się nie trafiało, ażeby pokój przed spoczynkiem nie został zawarty, po zwycięztwie odniesionym nad wojewodą.

Wychowanie jedynego syna wojewody, na którym rodu spoczywały nadzieje, powierzone było czcigodnemu pijarowi ks. Wolffowi. Dodawano mu metrów, był dla języka Francuz kamerdyner przy paniecu, ale pieczę i nadzór główny dzierżył ów uczony a pobożny księżyna, człek najlepszych chęci, mający tylko tę wadę, że radby wszystkim dogodził nie wyjmując ucznia swego. Sam sobie zostawiony byłby pewnie energiczniejszym i lepszym mentorem ale matka mieszała się do wszystkiego, wtrącał po trosze ojciec, uczeń miewał wstręty i popędy różne a ksiądz Wolff nikomu się niechcąc narażać, na ciągłych był torturach. Spokojny człeczyna, łagodny do zbytku, surowość obojga rodziców starał się chłopięciu nagrodzić. Na pocięchę w téj biedzie przychodził doń ks. Russyan na maryasza, a Feliś z kamerdynerem Francuzem baraszkował w przedpokoju.

Do panienek wojewodzina zmuszona była wziąć najprzód bonę Francuzkę, bo już naówczas francuzczyzna była warunkiem wyższego wychowania... Po bonie przyjęto madam...

Tę jéj nastreczyli Potoccy, u których już wychowaniem się zajmowała. Madam, pomimo posłu-

szeństwa i uległości, nie miała u wojewodziny tyle swobody co ksiądz Wolff, którego suknia duchowna po części od zbytniego despotyzmu osłaniała.

Wojewodzina wglądała we wszystko, a co do kształcenia charakteru, układu, wpajania zasad pewnych — sama córkami kierowała.

Madam Dumont od razu, gdy ją to szczęście spotkało, że do Krystynopola przywiezioną została i cztery dorastające panienki pod jej dozór i naukę oddano — pierwszego wieczoru pojęła swe położenie, a zarazem starać się zaczęła zbadać usposobienie panienek, aby wiedzieć jak ma postępować z niemi.

Wszystkie one ostro trzymane, onieśmiałone były i biedne — gdy na ustach dobrej, ale płochęj dosyć Francuzicy ujrzały uśmiech miły a poczuły w niej trochę serca, rzuciły się na nią jak na pastwę... Dumont była dobrą i słabą do zbytku — znalazła się więc w tém fałszywém położeniu, że panienkom chcąc ulżyć losu, musiała je uczyć kłamać.

System był przyjęty taki, że za najmniejszym w korytarzu szelestem, i w godzinach w których wojewodzina przychodzić zwykła — wszystko leżało w miejscu, zajęcia odbywały się wedle przepisów. Wcale jednak szło inaczej, gdy panny same z panią Dumont pozostały. Wówczas trzpiotały się i robiły co się im podobało, oddychając swobodnie. Madam nazywała się u nich zawojowaną prowincją. Fran-

cużka lubiła czytać, nie trudna była w wyborze zajmowały ją szczególnie romanse, a wiadomo jak różne one bywały w końcu XVIII wieku.... Książki te zakazane najsrożej potępiono — nigdy się w pokoju madamy ani panien nie nastreçały oku surowej matki — jednakże nie zaręczylibyśmy, żeby ich najstarsza panna Marya po kryjomu nie czytywała.

Siostry młodsze, żywszych temperamentów, bardzo jeszcze dziecinnie bawiły się lalkami; ona była nad wiek dojrzała. Niezbyt piękna, nie bardzo słusznój, ale zręcznej postaci, ciemnych oczu, włosy miała prześliczne, rączkę i nóżkę jak utoczone, wiele dystynkei i powagi, ale zarazem coś tak smutnego i zbolałego w sobie, iż patrząc na nią zdawało się widzieć istotę na męczeństwo przeznaczoną. Nie skarżyła się jednak nigdy, ale dzieckiem jeszcze nie znała wesołości, chodziła zadumana, a rzecz najmniejsza ją trwożyła. Cere miała bladą, wyglądała mizernie; niekiedy kaszelek suchy i rumieniec wypalony doktorowi Macperlanowi dawały do myślenia. Naówczas jednak systemem było temperamenta delikatne hartować, a pani wojewodzina mocno wierzyła w to, iż chorób wszystkich pozbywa się walcząc z naturą. Dzieci więc w ogólności to najwięcej jadać musiały do czego wstręt miały najmocniejszy, a narażano je na wszystkie życia nieprzyjemności, aby się z niemi oswajały. Sukienki zimną dawano umyślnie bardzo lekkie, pościółki

twarde, futra żadnego, stół prosty, zimna woda w użyciu, czasem chleb razowy i boso spacerowanie po rosie...

Doktor Macperlan, tak samo, jak niemal wszyscy na dworze, poznawszy charakter państwa, miał sobie za najpierwszy obowiązek wcale się im nie sprzeciwiać. Kłaniał się nisko przed wojewodzina, i co ona za dobre uznawała, teorią swą naukową podpierał. Tak mu było wygodnie. Dzieci wyglądały dosyć mizernie, z tego jednak miały później wyrosnąć... To wyrastanie należało do zasad pani wojewodziny, hartowano je tymczasem...

Madam Dumont, której pobyt w Krystynopolu przykrzył się wielce, bo nie miała do kogo poufale przemówić ani słowa, już to dla języka, już z obawy plotek — przywiązała się do starszej swój wychowawicy Maryi — bo ta jej chętnie słuchała, rozumiała najlepšíj, a zdradzić nie mogła nigdy. Przed nią czasem nawet, bardzo po cichu, na tę klauzurę, klasztor, niewolę i uroczyste nudy, na te plotki i humory wojewodziny narzekać się warzyła... Wzdychały obie... Marya nie odpowiadała nic, bo w ogóle mało była mówiącą, ale słuchała chętnie wzdychała sympatycznie. Pamiątka już była dorosła ale zamknięcie w domu, sposób wychowania rygor matki, przed którą szczerze nigdy się z niczego wypowiadać nie było można — czyniły ją nieśmiałą i dziecinną.

Tak stały rzeczy na krystynopolskim dworze, gdy jednego wieczoru Bebuś przybiegł od wojewodziny do madamy prosząc ją na rozmowę.

Wezwanie to miało w sobie coś tak nadzwyczajnego, że madam Dumont, która zobaczywszy karła, prędko książkę czytaną schowała — przelekła się niemało... W Krystynopolu szło tak wszystko wedle zegaru, a widzenia się z wojewodziną tak ściśle miały oznaczone godziny, iż się chyba czegoś strasznego można było spodziewać. Dobre rzeczy nader się tu rzadko trafiały... Do nich liczyły się podarki na Nowy Rok i imieniny, a w pewne święta spodziewane niespodzianki, w czasie których bawiono się systematycznie pod okiem matki, w cztery kąty, cenzurowanego, ciuciubabkę, kotka i myszkę, posilając migdałami, rodzenkami i figami.

Madam Dumont drząc cała, poszła do zwierciadła poprawić peruczkę, panienci strwożone otoczyły ją patrząc w oczy... jakby się już obawiały utracić... Francuzka westchnęła na intencję, żeby jakiej bury nie dostać — Bebuś czekał — wyszła...



VI.

Dla zrozumienia tego coby Francuzkę spotkać miało cofnąć się nieco musimy w opowiadaniu. Już od dwóch miesięcy często przybywała do Krystynopola pani Mniszechowa z Dukli, przesiadywała tu razem z panią Cetnerową po dni kilka i nadskakiwała wojewodzinie. Po każdém widzeniu się, następowały narady z ks. Russyanem i panną Terlecką, konferencye wieczorne burzliwe, naprzemiany usposobienia wesołe i frasobliwe, irytacye, mdłości i uszcześliwienia. Widocznie coś tu ważnego się gotowało Wojewoda wzywany to mitygował, koił, to sam nie wiedząc co poczynąć wysuwał się milczący. Niekiedy szeptano i sprzeczano się żywo.

Panna Terlecka podsłuchiwała raz wojewodzinę wołającą:

— Nie chcę! nie chcę za nic w świecie!

Potém przybyła znowu Mniszchowa, uśmiech powrócił na usta, dobry humor rozjaśniał twarze wszystkich, pan wojewoda ręce jéjmości czule całował... W kilka dni wróciły fochy, a po nich jeszcze raz pokój i zgoda... Trwało to dosyć długo, dopóki wreszcie nie ustaliła się na horyzoncie krystynopolskim pogoda, i wojewodzina nie stała się łagodnie zamyślona tylko. Wzywano często jegomości na cicho narady, zawsze ucałowaniem rączek się kończące i sakramentalném:

— Zrobisz co zechcesz, moja duszko... nikt nie zmusza...

Po tych wszystkich przejściach i niepewnościach, których przyczyny domyślała się tylko panna Terlecka, a wiedział o niej jeden tylko ks. Russyan który milczeć umiał, jednego dnia po wieczery dwór wojewodziny cały zebrał się u niej w garderobie na zwykłą konferencyę...

Oprócz starój i młodój Terleckiej była pani Wąłowska, były dwie niemłode jéjmoście; wojewodzina siedziała w fotelu i wzdychała zamyślona, na noc każąc sobie pod czepkę włosy układać.

— Już dłużej nie ma co tego w bawełnę obwijać, odezwała się cicho do starój Terleckiej ze swym workiem i różańcem siedzącej na niskim stoleczku u nóg pani...

— Proszę cię moja Terlesiu, o nowennę na intencyę Maryni...

Stara dewotka w ręce plasnęła...

— Tak mi panie Boże dopomóż, — poczęła, szepleniąc żywo, — tak się nademną ulituj Matko Najświętsza, opiekunko moja osobliwa, że już mnie Duch Święty dawno to do serca podał, iż o pannę Maryannę chodzi... względem wiekuistego, a daj Boże sukcesów pełnego postanowienia. Co w niebie napisano, nie minie... Nowenneczkę z suchotami odposzczę i odprawię na intencję całego splendoru domu moich dobrodziejów...

Plotka tak świecąc małemi oczyma i całując z uniesieniem rąbek szaty swój pani, gdy wojewodzina dodała:

— Albo co będzie lub nie... zobaczymy... Kawaler rodu pięknego, cóż kiedy słyszę trochę bałamut,.. piękny, bogaty...

— Za łaską Pańską... do Przemienia koronkę mówić będę sześć niedziel, wszystko się to inaczej obróci... a trzpiot ustatkuje.., Byle łaska boża — Duch Święty natchnie...

Panna Terlecka stała nadśluchywując także.

— Różnie ludzie prawią — poczęła wojewodzina — siostra za nim przemawia, osoba poważna i stateczna... ręczy... z Warszawy inne wieści płyną.

— Nie trza zważać, szepnęła panna — zazdrośni je wymyślają.

— Ale masz rację — rzekła pani.

— O! już to moja — odezwała się Terlecka

uśmiechając się do córki i uderzając po czole...
jój rozumek dał Pan Bóg, kiedym ją za młodu
do Św. Józefa ofiarowała!... Wymodliłam jój i wy-
pościłam główkę nie makówkę... serduszko złote
i błogosławieństwo aniołów...

— To téż — ciągnęła na szczebiotane uwagi
nie zwracając wojewodzina — postanowiliśmy po-
zwolić kawalerowi przybyć...

— Nowenneczkę poczną jutro! zawołała stara...
świeczki dwie zapalę i zaposzczę...

— Ojcowie się już porozumieli — szepnęła jój-
mość, — ale o tém nie trzeba mówić, jeszcze
nikomu.

— Kłódką usta zamknę, dla miłości moich
dobrodziejów, których Bóg niech obsypuje... Naj-
świętsza Opatrzność — Patryarchowie, Patronowie
i wszyscy święci pańscy... *Ora pro nobis!* plotła
Terlecka.

— Jak myślicie? odezwała się wojewodzina —
lada dzień przybędzie; należałoby Marynię przygo-
tować, żeby się wiedziała jak znaleźć, a starała
podobać...

— Przy łasce Pańskiej, bo ja powiadam to
zawsze... w miłosierdziu bożém... przerwała stara
Terlecka... a rany Jezusowe pomogą!

Westchnęła w piersi się bijąc...

— Jeśli mi pani słówko wtrącić pozwoli —
szepnęła panna...

— Mów, proszę cię.

— Główka nie makówka! mruknęła matka, nie mogąc powstrzymać języka.

— Panience nawet nie trzebaby mówić, iż rzeczy niepewne... ciągnęła dalej panna Terlecka — bo to, proszę jaśnie pani, czy na jedną czy na drugą stronę padnie — lepiej od razu objawić postanowienie... panna Maryanna nie wiedząc, że rzeczy pewne i stateczne, myśleć może tak i owak, a jak się dowie, że to ma być niezawodnie (co przy łasce bożej niechybnie nastąpi) — zastosuje się do woli rodziców i będzie dobrze.

Stara Terlecka słuchając córki, tylko głową kiwała, dziwiąc się jej rozumowi, i dłonią się biła po twarzy.

Wojewodzina mocno była zadumana.

— Już to jegomości nie widziałam nigdy tak czegoś pożądanego jak tego małżeństwa — które mu potrzebne być musi — rzekła cicho... a jak oni co postanowią, zawsze na swójem postawią.

— E! odezwała się panna śmiało, całując rękę wojewodziny — co to mówić! jak jaśnie pani nie zechce, to się wszystko w nie obróci. Ale dla czegoż nie chcieć, gdy dzięki Bogu, partya jakiej tylko można żądać?...

— Pewnie, pewnie — ale to młode i trzpiot... bałamut... tak z Warszawy donoszą... mruknęła jejmość.

— Bo chcieliby jaśnie państwa zdysgustować, a sami go chwycić... dodała panna Terlecka...

— Ale, wracając do rzeczy — zaczęła wojewodzina... trzebaby Marynię przygotować... Mnie nie wypada, przestraszy się dziewczyna...

Spojrzała na pannę Terlecką...

— A tybyś tego nie potrafiła? he?

— Co mnie pani rozkaże, na wszystko jestem gotowa — poczęła panna — jednakże ja tam téj poufałości nie mam... Mnie się zdaje, że do tego...

— Któż, myślisz? kto?...

Stara Terlecka mrucząc coś, jakby się modliła, ciągle klepała się po twarzy. Był to wyraz podziwienia nad córką rozumem...

— A gdyby madam? proszę jaśnie pani — szepnęła panna i to, niechby nie mówiła, że z dyspozycyi, tylko — pod sekretem... Panna Maryanna byłaby przygotowana...

— Słowo daję nie ma do rady jak ty Terlesiu masz słusność, tak najlepiej...

Lice matki staruszki rozjaśniło się, ręce złożyła i nie wytrzymawszy dłużej — dodała:

— A ja nowenneczkę zapocznę... i do moich świętych się udam... których wiem, aby się maryażem opiekowali — i Opatrzność Boska, a Patrownowie i Anioły Stróże... Zobaczysz pani, pójdzie wszystko jak z płatka...

Narada przeszła w opowiadanie o Brühlach ich stosunkach i charakterze, panna Terlecka znadź dobrze przygotowana, miała w tém względzie obfite wiadomości, i widocznie była za związkiem. Woje-

wodzina nie zdawała się téż od tego, konwinkowała ją i ta okoliczność, że po królowej JMci, niedawno zmarłej starostwo spiskie spadło na Brühla a syn je miał od niego otrzymać... Liczono téż inne [mnogie] posiadłości już nadane lub przyobiecane.

— Przy pomocy bożej, konkludowała Terlecka... pójdzie wszystko jak z płateczka... a po weselu — okroi się i mnie ubogiej słudze, a bogomoduicy... jaki płateczek...

Na radzie tajnej postanowiono, w myśl panny Terleckiej, użyć madamy do przygotowania wojewodzianki. Nazajutrz miała z nią mówić o tém sama pani, i dla tego ją do siebie wezwała...

Gdy Dumont weszła drżąc... wojewodzina siedziała w swoim pokoju przytykającym do sypialni i dzielącym ją od wielkiej sali. Jak w charakterze obojga państwa tak w urządzeniu tego mieszkania osoliwsza panowała mieszanina pańskości i skrzętnej gospodarności.

Staroświecki zegar przepyszny stał na kominie między dwoma chińskimi wazonami, było zwierciadło weneckie z herbem Potockich u góry, biuro bronzami złożonemi ozdobne, ogromna szafa gdańska rzeźbiona, którąby w muzeum godziło się postawić, ale obok tego leżały cienkie motki niebielone, kilka wianków grzybów, próbka suszonego rumianku, na oknie stały gąsiory tajemnicze, w których pod okiem wojewodziny naciągały spirytusy pączki brzo-

zowe, jarzębina i różne sławione produkta. Tych rozmaitych specyfików wyrobu sama pani Anna doglądała, nie spuszczając się na nikogo. Niezmiernie czynna, choć miała się zaprawdę kim wyręczyć, nie chciała uwolnić się od pracy. Kilka pokoleń składało się na książkę straszliwemi charakterami pisaną, w której były i przepisy pieczenia ciast wielkanocnych, i lekarstwo skuteczne od robaków, i smarowania przeciw rwaniu w kościach, i recepty wódek a likworów doskonałych...

Zmierzchało już, gdy z bijącym sercem wsunęła się madam do pokoju wojewodziny. — Bebuś ciekawy a złośliwy, rad coś podsłuchać, wśliznął się za nią, lecz baczne oko pani postrzegło go, tupnęła nogą, i zawołała ostro:

— Bebuś! czego tu? swojeś zrobił! A do budy mi! nogi za pas! Słyszysz?...

Karzeł trochę zmieszany uciekł...

Wojewodzina siadła w krześle podparta na rękę i chmurna... spojrzała na Francuzkę...

— Siadaj, moja Dumont — odezwała się nieosobliwą francuzczyzną: siadaj proszę, mamy z sobą do pomówienia...

W głosie nie było nic przerażającego, Dumont się uspokoiła i na dosyć oddalonego krzesła rożku, przysiadła nader skromnie.

Wojewodzina zamyślona milczała trochę, potem coś sobie snadź przypomnieć musiała, dała jakiś znak madamie, a sama po cichuteńku na palcach

skradła się do drzwi wchodowych i otworzyła je nagle... Złapany na uczynku Bebuś, chciał pierchnąć nogą się o coś zaczepił i padł.

— Łajdak jakiś! paskudztwo!... krzyknęła pani nogą tupiąc — idź mi zaraz niech ci, nie kto inny tylko ochmistrzyni, da różeg piętnaście, i żebyś mi kwitek przyniósł na to..

Bebuś coś bełkotał, ale drzwi się nielitościwie zamknęły, wojewodzina bez najmniejszego wzruszenia powróciła do krzesła...

— Przysuń się tu moja Dumont, odezwała się po cichu.

Posłuszna Francuzka przyniosła krzesło i siadła. Jéjmość nie wiedziała od czego począć. Westchnęła pierścionek na palcu obracając machinalnie.

— Mam ci to oznajmić moja Dumont, rzekła wreszcie, że stracisz jedną z wychowanek... Marysia młoda, bardzo młoda jeszcze, mogłaby poczekać, delikatna jest i wątła... wcalebym sobie nie życzyła już za męż jéj wydawać — ale cóż chcesz? Składają się tak polityczne okoliczności i rachuby Jegości pana wojewody.

— Ach! westchnęła Francuzka mimowolnie łamiąc ręce, bo wiedziała, jaką ta nowina przykrość zrobi wojewodziance...

— Nie ma o tém co mówić — ciągnęła dalej pani, — że co się postanowiło to spełnić się musi. Dzięki Bogu, dzieci nasze tak wychowane, że zrobią co im każą. Nasza to rzecz im szczęście obmyślać.

Przytém świetny los czeka Marynię, a i konkurent, jak mówią, kawaler co się zowie edukowany wysoko, rozumny, piękny, młody i stanowisko mający znakomite. Już to tam o podobanie się nie idzie, bo rzeczy między panami ojcami zawczasu ułożone... Otoż moja Dumont, choć ja dzieci nie pieszczę, i u mnie, choćbym kazała téj chwili stanąć na kobiercu, każda z nich musi... ale biednego dziecka mi żal, aby się nie strwożyło... aby wiedziało jak się ma znajdować.

Francuzka cała pochylona słuchała, nie odpowiadając.

Rozumiesz mnie dodała wojewodzina.

— Doskonale — słabym głosem ozwała się madam.

— Narzeczony w tych dniach przyjedzie — mówiła dalej — Marynia, choć to dziewczynie młodej przystało, straszna trusia, — niechże się po kątach nie chowa, a gdy do niej zagada, żeby mu przytomnie odpowiadała... Ani się do zbytku uśmiechać, ani boczyć się nie ma — niech jój to Dumont powie...

Francuzka głową potrząsała...

Pani wojewodzina jak we wszystkim tak i w tém chciała zawczasu uregulować, rozdysponować, niemal podyktować wyrazy. Panienka nie mogła i nie powinna była mieć swojej woli, ale iść wedle przepisów aż do ołtarza... Któż wie... nawet od niego odszedłszy — bo władza mężowska rodzicielskiej nie kruszyła...

Widząc Francuzkę milczącą, ale potakującą i posłuszną, powtórzyła jej razy kilka instrukcye matka i biorąc za klucze — bo sama od apteczki nosiła zwykle — dała znak skończonej konferencyi. Madam dygnęła i wyszła — lecz tak zadumana a smutna, iż ani wiedziała jak stanęła u drzwi, i stała pod niemi tak długo, aż ją hałas bawiących się wrzawliwie dwojga młodych dziewcząt, przywiódł do przytomności.

Marynia jak zwykle stała w oknie od ogrodu... i patrzała zadumana w ulicę...

Mamyż zdradzić wielką tajemnicę, której się nikt a nikt w świecie nie domyślał, o której nikt nie wiedział...? Marynia czytała dużo romansów — miała usposobienie do marzeń... i choć sama się do tego sobie nie przyznawała — kochała się... a szczęśliwy wybrany — szalał tajemnie wzdychając do wojewodzianki. Romans ten trwał już ze trzy lata, — nie wiem tylko czy go tak nazwać było można. Nigdy podobno nie przemówili do siebie ani słowa... Młodemu dworzaninowi wiadomo było, że gdyby był podnieść śmiało oko na córkę wojewody, dostałby sto na kobiercu i jutro znalazłby się na drugim końcu świata... Zakochać się w Maryni takim biedakowi, było toż samo co zapragnąć gwiazdy z nieba...

Lecz są takie siły, których złamać nikt nie może — oczy wojewodzianki spotykały się z wejściem dworzanina, i nauczyły się mówić do siebie,

i mówiły zawsze tę jedną pieśń nieśmiertelną, którą tysiące lat powtarzają, między kolebką a grobem:—kocham ciebie!...

Z téj miłości, wiedzieli dobrze, nie miało być nic — oprócz miłości — oprócz tego czém ona poi, kropli marzenia i pucharu goryczy, a tęsknot— a łez... bez końca.

Szczęśliwym czy nieszczęśliwym wybrańcem wojewodzianki był piękny chłopak, który się na łasce wojewody wychował, a jemu był winien wszystko... Ojciec jego pan łowczy Godziemba, szlachcic prastary, okrutny sejmikowicz i zawadyaka, dał się na jednym zjeździe, utrzymując sprawę wojewody posiekać w kawałki. Przeciwna partya wpadła nań i porąbała tak, że gdy go potem wniesiono pływającego we krwi na kwaterę, nim ksiądz dobiegł z Sakramentami, Panu Bogu ducha oddał. Miał tylko czas panu Doinaszewskiemu, który był tam od wojewody, powiedzieć: „Zostawiam mu syna — będzie miał na sumieniu śmierć moją, jeśli mu ojca nie zastąpi...”

Doniesiono to wiernie wojewodzie, który chłopca, naówczas mającego lat około ośmiu, zaraz kazał przywieźć i oddał na wychowanie do Lwowa, a gdy szkoły *cum summa laude* skończył, wziął go sobie za dworzanina i losem jego obiecywał się zająć.

Chłopak sierota nie miał żywój duszy na świecie, jedną tę tylko opiekę pana wojewody, która wprowadzie za wiele starczyć mogła, ale serca nie kar-

miła Zdano go na ręce obce... a jedyną miłość, jakiej skosztował, przyniosła mu biedna istota, stara mamka, która za swoim przybranym dziecięciem do Krystynopola się przywlokła. 'Potraciwszy dzieci, w małym Tadenszku miała syna, świat swój cały... Dopóki on siedział w Krystynopolu, służyła żydom w miasteczku, aby go choć widzieć mogła z daleka; gdy go wieziono do Lwowa, szła za nim pieszo, przyjmowała służbę gdzieś w pobliżu i czuwała nad Tadeuszkim, który ją też niemal jak matkę szanował. Stara lękając się go swym ubóstwem i miłością zawstydząć, skradała się doń pokryjomu, byle słowo przemówić, dowiedzieć się czy zdrow, posłyszeć głos i uspokoić serce, że dziecku się nic nie stało...

Tadzia Godziembę trzymano surowo, i wysługiwać się musiał, ucząc posłuszeństwa, karności — a nie wiedząc co mu wojewoda gotował. Czasem go dla pięknego charakteru używano do kancelaryi, to znowu dla jeszcze piękniejszej twarzy, figury i sztywności maniery, dla reprezentacji u dworu stawiano...

Wojewodzina dosyć go lubiła gdy był dzieckiem, potem gdy wyrósł a wrócił tym Antynonsem... krzywo nań patrzyła. Odesłałby go gdzie jegomość na wieś, do gospodarstwa, mawiała, bo to nie ma nic gorszego w domu, niż taki gładysz... dziewczętom głowy zawraca, sam się psuje i nchowaj Boże nieszczęścia, zgorzenie być może.

Wojewoda jednakże lubił się pięknymi chłopcami otaczać, był to też rodzaj arystokracji. Godziemba zaś prócz tego, miał piękne familijne stosunki i rodzina jego dawniej na krzesłach senatorskich siadywała — a dworzan z takich senatorskich dzieci pięknie było mieć.

Został więc Tadeuszek przy dworze i powszechną miłość zyskać sobie potrafił, wyjąwszy wojewodzinę i Bebusia. Karzeł go nienawidził. Stanąwszy przy nim, mało co mu był za kolana...

Na swój czas i wychowanie był to też chłopak niezmiernie bystry i cheiwy poloru a nauki. Sam prawie z małą pomocą nauczył się po francuzku, expedite mówił po łacinie, rozumiał trochę po niemiecku i z książkami miał aż nadto do czynienia, o co go nawet skarżono.

Wojewodzina nie lubiąc go, domyślała się, że musi być bezbożnik, choć na nabożeństwa uczęszczał i klęczał jak i drudzy... Był to między innymi i ulubieniec księdza Wolfa, ale tam nie wolno mu było chadzać, bo wojewodzie nie miał prawa przestawać z młodzieżą dworską.

Jakim sposobem raz pierwszy oczy Tadeuszka spotkały się ze spuszczonemi oczyma wojewodzianki — jeden Bóg to wie; jak się one ośmieliły mówić — i jak aż do... nieznaczných przyszło pół-uśmiechów — odgadnąć trudno. Nic więcéj nad to nie było — to nawet jest rzeczą wątpliwą, czy mieli kiedy zřeczność przemówić do siebie. A jeduak wojewodzianka do-

skonałe wiedziała, że on się w nią kochał śmiertelnie, i Tadeuszek pochlebiał sobie czasami, iż nie był jój obojętny... Były takie chwile szczęśliwe — wkrótce jednak gdy rozmierzył przestrzeń, co go dzieliła od téj gwiazdy — miał się za szalonego, iż mógł to przypuścić...

Nikt w świecie tego dziwnego stosunku czworga oczu się nie domyślał, niktby weń nie uwierzył. Było to coś tak tajemniczego... między Bogiem a nimi... tak bez nadziei, tak dziecinnego, iż sama położenia szczególność — mogła uczucie potęgować.

Nigdy panna Marya nie poszła dalej myślami... nigdy on nie ośmielił się odgadywać przyszłości... Pragnęli tylko, ażeby to jak najdłużej trwało...

Sen to był na jawie... sen dziecinny, niewinny, śliczny a smutny; smutny jak na ziemi wszystko — co piękne!

Historya téj miłości składała się z niedostrzeżonych pyłków... były spojrzenia pamiętne, długie, i rumieńce... Raz Tadzio podniósł chustkę zgubioną, raz Marya rzuciła kwiatek na drodze... Czy umyślnie...? Od téj pory Godziemba go nosił na sercu... Około okna panien przechodziła ścieżka, naprzeciw nich szła ulica — Godziemba miewał w takich godzinach konieczną potrzebę wyjść do ogrodu, gdy panna wojewodzianka stawała w oknie...

Te godziny jakoś bez umowy, obojgu były wiadome...

Na tych schadzках wejrzeń, kończyły się owe dzieje snu, owa sieć pajęczyn, która dwa serca łączyła. Któż wie, po za taką miłością cichą, tajemniczą, bywają całe światy marzeń? I tu one być musiały... Chwilami wierzone w cuda... czasem zabijała rzeczywistość.

Gdy madam Dumont wracając od wojewodziny weszła do pokoju panien, w którym dwie młodsze biegały, nganiając się za sobą, Marya stała właśnie w oknie. Zwróciła się zapłoniona, lecz że już dosyć było późno, nikt nie dostrzegł rumieńca.

Biedna madam szła tak przybita ciężarem konfidency, która na nią spadła, iż nie śmiejąc podnieść oczu, wprost do fotelu się dowlokła i rzuciła nań zadumana...

Trzy młodsze rozpoczęły na nowo przerwana zabawę, która w tej godzinie była dozwolona — Marya przeszła z wolna pokój i przysunęła się, jakby przeczuciem do madamy. Ta ją namiętnie pochwyciła w objęcia... i uścisnęła tak dziwnie, inaczej niż zwykle, że dziewczę stanęło zdumione.

— A chère Marie! zawołała madam, siądź przy mnie! Czegoś mi bardzo smutno... niech się siostry bawią... my z tobą pomówimy.

Posłuszne dziewczę wzięło stołeczek niski, i patrząc w oczy guwernantce, usiadło przy niej.

— Byłam u wojewodziny — poczęła gorąco i niecierpliwie ze zwykłą niezręcznością Dumont — a! gdybyś wiedziała, gdybyś wiedziała, dziecko moje,

o czém tam była mowa! Jeszcze mi się głowa pali, jeszcze mi bije serce...

Marya spojrzała ciekawie.

— Czy mama się gniewa za co?... Na nas? dodało dziewczę, bo matkę znało tylko prawie z jój gniewu.

— O! nie! nie — zniżając głos poczęła madam — ale co mi mówiła! co mi mówiła!

Już tylko oczyma pytała Marya. Nastąpiło jeszcze jedno w głowę pocałowanie... potem nie mogąc już utrzymać sekretu, poczęła madam żywo.

— Tylko mnie nie zdradź, chère Marie — a! broń Boże... coś ci powiem, czego się nie spodziewasz...

Schyliła się jój do ucha...

— Wydają cię za męża!

To powiedziawszy, spojrzała Dumont, jaki skutek wywarła... i przelekła się. Marya rzuciła się, chwyciła ją za ręce i padła zemdlona.

Krzyk okropny wyrwał się z piersi madamy, siostry przybiegły z drugiego pokoju, a że młóści były surowo zakazane i nigdy się nie trafiały, nie wiedziano jak ratować... Marya jednak po chwilce ocuciła się sama... i głowę położywszy na kolanach Dumont, płakała.

Siostry przy niej posiadały na ziemi — niezrozumiałe to było dla nich... Ludwisia zawołała głośno, że Maryni trzeba było dać dziegiu powąchać — bo to musiały być robaki...

Pobiegła nawet zaraz do garderoby po medykament, który stał zawsze w pogotowiu — lecz już go nie było potrzeba... Marya wstała i zaczęła się przechadzać z wolna, blada, osłabiona i pomieszana...

Dumont z kolei płakała ze strachu, przeklinając swą niezręczność... Na tém się skończyło, bo nadchodziła godzina wieczery i modlitwy, i panny musiały się stawić wyprostowane do matki.

Madam zakłęła wychowanicę, aby nie nie dała poznać po sobie, a dziecię nawykłe do posłuszeństwa przybrało twarzyczkę, z której już nic, oprócz zwykłego jój smutku, wyczytać nie było podobna. Wieczór zszedł wedle programu; o godzinie zwyczajnej, panny się spać pokładły... Jednak madam szepnęła starszej, że gdy się siostry pośpią — one jeszcze obszerniej się rozmówią z sobą.

Na ten sen nie długo czekać było potrzeba: młodsze ledwie do poduszek przyłożyły głowy... znużone dniem pozasypiały... Marya wstała i poszła do Dumont. Miała czas przez kilka godzin oswoić się z tą straszną wiadomością, — była prawie spokojna. Zobaczywszy ją madam, załamała ręce

— Jaka ty jesteś blada! zawołała — przecież — proszę cię — nie w tém tak przerażającego nie ma... Uzyskasz więcej swobody... będziesz panią w domu... Mąż twój ktokolwiek nim będzie, musi cię pokochać... słowem...

Marya ręce załamała.

— Ale — ja — ja za mąż iść nie chcę ja klasztor wolę...

To wyznanie tak było przerażające, iż madam padła, usłyszawszy je, oczy sobie zasłaniając rękami.

— Chère Marie! a toż co znowu! nie rozumiem! dla czego?

Wyrwały się te słowa pełne znaczenia biednej wojewodziance, a teraz sama miarkowała, iż niemi powiedziała za wiele... Szukała w myśli — jak się miała tłumaczyć... i nie znalazła nic...

Dumont czekała.

— Zlituj się, dla czegoż klasztor ci na myśl przychodzi? To najsmutniejsza rzecz w świecie... Nie wiesz kogo ci przeznaczają. Ma to być człowiek młody, piękny dobrze wychowany... i wielkiego rodu...

Marya, której czytane książki może na myśl przyszły — zebrała się na odpowiedź.

— Ale — moja pani Dumont — ja tego pana nie znam — on mnie...

Francuzka łzę otarła i obejrzała się.

— Tak — to prawda, rzekła — lecz u was magnatów inaczej się nie żenią. Dobrze nam ubogim, poznawać się, podobać wybierać, wam to zabronione... Trzeba się zgadzać z przeznaczeniem.

W tych dniach — dodała ciszej, naznaczony mąż przyjeżdża... Słuchajże mnie dobrze: — wojewodzina chce, abyś nie była zbyt nieśmiałą, ani nadto poufałą — abyś go nie zrażała... Masz być

grzeczną dla niego. Zdaje się, że rzecz już jest ułożona, że nic nie pomoże, bo słowo dane...

Westchnęła.

— Zgodzić się musisz z przeznaczeniem, dziecię moje...

I popłakały się obie... Rozczulona Dumont wzięła z tego assumpt do poufniej spowiedzi ze swojej młodości w której powabny muszkietier grał rolę bardzo czułą. Nie przyznała się może do wszystkiego, lecz gorącą miłość łzy jej po latach tylu najlepiej poświadczyły...

Po długiej rozmowie Marya poszła — płakać do swojego łóżeczka...

W pięć dni po tém nadzwyczajny ruch był w Krystynopolu, — łatwo się można domyślić, iż dostojnych gości oczekiwano... Najwięcej mieli do czynienia ci, przy których były klucze, — bo wydawano zazwyczaj od nowych mundurów dla wojska, aż do sreber, które na stół wyjść miały. W tym gospodarnym dworze, dzień powszedni różnił się wielce od uroczystego... Na codzienną potrzebę wszystko było inne, odzież, jadło zastawa; po święcie i uroczystości wracały mundury, srebra, broń, kosztowności do szaf, kufrów i sepetów pod klucze... Na wielką paradę nie żalowano nic, lecz *post festum*, zdawano z rejestrow aż do najmniejszego guzika. Wojewoda w utrzymaniu tego porządku był nie ubłagany.

I tym téż razem, rozkazy wydane panu staroście Zawideckiemu, powołały dwór do jak najświetniejszego występu. Wojewoda oznaczał starszyźnie nawet jak się przyodziać miała... Dobyto srebra przepyszne ze skrzyń, w których na sukiennych spoczywały łożach w kuchni już zawczasu przyspasabiano co najwyszukańsze potrawy. Jejmość wzdychała nznójona — wojewoda przypominał:

— Niech asindźka pamięta o tém, że to gęby popsute, iż to są wykwintnisie, jakich świat nie widział... że im nigdy dosyć wytwornie dać nie można... kucharz Francuz niech gotuje...

Na dzień naznaczony, wszyscy dworzanie, choć barwy nie nosili, wystąpili jednako i bogato ubrani. Wojsko w nowych koletach, ładownicach i kapeluszach. Starosta Zawidecki i książę Czetwertyński od aksamitów i złotogłówów, a sam pan wojewoda po potocku — to jest kontusz szaraczkowy z guzami brylantowymi, pod szyją spinka z soliterem kilka tysięcy dukatów wartającym, żupan trochę przyszarzany, buty czarne, pas perski...

Inny Potocki na trybunał lubelski wdziewał zgrzebną koszulę, opończę z samodziała, ale obszytą perłami i wysadzaną guzami, z których każdy wieś był dobrą wart. Pan wojewoda tak daleko fantazyi nie posuwał — lecz lubił ją téż pokazać...

Wojewodzina, która się stroić nie lubiła, musiała też na ten dzień w dyamentach i atłasach wystąpić — nndziło ją to... lecz inaczej być nie

mogło. Szczególną też pieczę miano nad nieszczęśliwą ofiarą, która, choć skromnie, ubrana była ze staraniem wielkim, utrefiona wykwintnie. Wojewodzina, która nie mówiła jęj nic, bo jęj psuć tą poufałością nie chciała, kazała jęj przed wyjściem na pokoje nkazać się sobie... Marya stawiała się blada... drżąca i mizerniejsza niż zwykle...

Obndziło to zły humor matki — chciała nawet kazać uróżować nieco biedną — lecz w tęg chwili rozruch się stał wielki w dziedzińcu i o Maryi zapomniano...

W bramie dała się słyszeć muzyka, trąby i bębny powozy, których nigdy nie widywano przed gankiem, zataczały się z turkotem ogromnym przed galeryę — wojewoda w ganku sam dostojnych gości przyjmował... Byli to Jego Ekscellencya graf Brühl, minister, starosta warszawski, syn jego. Mniszech marszałek nadworny, zięć i kilku panów, towarzyszących im dla dodania powagi...

W progach pałacu krystynopolskiego spotykały się, można powiedzieć, dwa zupełnie różne, w niczem sobie niepokrewne swaty które interes i rachuba miały połączyć — cywilizacya jakaś strupiesziała i zwątlona ze światem starym surowego obyczaju chrześciańskiego. Jak się te krańcowe dwa przeciwieństwa zrozumieć mogły, przejednać miały — było może dla nich samych tajemnicą. Oprócz interesu nic z sobą wspólnego nie miały...

Przepych na pół azyatycki Potockiego wcale nie był podobny do wyrafinowego zbytku Brühla; tak jak marsowa i groźna twarz wojewody odbijała dziwnie przy uśmiechniętej, wypogodzonej, słodkiej nad wszelki wyraz twarzy ministra. Powitanie w ganku i przedstawienie syna, poszło — dzięki zręcznej Mniszcha pomocy — bardzo gładko. Młody Brühl, który całą niemal przewędrował Europę, przypatrywał się nie bez ciekawości temu nowemu dla siebie światu, dworowi, twarzom, strojom...

Szli wszyscy na pokoje, gdzie pani wojewodzina, Maryę bladą mając u boku, i kilka panien rezydentek w oddali, oczekiwała na ministra, z nadzwyczajną galanterią posuwającego się ku niej z synem...

Jedno wejrzenie na młodego Brühla dało poznać wojewodzinie, iż jęj go nie przechwalono. Starosta był jednym z najpiękniejszych mężczyzn swojego wieku, a wychowanie i wczesne obycie się z najwyższemi towarzystwa sferami, nadawało mu wielką swobodę i wdzięk w obejściu...

Z przestrachem oko Maryi padło na niego, gdy on z obojętnością wystygłego i zrezygnowanego człowieka, przelotne rzucił na nią wejrzenie. Oczy się nie spotykały, zdawały się owszem unikać siebie... Wojewodziance ta laleczka wydała się dziwną i straszniejszą; staroście ta, w której odgadywał swą narzeczoną, — zbiedzoną, chorą i nieszczęśliwą... Śmiertelną bladością okryła się twarz ofiary, która ledwie

drzenie ukryć mogła. Brühl równie jak ojciec swobodny, obracał się tu z zamaszystością obrachowaną, której widocznie polską chciał nadać cechę... W pierwszej chwili posypał się grad, połała się powódź wzajemnych komplementów, podziękowań, wdzięczności — smażonych wyrazów mających dowiedzieć, jak zaszczoneym czuł się wojewoda jak szczególnie był minister...

Ta niemiecka elegancja, którą tak serdecznie witać musiano, nie szła pewnie w smak Potockiemu, bo pod nią domyślał się i czuł lekkości obyczaju, lekceważenia wiary — mnóstwa nowostek niebezpiecznych, — lecz zdawało mu się, że droga, którą szedł, prowadzi go do nowych zaszczytów, a może nawet do tronu, który już zdala świtał w głowie magnata... Dla czegożby po Sobieskim, Wiśniowieckim, Leszczyńskim nie miał zapanować Potocki, który od nich czuł się możniejszym?

Łącznikiem dwóch biegunów, jakie stanowiły kontusz wojewody i aksamitny złotem szyty frak Brühla — był marszałek nadworny Mniszech, obu pokrewny — oba rozumiejący — może w duszy równie na oba poglądaycy obojętnie. On pośredniczył między nimi...

Przyjazd zdawał się tak obrachowany, aby zbytnią nie trudzili się goście rozmową, gdyż natychmiast prawie otworzyły się podwoje i stół uginający się pod ciężarem sreber ukazał..

Ministrowi podała rękę wojewodzina... Miejsca tak były rozporządzone, iż staroście warszawskiemu umyślnie danó krzesło przy wojewodziance, która siadła obok jak trup blada, jak liść drżąca. Naprzeciw niej Godziemba z dala nad służbą straż pełniący... stał osłupiały... i bezprzytomny...

Gwar i wesołość urzędowa napelniały salę jadalną, ta wesołość konieczna, którą każdy gość przyzwoity z sobą przynosi i gospodarz musi ją mieć na jego przyjęcie. Uśmiechały się wszystkie twarze, oprócz bladego lica wojewodzianki, która nie wiedziała gdzie była i co się z nią działo... Gwar ten szumiał w jej uszach niezrozumiały, jak fale morza, które ją pochłonać miały. Drżąceni rączkami rozkładała i składała serwetę, w oczach się ćmiło, śmiertelny jakiś strach ją ogarniał. Czuli, że na nią musiały być zwrócone wejrzenia i pragnęłyby się była ukryć od nich w głąb ziemi. Starosta siedzący obok, daleko więcej obyty ze światem, wystygły i chłodniejszy, nie mógł nie dostrzedz tej trwogi... Był przygotowany na wszystko — rozumiał położenie ofiary, miał litość nad nią. Dla tego może dając jej czas ochłonać i przyjść do siebie, nie odzywał się.

Wojewodzina, której oczy córkę groźnie śledziły, widziała także jej bladość, domyślała się bojaźni, i gniew ją porywał na samo przypuszczenie, iż panna Marya mogła osłabnąć, a mdłości jej wywołać wrzenie i pomstę ojcowską. Na nieszczęście wzrok

mający zelektryzować córkę i przywieść ją do opamiętania, napróżno rzucala na nią, nie mogąc spotkać jej spojrzenia. Tak upłynęła pierwsza chwila, a w głośnej rozmowie dopytywano o zdrowie Najjaśniejszego Pana i o posłuchy z pola wojny.

Pannie Maryi udało się jakoś założyć serwetę, spróbowała zupy skosztować, ale łyżka się z ręką trzęsła... i musiała ją położyć. Twarz jej sinutna zawsze, choć piękna i rysów regularnych, pod wrażeniem niewypowiedzianej trwogi przybrała wyraz nienaturalny, niemal dziki. Matka nawet czuła, że tak się przedstawiając podobać nie może. Lecz układy były prawie zawarte, umowa skończona, i nie szło już o to wcale, jak przyszli małżonkowie być mieli z sobą. To należało do nich tylko. Brühl był młodzieńcem dobrego wychowania, a panna namana do biernego posłuszeństwa bez granic...

O wzajemnej miłości nikt nie pomyślał, a wedle teorii krystynopolskiej i staro-szlacheckiej, dwoje ludzi młodych, gdy małżeństwo z innych względów było dla nich obrachowane, — musieli się przywiązać i kochać jak Sakrament przykazał. Dwóch więźniów zamkniętych w jednym lochu na wieki, wszak musi nawyknać do siebie i wzajem starać się ulżyć losowi?

Jakkolwiek młody, Brühl skutkiem wychowania i wrodzonych mu usposobień, już w tej życia epoce był raczej widzem tego wśród czego się obracał, niżeli czynnym aktorem. Roli swój nie brał do

serca, odegrywał ją zrecznie, nie obchodziła go wielce... Ta Marya Potocka nieszczęśliwa, drżąca, przywodziła mu na myśl niezapomnianą cześniukównę koronną, która mu się niegdyś uśmiechnęła dziecinnemi oczkami...

— Czemu na miejsce téj Maryi Potockiej, los mi tamtéj nie wydzielił? mówił sobie...

Wśród tych myśli, spojrział na ojca. Stary Brühl dawał mu oczyma znaki, aby się starał zbliżyć do panny... Nie było w istocie czasu do stracenia, mówiono już o terminie zaręczyn... a za kilka miesięcy po nich miano naznaczyć ślub. W tamtych czasach wyprawy panien były przez troskliwe matki robione powoli, i gdy chwila wydania przychodziła, wszystko stało w gotowości, oprócz kilku sukien modnych, na które długo czekać nie było potrzeba...

Pan Alojzy myślał od czego rozpocząć rozmowę z nieznajomą... a choć mu nie zbywało na łatwości słowa... początek dosyć był trudny. Po chwili jednak nowy wzrok ojca zmusił go do przyspieszenia zagajenia...

— Panna wojewodzianka nigdy nie była w Warszawie? zapytał... Przestraszona tym głosem, który nie miał w sobie nic groźnego, ale i owszem miękki był i łagodny, panna Marya nie zrozumiała o co była pytana — zadrżała, zmieszała się i oczy bojaźliwie podniosła na mówiącego, który powtórzył zwolna te same słowa...

— Ja?... ja... a! nie byłam nigdy! odpowiedziała.

Mogła odpowiedzieć, że nie była nigdzie więcej oprócz Krystynopola, bo pamięć jej nie sięgała czasów, gdy się tu rodzice przenieśli.

— Warszawa, ciągnął dalej starosta byle coś powiedzieć — bardzo się ożywiła od czasu, jak Najjaśniejszy Pan przeniósł się z Drezna. Mamy nawet operę, śpiewaków...

Wspomnienie o operze chwyciwszy jak deskę zbawienia, Brühl co prędzej dodał: — Czy pani lubi muzykę?

W istocie panna Marya lubiła ją bardzo, ale oprócz kilku starych menuetów i kurantów na fortepianiku — nic jej nigdy nie uczono. Wojewodzina lękała się wpływu rozmarzającego muzyki, i wydoskonalenie w tej sztuce zostawiano tym, co z niej żyli. Wojewodzianka przyznała się, że lubi bardzo muzykę — inaczej nie wypadało. Zająknęła się tylko raz parę...

Brühl, który był wirtuozem na kilku instrumentach, oświadczył także, iż ma wielką słabość do niej...

Dalej z tych dwóch wyznań okazało się niepodobieństwem wysnuć coś więcej. Nastąpiło milczenie. Jednakże głos tego groźnego obcego pana, uspokoił nieco pannę Maryę. Wrzawa coraz głośniejsza u stołu, brzęk kielichów, szczęk talerzy dozwalałyby jak najpoufalszą prowadzić rozmowę, gdyby Brühl miał do niej ochotę a panna Marya odwagę...

Przed nią, naprzeciw jak posąg nieruchomy i blady stał Godziemba. Ile razy powiodła oczyma po sali, spotykała jego wzrok, a w nim niemal skamieniałą rozpacz. Starosta znowu gubił się w wynajdowaniu przedmiotu i trącił o podróż odbytą... zaczął chwalić kraj piękny i żyzny...

Wojewodzianka zmuszona coś odpowiadać, potakiwała machinalnie... Parę razy niby się uśmiechnęła, bo matka patrzyła na nią. Brühl jednak był pewien, iż go nie słyszała i nie rozumiała...

Zmęczyły go w końcu te preludya do niczego nie prowadzące. Młodzieńcza fantazyja, choć w zimnym już zagrała — litość nad sobą uczuł i nad wojewodzianką...

Postanowił być śmielszym; nie było obawy, aby ich kto podsłuchiwał.

Schylił się nieco i żartobliwym tonem odezwał się po cichu:

— Wszystkie twarze u tego stołu się uśmiechają, wesołość jest powszechna... pani tylko smutna — a ja zafrasowany tém, że jój rozerwać nie umiem...

W istocie położenie moje — i pani nie jest... przyjemne...

Niezmiernie zdziwiona tą nagłą zmianą, panna Marya podniosła ciekawe oczy; starosta raz puściwszy się, mówił dalej:

— Zapewne pani wie — o projektach rodziców? Z początku wojewodzianka uszom wierzyć nie

chciała — ta otwartość przeraziła ją i ucieszyła razem, było w niej nareszcie coś szczerego, coś ludzkiego. Lecz rzucone pytanie, rozwiązać dla niej było trudno. O projekcie urzędownie uwiadomiona nie była, przyznając się do tego, że Dumont ję o nim mówiła — zdradzałaby Francuzkę...

Naiwna jak dziecko — lecz nieco ośmielona już — odezwała się cicho:

— A! ja — ja o niczym nie wiem.

— To się panna wojewodzianka przynajmniej domyśla? dodał Brühl.

Na to nie było odpowiedzi; ciągnął więc dalej:

— Rozumiem, że tak narzucony pani... przyszły życia towarzysz, raczej nienawiść musi obudzać, niż przyjaźń!

Panna Marya coraz się czuła swobodniejszą, i choć nieśmiało jeszcze szepnęła:

— Wszak to się do obu stron stosuje zarówno.

— Niestety! temu zaprzeczyć niepodobna — mówił starosta — jednakże rola mężczyzny jest przykrzejsza.

Chwilkę zamilkł, bo się służący zbliżył z półmiskiem...

— Pani mi daruje — począł znowu — że jestem zmuszony tak samo być posłusznym woli ojca, jak pani swoich rodziców rozkazom... Cóżby to pomogło, gdybyśmy się zbuntowali? Jutro przyszedłby ktoś drugi, mniej względny odemnie, i ofiara spełnićby się musiała...

Wojewodzianka słuchała z wielką uwagą; Brühl czuł się coraz śmielszy i natchniony.

— Oboje — mówił — powinniśmy przyjąć los nam zgotovany tak, jak się — znosi burzę, deszcz, słotę spiekotę... Wola rodziców jest taką nieprzemogłą siłą w naszym świecie... Lecz — tu głos zniżył — mogę zapewnić panią, że osłodzić jój los będę się czuł w obowiązku...

Panna Marya zarumieniła się mocno: nigdy podobnej rozmowy nie prowadziła z nikim w życiu, nie wyobrażała sobie nawet, aby się tak otwarcie mówić godziło. Ma to jednak do siebie ton dany silnym głosem, że porusza struny pokrewne — najtrwożliwszy umysł czuje się podniesionym i ośmielonym. Bojaźliwa wojewodzianka widziała się niemal zmuszaną być równie szczerą... Pomyślała trochę i poczęła głosem przerywanym:

— Hrabia mi darujesz... ja tak pięknie mówić nie umiem... jam w życiu mówiła mało! tak mało! a swemi słowy swoich myśli... prawie nigdy.

Czuję, żeś mnie pan chciał ośmielić, pocieszyć, że wdzięczna mu jestem za to...

— Spodziewam się, że lepiej mnie poznając przekonasz się pani, iż tyranem dla nikogobym być nie potrafił... Nie chcę się chwalić — ale wierz mi panno wojewodzianko, jestem dobry człowiek...

Mimowolnie panna Marya się uśmiechnęła.

— A ja jestem bardzo prostą — bardzo ograniczoną dziewczynką — rzekła... Lubię bardzo ciszę i spokój... wolałabym klasztor...

Ostatnie słowa ze spuszczoną głową szepnęła ledwie dosłyszczanym głosem. Brühl się uśmiechnął.

Wszystkie panny, którym się ich narzeczony nie miał szczęścia podobać — rzekł — wolą klasztor... Lecz pani do klasztoru iść nie pozwolą.

— A! tak jest! westchnęła panna Marya...

— Ja jestem téż — mówił Brühl wychylając wina kieliszek — muszę się i z tém pochwalić — człowiek otwarty i szczerzy... Zaręczam pani, że będziesz u siebie swobodna, i choćby maleńki klasztorzek będziesz sobie mogła założyć w Młocinach a pewno nie przeszkodzi.

Nawzajem w życiu jak najmniej sobie będziemy zawadzali — wszak prawda??....

Wszystko to tak jakoś dziwnie brzmiało w uszach panny Maryi, że już tylko łagodnym odpowiedziała wejrzeniem... Brühl w duchu z siebie był rad...

W główce wojewodzianki, religijne pojęcia o świętości Sakramentu, o nierozzerwanych węzłach, mieszały się z tém co czytała we francuzkich roman-sach... Brühl jój przypominał jakby z książki bohatera... spojrzenie na matkę — cały rygor związku, w którym spodziewała się niewoli. Nie mogła zrozumieć tych sprzeczności — ani gdzie była prawda... Pomieszana nie wiedziała co mówić..

Na zapytanie narzeczonego, odpowiedziała tylko głowy skinieniem, jakby mu chciała dziękować.

Rozmowa dwojga młodych, jakkolwiek jój nikt nie słyszał — zwracała oczy... Brühl stary był

pewien syna i cieszył się. Wojewodzina która każdy ruch córki śledziła z trwogą, było także dosyć jej znalezieniem się... zadowolona.

Inni goście, zwłaszcza ci, co znali do zbytku surowe wychowanie panien, zdziwieni patrzali na zbliżenie się posłuszne dwojga tych istot wczoraj jeszcze sobie nieznanych a wkrótce mających zamienić pierścienie zaręczyn...

W tém rumor się zrobił wielki, wojewoda wstał aby wypić zdrowie ministra i *ex promptu*, wypalił mówkę wedle starych formuł o zaszczycie, jaki dom jego spotykał... Hucznie przyjęto toast... Brühl dziękował rozpromieniony z tą twarzą cukrową, miłą, wyelegantowaną zawsze jak on cały... Wojewodzina nawet małym kieliszeczkiem piła zdrowie jego Ekscelencyi... A że przed nim już sporo się spełniło lampeczek, nalewanych ciągle, do których spełniania, marszałek i wice-marszałek chodząc do koła stołu zachęcali, — humory się podniosły... Nastąpił toast nieobecnej hrabiny Brühlowej i całego domu, za który i pan starosta dziękował, potem minister wniósł zdrowie obojga województwa i konsolacyi będąc już wdrożonym w polskie zwyczaje. Pomniejsze zatem już ciszej i prawidłowo potoczyły jedne po drugich, a nie pokrzywdzono nikogo...

Naostatek ruszył się wojewoda, Brühl podał rękę pani domu i całe towarzystwo przeniosło się do bawialnej sali. Starosta się czuł obowiązany

prowadzić pannę Maryę, która szła blada jak ofiara, choć z mniejszą już może trwogą... Po ukłonach i podziękowaniach sama wojewodzina starała się tak ułożyć — aby młody Brühl mógł swobodnie zbliżyć i zalecić pannie Maryi...

Towarzystwo ożywione skupiło się w grupy rozmaite; pan Alojzy nie potrzebował teraz ani wejrzenia, ani instrukcyi ojca, aby zrozumieć swe obowiązki. Stał naprzód nieco z dala od wojewodzianki, znalazł potem pozór zbliżenia się ku niej, a wojewodzina nieco się usunęła, aby im więcej zostawić swobody, i rozmowa poczęta u stołu, dalej się już ciągnąć mogła bez przeszkody.

Od czasu gdy ją wiwaty przerwały, do téj chwili panna Marya mogła zważyć każde słowo i zastanowić się nad jego znaczeniem... Brühl ze swą galanterią, śmiałością i grzeczną żartobliwością zawsze ją jakimś strachem napełniał — instynkt dawał jej czuć w nim człowieka zimnego i obojętnego, ale zarazem... czuła w nim też powolność i dobroć wystygłej istoty, którą wszystko mało obchodzi. Wiało od niego łagodnym sceptycyzmem, któremu imienia nadać nie umiając, wojewodzianka pierwszy raz w życiu z nim się zapoznawała... Był on daleko mniej straszny od tyranii, pod jaką lata jej dzieciństwa spływały... lecz nie obudzał sympaty...

Trwoga ustąpiła — w sercu jednak nie mogło się obudzić nic więcej, nad trochę jakiegoś spokoju.

Brühl... widział w tém dziecku bojaźliwém, które mu przeznaczano — coś obudzającego miłosierdzie, politowanie — nie więcéj... Nawykł był trochę do tych pań dworu, których najświetniejszym prototypem była własna jego matka, umysłem sięgających najdalszych sfer, ciekawych wiedzy, chciwych życia, rozumiejących wszystkie namiętności, dogadzających wszelkim fantazyom... Wojewodzianka nie mogła mu się podobać, nie podobała... Szukał w niéj jednego tylko z pewną obawą — dumnego i energicznego charakteru w spadku wziętego po rodzicach — obawiał się wiecznéj walki... Reszta była mu prawie obojętna. W oczach, w mowie panny Maryi nie znalazł tego uporu i złośliwości, któreby go mogły drażnić, i to go zaspakajało... W małżeństwie pan starosta ani mógł, ani chciał szukać nic więcéj nad to, co taki związek dla interesów politycznych mógł przynieść — znośnego pożycia na wzajemnych ugruntowanego ustępstwach..

Zaczęta przy stole rozmowa dozwalała mu wnosić, wedle jego dyagnozy, że panna Marya zabu-
kana przez matkę, trzymana surowo, wcale jeszcze nierozwiniętą była zagadką.

— Jest to stawka na ślepa kartę — rzekł w duchu, — los ciągnie, ja trzymam, bądź co bądź, ojciec wygra Potockich przymierze... a ja?? ciekawą istotę do obserwacyi...

Uśmiechnął się smutnie do siebie. Musiał się znowu przysiąść potém do panny wojewodzianki

i zabawiać ją rozmową, wśród której Mniszech przyszedł go ostrzedz, iż pani wojewodzina, która słyszała, iż ma być trzpiotem, przypisywała jego powagę przybraną temu, że ją przed Brühlem za kapryśną i chimeryczkę ogłoszono.

— Na miłość Boga, roztrzpiotaj się i swywoł... i to co przedzój! szepnął szwagier — inaczej stracisz łaski...

Starosta był posłuszny; bawiła go może ta komedya, którą odegrywał...

W ciągu kilku godzin, troskliwy kuzynek parę razy dał mu pożyteczne wskazówki, gdyż brwi wojewodziny to się marszczyły... to wypogadzały... a od niej zależało wszystko...

VII.

Trudno jest opisać dzieje tego starania się o pannę — odbytego pod dyktowaniem... Pomimo iż rzeczy pomiędzy ojcami były ułożone i ukartowane, nie tał wojewoda, iż wiele a raczej wszystko od Jéjmości zależało...

Bywały dni, gdy wojewodzina obrażona jakimś uchybieniem imaginacyjném, wszystko zerwać chciała. Naówczas ksiądz Russyan, pani Cetnerowa, Mniszchowa, a wieczorem obie Terleckie, ledwie ją uspokoić i udobruchać mogły.

Panu staroście jednego dnia kazano śmiać się, swawolić, skakać, drugiego być smutnym. Przestrzegano go, aby na żadną pannę nie patrzył, do żadnej innéj nie mówił, od młodych mężatek stroził, gdyż go miano za bałamuta... Starosta śmiał

się i szedł wyznaczoną drogą... Ilekroć na włos z niej zboczył, wnet wszyscy opiekunowie usiłowali to naprawić i szepnąć co i jak mają czynić, aby się wojewodzinie podobać.

O wojewodziankę szło jak najmniej, gdyż ta tu żadnego nie miała głosu; jęj tylko od matki przynosiła Dumont rozkazy, które się codzień zmieniały.

— Powiedzże jęj, moja Dumont, dysponowała raz: niech nie będzie trusią i nie siedzi jak zamalowana...

To znowu: — Co oni mają z sobą do szeptań?.. trzeba mówić zwykłym głosem...

Innego dnia znajdowała matka, że panna miała nadąsaną minę, lub że wydawała się smutną. Uśmiech, wesołość, wszystko kłaść trzeba było jak suknię, zrzucać jak gorsety...

Z pomocą jednak księdza Russyana, Terleckich, Mniszchówój, straszna wojewodzina uchodzona została... Brühl młody siedział tu do imienin wojewody, spełniał swą pańszczyznę z jakąś ironią dziwną, i na ostatek po wielu młodościach, tłumaczeniach, zachodach, korowodach... wojewodzina się zgodziła... młody pretendent został przyjęty... zaręczyny naznaczono na dzień 3 czerwca.

Została tylko niepewność co do miejsca, w którym zaręczyny odbyć się miały, w początkach bowiem myślano na ten cel zjechać do Brodów, gdzie ojciec wojewodziny, pan wojewoda poznański przebywał.

Starosta odetchnął, gdy po pierwszej téj bytności, znalazł się sam na drodze do Warszawy, uwolniony od téj śmiesznej roli, jaką w Krystynopolu odegrywać był zmuszony. Na przemiany myśląc o tém, uśmiechał się ironicznie i zadumywał smutnie, ruszając ramionami...

Na dzień 3 czerwca, owe zaręczyny uroczyste, sproszone gości tłumy... Na nieszczęście w Krystynopolu pokazała się ospa, niezbyt straszna, ale na owe czasy obudzająca trwogę, która o mało całego obrządku nie zwlokła... Ledwie doktor Macpherlan, dowodząc, że wietrzna była, uspokoić potrafił... Jednakże stary wojewoda poznański, który miał bytnością swą zaszczycić zrękowiny, nie przybył z Brodów, i z listem a pierścieniem wysłał na swoje miejsce starostę Leżajskiego. Punkta interczyzy wcześniej przygotowano — dwaj mężowie stojący na czele domów zawierali odporne i zaczepne przy mierze; wojewoda powtarzał ciągle: — Odtąd kto mi wróg, ten wam nieprzyjacielem, i wzajemnie...

Zrana dopiero dnia 3 czerwca, w wigilię zaręczyn tak uroczystych jak ślub i równie ważnych a obowiązujących, wojewodzina kazała do siebie wezwać córkę... Pojęcie obowiązków matki nie dozwalało jéj okazywać czułości, która się w języku wojewodziny słabością nazywała — lecz gdy njrzała bładą Maryę, słuchającą wyroku z marmurową obojętnością, ze zwrokiem osłupiałym, nieumiejącą odpowiedzieć ani słowa, nie okazującą oporu, ani

radości — kobiece serce, serce matki otwarło się na chwilę. Wojewodzina ryknęła płaczem wielkim i rzuciła się ścisnąć dziecko, które miała utracić...

Trwało to jednak chwilę, przypadły Terleckie z Larendogłą, cały fraucymer z rozmaitemi środkami orzeźwiającymi — upamiętała się o zachowanie powagi wojewodziny, wybuch stłumiwszy w piersi, oddała Bogu na ofiarę boleść swoją.

Godzina ta ranna była umówiona; wszedł zaraz wojewoda, aby oświadczyć urzędownie córce wolę swoją, a razem okazać, jak dobroć rodzicielska świetny jej los zgotowała — jakim to było zaszczytem zostać hrabiną Brühlową, jakim szczęściem mieć takiego męża, i jaką to wdzięczność do grobu dziecko zachować powinno było dla rodziców.

Matka dała znak Maryi, aby upadła do nóg ojcowskich... trzeba było podziękować, rozpłakała się biedna...

Mamyż obrząd ten uroczysty i błogosławieństwo księdza Russyana opisywać — którego umyślnie na ten dzień z Podkamienia przywieziono?? Przy biciu z dział odbyła się ceremonia, którą to odznaczyło, że wprzód list dziada, ojca wojewodziny publicznie w kościele na głos czytano. Tandem szły powinszowania, uczta, toasty... i stara Terlecka wieczorem upomniała się o jaki płaeczek za nowenneczkę skuteczną -- nie mówiąc o tem, co za pośrednictwem Mniszchowej dostała od Brühlów...

Wojewodzianka, która całą noc poprzedzającą przeplakała — cały ranek i dzień przemęczyć się musiała, nie okazując po sobie co czuła... wyglądała jak cień blada... Uśmiechała się bez myśli, słuchała nie wiedząc co do niej mówią — oczy miała łez pełne — ale to się tłumaczyło przywiązaniem do rodzicielskiego domu! Brühl nie miał odwagi ani jój pocieszać, ani rozrywać żarcikami, na które zawsze się mógł zdobyć... Sam on doświadczał jakiegoś dziwnego ucisku na sercu, choć go udaną swą zwyczajną wesołością pokrywał.

Gdy ten dzień utrapiony dobiegł nareszcie do końca, a nazajutrz rano powozom kazano zachodzić przed ganek pałacowy — gdy się żegnać i po rękach całować zaczęto, a ścisnąć wzajem — wszyscy uczestnicy tego aktu, który duma, ambicya, rachuba polityczna dopełniła — uczuli jakby z nich ciężkie spadło brzemie. W ganku pito jeszcze strzemienne; całowano się tém czuliej, że nareszcie oswobodzić się miano... Moździerze na wiwat uderzyły... a w chwilę potem w krystynopolskim pałacu panował już tylko ruch wielki przyprowadzania do powszedniego porządku wszystkich gałęzi gospodarstwa.

Goście w miasteczku zdejmowali i pakowali po gospodach kontusze i pasy kosztowne, wkładając kitle podróżne, wojsko zrzucało paradne kolety, dworzanie zdejmowali bogate pasy, w kredensach liczono srebra, wojewodzina kazała sobie przynosić rejestra szafowanych jadeł i napojów, wojewoda

słuchał rapportu starosty Zawideckiego, a starszyzna naznaczała kary tym ichmościom, którzy czasu wielkiego zamieszania korzystali z niego, dla dopuszczenia się nadużyć.

Okazało się, że dwóch świszczypałków podkrađło się do garderoby na zakazane konszachty z pannami, za co najsurowsza była kara na kobiercu. Bebuś się spił i Bebę pokrzywdził policzkiem, co miał odpokutować klęceniem i postem o chlebie i wodzie; dwóch hajduków pokrwawiło się zwaśnawszy... Wszystko to natychmiast miało być jak najściślej zbadane i przykładnie ukarane...

Srebra odnoszono do skarbcu... pijanych sadzano na wytrzeźwienie się do karceresu na obwachu, gorączkowy jeszcze nieco ruch panował wszędzie, lecz coraz się uśmierzał... Panna Marya z głową opartą na kolanach madamy Dumont, z oczyma wypłakanemi, ale suchemi, dumiała nad swym losem... młodsze siostry patrzyły na nią z tém zdumieniem i zazdrością, jaką tylko dziecinny wiek zrodzić może.

Szczególniej piękny pierścień zaręczynny, dar wojewody dziadunia, budził ciekawość sióstr młodszych, wojewodzianka nieustannie pokazywać im go mnsiała. Lecz z palca nie wolno go było zdejmować, bo przesąd jakiś przyknuwał go na nim aż do ślubu...

Tymczasem powozy pana starosty, któremu towarzyszył Mniszech, po drodze mając przygotowane do przeprzegu cugi, unosiły go nazad ku stolicy.

Wkrótce marszałek zbaczając do dóbr swoich pożegnał szwagra, wyrażając mu zarazem radość z dokonanego aktu i uszczęśliwienie, że się straszliwa pańszczyzna skończyła.

Rozstali się, i starosta z dworem swym, późno w noc do przygotowanego dobiegł noclegu, po takim znużeniu potrzebując nadewszystko spoczynku...

Lecz szlachta miejscowa, która wiedziała o przejeździe młodego Brühla, powitała go tu tłumnie, i nie zabrakło na klientach... petentach — na ukłonach i mówkach, którym uśmiechać się i dziękować za nie było potrzeba...

Zbywszy się téj napaści, już miał starosta, zrzucawszy suknie co rychlej paść na łóżko, gdy kamerdyner posługujący mu oznajmił, że jakiś jeszcze nieznanego jegomość, który nazwiska nie chciał objawić, ale starym i poufałym mienił się przyjacielem — dopraszał się gwałtownie posłuchania.

W pierwszej chwili Brühl ofuknął kamerdynera i chciał odprawić natręta — lecz ten powrócił z naleganiem, z prośbą, i drzwi wreszcie się otworzyły... Z głową osłonioną kapeluszem, który mu całą twarz okrywał, obwinięty płaszczem, ukazał się w progu mężczyzna słusznego wzrostu. Brühl spoglądał dosyć zniecierpliwiony i wnijsciem i maskaradą, gdy nagle gość zrzucił kapelusz i z radosnym krzykiem rzucił mu się na szyję.

— Ha? prawda niespodzianką ci sprawił co się zowie? — Musiałeś mnie przeklinać, że ci zmę-

czonemu wylegać się nie daję! Jak się masz! przebac! Nie mogłem czekać do jutra.,.

— A to ty! krzyknął Brühl — strachu mi narobiłeś niemałego... Siadaj i bądź pozdrowiony!

Przybyły, jeden z dawniejszych przyjaciół młodego Brühla, rówieśnik jego, towarzysz zabaw dziecięcych na tarasie w Dreźnie, niegdyś dworzanin króla, był to pan generałowicz Sołłohub... Z nim niegdyś pan Alojzy najlepiej swawolić lubił, gdy mu do tego przychodziła ochota — próbowali sił, zreczności, a potem i dowcipu, rozprawiając o tych rzeczach, których wówczas wcale nie rozumieli, a tém więcej byli ciekawi. Później pan Sołłohub wrócił do Polski na to życie pańsko szlacheckie, do którego był przeznaczony, a starosta warszawski wyrósł nagle prawie na dygnitarza. Dawna poufałość przeżyła niegdyś bliższe stosunki — dziś rzadsze i mogące oziębnąć, gdyby ich sympatye charakterów, szczerza przyjaźń i wspomnienie młodości nie wiązały.

Przed jednym Sołłohubem zwierzał się pan Alojzy ze swych tęsknot, fantazyj, utrapień pokrytych świetnością położenia — jeden Sołłohub mógł go zrozumieć, a nie mógł zdradzić. Byli z sobą jak bracia — a we własnych nawet Brühl nie miał nigdy tyle zaufania, ile w tym od dzieciństwa przybranym.

Nie były to jednak ani charaktery podobne, ani umysły jednej potęgi i polotu. Starosta warszawski należał do najbystrzejszych ludzi swego czasu; Soł-

Łobhub miał polor i ogładę, ale zawiłe kwestye życia, filozofii, serca, polityki — niewiele go obchodziły. Młodym był i przedewszystkiém chciał użyć młodości i życia... Serce miał czułe do zbytku, głowę rozmarzoną... Brühl — był sceptyk, chłodny, obojętny, łagodny, wdzięczny wszystkiemu co go na chwilę rozerwać i odegrzać mogło. Sołłohub mniej używszy, mniej się napatrzywszy, niewiele jeszcze potrzebował, aby być szczęśliwym. Starosta nudził się często, na co mu nawet ulubione lekarstwo nauki nie pomagało...

Sołłohub naukę szanował wielce, lecz ona mu była obojętna, zastosowania jęj w życiu szlachcica polskiego pojąć nie umiał. Zdawało mu się, że od dawna posiadał już wszystko co mu do jego zawodu mogło być potrzebne. Jeździł konno wyśmienicie, strzelał i pływał jak Brühl, mówił niezłe kilku językami, muzykę lubił choć jęj nie praktykował, pił gdy był zmuszony dużo i ładnie, umiał się znaleźć równie dobrze wśród kontuszów i wśród fraków... Zdawało mu się, że nikt po nim nie miał prawa więcej wymagać.

— A no! Brühl — zawołał wesoło padając na krzesło Sołłohub — mam cię więc powitać kosmatą ręką... żenisz się... Wiwat!

— A ty? spytał starosta...

— Ja, dotąd nie — ale za to szalenie się już kocham...

— Paradny jesteś! i myślisz, że prowadzony przez ślepego amora wnijdiesz do świątyni Hymenu... Ale ty z tym bałamutem do drzwi nie trafisz!

Sołłohub się zarumienił i westchnął...

— Mówmy o tobie; cóż ty?

— Ale o mnie, mój drogi, nie ma co mówić, rzekł śmiejąc się Brühl — z daleka patrząc się i przysłuchując się wiesz wszystko i powinieś się domyślić. Ty masz swobodę — ja się jój dawno wyrzekłem... ze stoicyzmem i wesołą twarzą idę gdzie mi każą... Papa potrzebuje aliansu — pakują mnie do karety, wiozą i dają w zastaw... Ani panna, ani ja nic nie wiedzieliśmy gdy nas zapytywano...

Strzelono z moździerzy, wypito za zdrowie, posadzano nas przy stole... zamieniono pierścionki i — *finita la comedia!* Do was należy dać nam obojgu, *brawo!*

Sołłohub posmutniał.

— Słuchaj, rzekł, tyś w istocie człowiek szczęśliwy, że możesz to brać tak wesoło... *Finita la comedia!* nie prawda *la comedia comincia...* To dopiero początek.

— Chcesz, bym ci jój koniec powiedział? odezwał się z udaną wesołością starosta... Pani się boi mnie, ja jój... ślubujemy sobie przy ołtarzu i jedziemy do Młocin... Życie płynie tak gładko jak zwykle po szlifowanych posadzkach. Kochać się niepodobieństwo, znosić nauczymy powoli, znaj-

dziemy *modus vivendi*. Pani wyszuka przyjaciela, ja znajdę przyjaciółkę... wzajem przebaczymy sobie winy, i ani lepiej, ani gorzej od drugich dobijemy się do końca...

Mamy w czystym zysku, że się żadne z nas nie zawiedzie, bo sobie nie czynimy złudzeń... Nie jestże to położenie wysmienite? Karty na stole, gra otwarta...

Cha! cha! cha! rozśmiał się Brühl spoglądając na zadumanego Sołłohuba...

— Cała sztuka — dodał — punkt widzenia; — strona dobra, jak widzisz, zawsze się znajdzie nawet tam gdzie jej nie ma...

— Ta twoja wesołość! mruknął przyjaciel.

— Ale cóż pomoże jeśli się truć będę i truć tragicznie? spytał Brühl.

Sołłohub milczał, lecz po chwili dodał:

— Uważaj jak lepiej, ja tylko czuję, że mi cię okrutnie żal...

— Starosta uderzył go ręką po kolanie...

— Dziękuję — ale widzisz, wychodzę z tój łaźni... zdrów i cały... Co ty chcesz od życia!! Każdy ma swe przeznaczenie — a ja nie skarzę się na moje...

Przyjaciel smutnie jakoś przypatrywał się nadrabianej wesołości starosty...

Wiesz co? rzekł: nigdy niczego nie zazdrościłem nikomu — ale tobie prawie zazdroszczę humoru i rezygnacyi... Jesteś dla mnie zagadką... Zdaje mi się, że albo fanfaronujesz, lub nie jesteś człowiekiem.

— No, nie wiem — odparł Brühl — może jestem lalką — ale to pewna, że mnie wiele rzeczy śmieszy, mało boli, a prawie nic nie porusza... Smutna to rzecz, czy wesoła — ale tak jest, mój drogi!

— Fanfaron jesteś! przerwał gość — chwalisz się... Jakto? tak młody, miałbyś już nawet nie módz się i nie chcieć zakochać?

— Nie wiem... mówił Brühl potrząsając głową. Śmieszna rzecz, powiem ci, zakochałem się raz pierwszy w życiu mając lat dwanaście, w dziecku... od téj pory już nie mogę... Ta miłość dziecinna trwa dotąd! Jeszcze o niej marzę... Szalałem potem za Angielką, z czego tyle narobiono hałasu, alem jój nie kochał... latałem za innemi tak samo... z ciekawości i temperamentu... Moja pierwsza miłość, która trwała minut pięć... snadź była ostatnią.

Chciał mówić więcej, lecz nagle jakby się namyślił — umilkł, i zmieniając ton, zwrócił się do Solłohuba.

— Mów bo mi o sobie... Ty naturalnie kochałeś się nieskończoną liczbę razy; pamiętam, żeś począł od garderobianej mojej matki... A teraz... w kimże?

— Daj pokój żartom! po raz pierwszy i ostatni w życiu jestem na seryo rozmiłowany.

— A! wiwat! Cóż? przedmiot twych zapałów? mówił Brühl ironicznie: „czy dzieli ogień twoje?”

— Proszę cię nie żartuj! Przedmiot jest młodziuchny i o ile mi się zdaje, chyba nigdy kochać nie potrafi.

— Dla tego, że nie kocha ciebie!! Rozśmiał się starosta. — Czy nazwisko tajemnicą?

Sołłohub się zawahał.

Myśmy przecie przyjaciele — ja cię nie zdradzę! Miałażby być mężatką? pytał Brühl.

Co pleciesz! to prawie dziecko, to aniołek! zawołał Sołłohub.

— Wszystkie one są aniołami, gdy się w nich kocha... Ale któż, mówiąc po polsku, twójgo anioła rodzi?

Generałowicz pomyślał.

— Przyszedłem tu nie po to, abym przed tobą robił tajemnicę — dodał poważnie. Kacham się w Maryi Potockiej, cześnikównie koronnój; sierotą jest biedna, odumarli ją rodzice... Opiekunowie! któż wie, możeby nie byli od tego, aby ją wydać za mnie...

Brühl, który ciągle z wyrazem ironii na twarzy słuchał przyjaciela, gdy wymówił nazwisko cześnikówny, drgnął i wstrząsł się cały... Sołłohub siedział właśnie z oczyma spuszczonemi i nie dostrzegł tego poruszenia — a gdy podniósł wzrok, Brühl już był panem siebie. Większy znawca ludzkich twarzy byłby może rozpoznał w nim jakby przejście jakiegoś prądu, który po sobie ślad zostawi. Sołłohub nie badał tak pilnie tych, z którymi żył; brał ich prostodusznie takimi, jakimi mu się przedstawić chcieli.

Nagle urwała się rozmowa, starosta jakby stracił ciekawość, siedział obojętny i zmieszany nieco.

— Wiesz, odezwał się potém, udając znowu rozweselonego — to szczególne przeznaczenie! Byliśmy i jesteśmy, spodziewam się, przyjaciółmi, w losach naszych wiele było wspólnego, i obu nam widać przeznaczone były Marye Potockie. Sołłohub który imienia wojewodzianki nie wiedział, wyraził całe swe podziwienie.

— A! bodajbyś był prorokiem! zawołał... ale ty bierzesz już twoją Potockę, a ja nie wiem czy kiedy do tego się szczęścia dobiję...

Wstał Brühl i przechadzając się coś nucić zaczął...

— Mówmy seryo — odezwał się głosem zmienionym — nie masz zaprawdę czego mi zazdrościć. Mówiłem ci, że nie ja się żenię, ale mnie żenią. Panna jest biedną, przełąką ofiarą, a ja sobie wydaję się katem... Nie ma na to rady! Muszę wesołego udawać, aby jój i sobie serca dodać... Serce, którem ci się chwaliłem, że mi stwardniało jak nagniotek — boli czasem niewypowiedzianie — zupełnie jak nagniotek na słotę... Wszystko to smutne, śmieszne i głupie! Męczyć siebie i drugih aby przez lat kilka mieć przyjemność patrzeć jak ci się ludzie kłaniają nienawidząc! Powien jestem, że mnóstwo ludzi mi zazdrości! Na oko może być szczęśliwsze położenie niż moje? Ojciec niemal wszechwładnym panem w dwóch krajach, złota mogę mieć ile zechcę, jestem młody, zdrów jak koń — pochlebców rój mnie otacza, a — nie ma człowieka nieszczęśliwszego nademnie.

— Brühl! co mówisz? zawołał przestraszony niemal przyjaciel.

Uśmiechnął się na to starosta.

Wiesz dla czego? bo mi wszystko jest obojętne... bo mi się zachciewa biedy dla wyjścia z tego marazmu...

— Jesteś człowiek po prostu szczęściem poputy — odezwał się Sołłohub, — ale na to żadnej innej rady nie ma, tylko prawdziwa bieda, któraby o zmyśloniej zapomnieć kazała... dajmy już temu pokój.

To mówiąc przeszedł się po pokoju Sołłohub, jakby się do czegoś gotował, i zbliżył z wolna do Brühla, który krzesło pod sobą od niechcenia kawałkami wyprówał.

— Kochany starosto — odezwał się — mam do was prośbę. Byłeś mi dawniej przyjacielem...

— I jestem zawsze!

— Przyłóżże się do szczęścia mojego!

Złożył ręce jak do modlitwy.

— O co ci idzie? mów, bez tych wstępów i przygotowania...

— Kiedy twoje wesele?

Brühl aż się cofnął na to pytanie, którego się nie spodziewał...

— Nie przypominajże mi go... cóż tobie z tego przyjdzie!

— Ale przecież — kiedy?

— A no — około Nowego Roku, zdaje mi się.

— O! to kawał czasu jeszcze, westchnął Sołłohub. Wiadomo już powszechnie, że zaślubiny twe odbyć się mają z nadzwyczajnym przepychem... a szczególnie przy ogromnym zjeździe z całej Polski. Wszystko co tylko spokrewnione, skolligaczone, sprzyjażnione z Potockimi będzie w Krystynopolu... Liczą już gości na seciny... kto wie, na tysiące!

— Chcesz, bym cię zaprosił? przerwał Brühl — ale to samo z siebie idzie.

— A! wcale nie o to mi szło, zniecierpliwiony wtrącił Sołłohub. Cześnikówna Potocka będzie niezawodnie na weselu. Ty już należysz do rodziny — do domu — ojciec twój ma wpływ wielki, siostra twoja nie mniejszy... Aloizy! na przyjaźń twą zaklinam cię, pomóż mi do cześnikówny — ja kocham się w niej śmiertelnie — ja...

Nie dokończywszy porwał się za głowę.

— Szczęśliwy człowiek! westchnął Aloizy...

Przyjaciół chwycił go za rękę... Brühl cofnął się zniecierpliwiony.

— Jeśli o tém chcesz mówić z moim ojcem, nastreczę ci zręczność — niech on przemówi za tobą — ale ja! ja!... ja nie mogę...

— A to dla czego? porwał się niemal obrażony Sołłohub.

— Dla tego, że choć mam zaledwie dwadzieścia jeden lat, dałem już sobie słowo, iż małżeństw nigdy kojarzyć nie będę.

— Ty? dałeś sobie słowo? — podchwycił Sołłohub.

— Tak jest — dałem sobie słowo i dotrzymam go.

Gość wziął kapelusz z krzesła powoli; widać po nim było, iż doznawszy zawodu — czuł się nim mocno dotknięty.

— A zatem — rzekł chłodno — nie pozostaje mi nic, tylko ci dać dobranoc.

Lecz Brühl obie ręce wyciągnął ku niemu.

— Mój drogi, mój przyjacielu — począł łagodnie, nie gniewaj się — Bóg widzi nie winienem, masz całe serce moje — ale w tej sprawie ci służyć nie mogę.

— A ja tylko w tej sprawie cię potrzebuję — przerwał Sołłohub: o żadne starostwo ani proszę, ani prosić cię będę, o żadną łaskę, ani protekcję — w tym tylko jednym możesz mi być pomocny.

Brühl stał chłodny...

— Nie mogę, rzekł — nie mogę...

— Dla mnie jest w tym coś niepojętego — mruknął gość.

— Myśl sobie co chcesz — dodał starosta — ja małżeństw nie kojarzę... Ojcu cię polecę, ojciec więcej niż ja może... Do tej sprawy ci się nie zdam, bo w małżeństwa nie wierzę i mam moje pryncypia... Gdyby mi wolno było odstąpić ci moją własną narzeczoną — także Maryę i Potocką, uczyniłbym to chętnie... ale — daj mi pokój ze swatami, jam do tego nie stworzony...

Generałowicz popatrzał nań, ścisnął z lekka jego rękę i wyszedł...

Brühl powiódł za nim oczyma i rzucił się znudzony śmiertelnie na łóżko...

VIII.

Po trzech Królach odbyć się miało w Krystynopolu wesele... Im państwo województwo kijowscy oszczędniejsi byli i skrzętniejsi w zwykłym życiu — tém na ten akt wspaniałej wystąpić chcieli. Znano z opowiadań zbytki dworu saskiego, do których Brühl był przywykły, wiedziano jak on wykwintne wiódł życie; chciano naostatek po długim milczeniu i oddaleniu od większego świata występem zaćmić uczty najwspanialsze...

Wojewodzina byłaby może starała się pogodzić wspaniałość z oszczędnością, ale na tym punkcie sam pan Franciszek Salezy okazał się nieubłagany.

— O tém mi asińdźka ani mów — odezwał się — tu nie ma co skąpić — oczy całej Rzeczypospolitej zwrócone są na nas... trzeba wystąpić

i wystąpimy — po królewsku! Dam ile będzie potrzeba... choćby krocie miały pójść. Należy stanąć od razu tak jak nam przysłało...

Gdy da Bóg wydawać drugą i trzecią — zrobi się inaczej, bodaj cicho i skromnie — ale pierwszą i jeszcze za Brühla dając...

Potrząsł ręką do góry pan wojewoda... a że wiele czasu do stycznia na tak wielkie przygotowania nie zostawało, natychmiast do narady wezwał księcia Czetwertyńskiego... Szło głównie o program wesela. Przy obrzędach weselnych ongi były zachowywane pewne tradycje narodowe — siła mów głosić musiano i słuchać, przy oddawaniu podarków, marcepanów przy stole — przy wprowadzaniu do sypialni, pokładzinach, przy wieńcu, przy rozmaitych ceremoniach ślubu i wesela, aż do cukrowej wieszery i wyjazdu z domu rodzicielskiego... Mówili od pana młodego, od rodziców, od rodziny jednej i drugiej, przyjaciele, dworzanie i t. p. Oprócz mów sam obrząd, wedle starych zwyczajów na pół publiczny, uciążliwy był, a dla obcych dziwnie się mógł wydawać...

Wojewoda nie rad był odstąpić od tradycyj a biedził się z tém jak ją przełkną Sasi.

Obyczaj europejski już w kraju się zagęszczający, znosił te dawne obrzędy i nowe wprowadzał cudzoziemskie formy. Nie wiedziano zaprawdę, jak lepiej było — czy stać przy dawném, czy zerwać z przeszłością. Dla obojga państwa było to markotno,

a dla obcych znówu nie chciano się okazać śmiesznymi i zardzewiałymi... Dla tego, wrzeczach tych biegłego zaproszono do rady księcia Czetwertyńskiego, który powoli wsunął się do kancelaryi, gdzie oboje państwo nań oczekiwali. Stary kniaź zubożały, miał postawę wspaniałą, znać w nim było ową bujną krew dawnych wodzów, co nie łatwym do rządzenia tłumom w pochodach i zdobyczach wskazywali drogi... Służył on panu wojewodzie, ale swą mitrę nosił dla tego jak przystało, i choć się kłaniał, nie poniżał. I tym razem głowy uchyliwszy, ręce zaraz za pas włożył, stając jak równy przed równym.

— Czém mogę służyć panu wojewodzie?

— Waszmość, mości książe, jesteś naszym przyjacielem — chcemy waszój rady, oto z powodu tego wesela... odezwał się pan Franciszek Salezy. Już to nie ulega wątpliwości, iż wystąpimy tak jak nas stało, niech kosztuje co chce... ale jest sęk... Maryanna idzie za cudzoziemca, choć to niby szlachcic polski, ale zarazem i graf niemiecki. We-seleby przystało sprawić po naszemu, po polsku... z drugiej strony... oni tego nie rozumieją i prześmiewać gotowi.

Książe oczy mocno otworzywszy, stał długo milczący i słyhać tylko było poważne sapanie. Jak wszyscy niemal ludzie owego wieku, powolnie myślący, miał i on swe przysłowie, które w mowie pomagało do zasztukowania pauz, gdy się myśl opóźniała — a myśl chodziła leniwo...

— Furda — tego — panie wojewodo.. rozpoczął mimowolnie na początku zaraz umieściwszy przysłówie, kniaź Czetwertyński — Furda tego, nie ma nad czém tak dalece myśleć... Trzeba aby był i wilk syty i koza cała...

— Ale jak? zapytała wojewodzina.

— Jak? gładząc łysą głowę rzekł książę — jak? Furda tego — polski ceremoniał się nieco obetnie, a nowomodnego przyrzuci...

— Cóż z mowami będzie? wtrącił wojewoda...

— Oni ich i nie rozumieją — cicho szepnęła sama pani...

— Dla tego słuchać mogą — furda tego — rzekł książę — ruszając ramionami... bez mowy zupełnie obejść się nie może...

— Acindziej wiesz, mości książę, że za moich młodych czasów, na porządném weselu, piętnaście do dwudziestu oracyj trzeba było wysłuchać — rzekł Potocki.

— Samem je prawili, jak nie mam wiedzieć? — odezwał się kniaź... Na mojem własném figla mi spłatał, którego nigdy nie zapomnę, Pociąg. Przy- padło mu odemnie za pannę dziękować w łożnicy... umiał expedite, ale nim do niej przyszło, umyślnie go spojono.. Stanęliśmy słuchać, odchrząknął — oczy mu słupem stanęły, rękę podniósł — czekamy — zczzerwieniał jak burak, krztusi się... ani słowa...

Ten i ów pod bok go szturcha... jeszcze się gorzej coraz począł mieszać... i — drapnął jak niepyszny. Musiałem sam ex promptu go zastąpić...

— Ja wiem, że m nieraz na weselach tylko szum słyszał — dodał Potocki, — a pewnie nie więcej i drudzy. Bredzono śmiało...

— Mów jak najinniej będzie... zadecydowała pani — ale z innemi obrzędami...

Książę się zamyślił...

Pewnie że stary obyczaj i publiczne odprowadzenie do sypialni nie ujdzie — rzekł po chwili... a marcypanów i świec pan młody nie przysze... więc z francuzka po polsku... takie moje zdanie, furda tego panie wojewoda...

Utrzymała się opinja Czetwertyńskiego, i program powoli zaczął coraz wyraźniejsze przybierać rysy... Zawczasu tedy kancelarya wedle trzech aryng różnych poczęła pisać listy, do duchowieństwa, senatorów, dygnitarzy, familij i przedniejszej szlachty, z którą panowie Potoccy mieli stosunki. Zachodziła ta trudność, iż z wielu osobami partyi przeciwnój były kolligacye i pozornie dobra komitywa — nie wypadało więc i tych opuścić, a pokrzywdzić pominieciem, choć się na pewno spodziewano iż listownie się chorobą, żałobą lub inném jakim sianem wykrecą.

Książdz biskup łucki Wołłowicz, osobno przez dworzanina zaproszony został, ażeby nowożeńcom błogosławił, boć mniej niż biskup ślubu dawać nie mógł. Listy szły na pocztę, przez kozaków dworzan, kresy i gubernatorów dóbr rozsyłano... Inne też przygotowania na ogromną skalę czyniono. Do

Węgier umyślnie po wina, ze wszystkich dóbr zwierzyzny kazano dostarczyć, z Gdańska przywieziono korzenne do kuchni przybory... Pieniądze szły okrutnie, a gdy pani Anna postękiwała na to, wojewoda usta zaciskał i powtarzał: Niech kosztuje co chce, inaczej nie może być...

Na tém się skończyło.

Osobne trzy izby zajmowali kuśnierze i krawcy... sztyto suknie a panna Marya jak machina do próbowania ich coraz powoływana być musiała.

Szła po sześć razy czasem na dzień błada milcząca, dawała się opinać oglądać na wsze strony i obojętna powracała nazad do swego pokoju...

Naukom już dano za wygraną, nawet młodsze siostry niewiele ich pilnowały... Madam ciągle przygotowywała swą wychowanicę, tak skutecznie, iż coraz się stawała smutniejszą. Nie miała wcale daru przekonywania, a była w najwyższym stopniu niezręczną i wygadywała się z historyjami, które do stanu małżeńskiego nie zachęcały. Większą część dnia spędzały w pokoju madamy... Wojewodzina choć nadzwyczaj zajęta i mało w to wglądająca, w końcu jednak sama dopatrzyła tego, iż panna Marya zmizerniała, schudła... i coraz więcej kaszleć zaczynała. Nawykła do posłuszeństwa, poleciła madamie, aby te jakieś kwasy i apprehenzye wybiła córce z głowy, kazała jój jeść i być wesołą. Tu wszystko musiało się spełniać jak dysponowano. Jednakże, mimo całej usilności Dumont, panna

Marya zmuszającą się do uśmiechów, coraz chudła i czerniała. Wojewodzina zaczynała się gniewać... Nie wydała się z tém przed córką, bo madam nastraszyła ją, że surowość jeszcze ten stan pogorszyć może. Posłano Niemca doktora, aby o stanie zdrowia wojewodzianki się przekonał. Ten niewiele umiał, obawiał się coś stanowczego wyrzec; płatał się i wojewodzinę uspokoił tym ogólnikiem, że te panińskie nerwy po ślubie przyjdą do normalnego stanu.

Wszyscy, nawet Bebuś, widzieli wyraźnie iż pannie Maryi obawa zamażpójścia — nowego życia przestrasza i niezdrowie sprawiała. Wojewoda nie wiedział i nie domyślał się nic...

W duszy dziewczęcia w istocie działo się coś dla niej samój niezbadanego — zdało się jój, iż rozstanie z Krystynopolem życiem przypłaci, że z tęsknoty umrze, że gdzie indziej potrafi chyba płakać i konać... Godzinami stała w oknie — a gdy Godziemba się pokazał, ledwie spojrzawszy uciekała.

Chłopak od zaręczyn chodził jak trup blady, roztargniony i codzien prawie musiał być strofowany za zapominanie się jakieś, tém dziwniejsze że dawniej do najżwawszych i najprzyciemniejszych się liczył.

— Co ci jest, Godziemba? wołał starosta Zawidecki: skaranie bęże! — chory czy zakochany... Albo idź się położyć, albo się do kaduka żeni a tu nam więcej zawadzasz, niż pomagasz...

Szpiegowano młokosa, ale nikt nie nie wyszedł.

Tymczasem madam Dumont. w sprawach sercowych doświadczona wielce, gdyż nim się wychowaniem zajmować zaczęła, wiele sama na sobie smutnych doznała kazusów — z różnych stron badając swą ukochaną, wpadła nareszcie na jakieś podejrzenie, że tu serce musiało wpływać na taką nieprzewycięzoną tęsknotę i apatyę... Lecz sama myśl, żeby wojewodzianka otoczona tylko pośledniejszego gatunku osobami, mogła na kogoś rzucić oko, przerażała madamę! Gdyby, uchowaj Boże, coś podobnego dośledzono — na niąby cała spadła wina! Strach ją ogarniał wielki... A nuż się wyda? a nuż coś jest? Nikomu wszakże do panien ani się zbliżać, ani mówić do nich nie było wolno. Cóż to być mogło.

Ciekawość, obawa, litość pobudzały madam do pilnego śledzenia najmniejszych ruchów panny Maryi. W czasie gdy młodsze panienki z nią lekcyę odbywały, Dumont chodziła po swoim pokoju... Uważała teraz bardziej śledząc wojewodziankę, że zwykle stawała w oknie, podparta na rękę i niekiedy godzinę się z miejsca nie poruszała. Wzbudziło to w niej podejrzenie. Z drugiego pokoju ostrożnie przez okno przypatrywała się, czy też kogo nie obaczy...

Zaraz pierwszego dnia stojąc na czatach spostrzegła Godziembę, który przesunął się w ulicę,

znikł pomiędzy drzewami. — ale zdawało się jój, że w nich ukryty stanął. Pilnowała go i przekonana się, iż w istocie pozostał naprzeciw okna panny Maryi, pierwszy raz zdawało się jój to tak nieprawdopodobném i zuchwałém, że to wzięła za wypadek... Lecz... powtórzyło się nazajutrz i razy kilka Dumont więcej niż podejrzenie powzięła. Jakiś ruch chusteczką białą — złapała... potem niby jakieś znaki, naostatek po tygodniu z rozpaczą nabyła przekonania, że choć w tém wszystkiém nie mogło być nic posuniętego bardzo daleko — stosunki oczu i serc — niestety — istniały...

Nie wiedząc, co z tém począć, Dumont przekonawszy się, najprzód się rozchorowała. O wyjaśnieniu tajemnicy wojewodzinie mowy nawet być nie mogło... tak straszliwe pociągnęłoby to za sobą skutki. Zmilszeć zupełnie — nie umiała, poradzić się nie było kogo... Madam stała już nieustannie na straży, jeszcze niedowierzając oczom — ale wreszcie wątpliwości dla niej nie było żadnej.

Odkryła przyczynę choroby, smutku, wstrętu wojewodzianki do tego małżeństwa. Walcząc z sobą długo, wahając się, Dumont postanowiła otwarcie z wychowanicą się rozmówić, boć tak samo jak ona dosłodziła tych konszachtów tajemnych, mógł je podpatrzeć kto inny, choćby łotr Bebuś, który był najniebezpieczniejszym ze szpiegów.

Jednego tedy wieczoru, gdy się panny pospały, Dumont wezwała do siebie wojewodziankę — opa-

trzymała drzwi, korytarze... zapobiegła, aby ich nikt nie podsłuchał... i ucałowałszy ją — prawie ze łzami poczęła rozmowę... niedosłyszonym szeptem:

— Panno Maryo, panno Maryo! ja teraz już wiem, dla czego mizerniejsz i bledniejsz... Ja jestem waszą najwierniejszą przyjaciółką, i z trwogi już od kilku dni choruję...

Marya zbladła, spojrzała na nią, strwożona, nie śmiejąc ust otworzyć...

— Nie ma się co tać przedemną... ale to okropna rzecz! Gdyby się we dworze domyślono... Boże Wszechmocny!.. stałoby się coś okropnego! wszyscy byśmy byli zgubieni...

Tak pospieszenie mówiąc, płacząc się, nie wiedząc jak wyrażniej dać poznać wojewodziance odkrytą tajemnicę, szepnęła na ucho nazwisko Godziemby...

Usłyszawszy je panna Marya chwyciła z całych sił za ręce i dłonią zasłoniła jój usta...

Zdradził ją ten przestrach — padła potem na krzesło zakrywając sobie oczy. Dumont zlekła się, aby nie omdlała, i zaczęła ją ścisnąć, cieszyć, uspakajać.

— Na miłość bożą, niech się panna Marya nie trwoży — nikt na świecie o tém wiedzieć nie może i nie będzie... to zostanie między nami... Więc to prawda!...

I załamała ręce... a po chwili nie doczekawszy się odpowiedzi, szepnęła:

— Gdyby się domyślano — gdyby tylko cień podejrzenia padł... a! panno Maryo — kazanoby go zabić!!

Słaby krzyk wojewodzianki stłumiła Dumont, chustkę jój do ust przykładając. Można się było obawiać, aby zawsze niespokojna wojewodzina nie posłyszała go i nie przyszła...

— Zaklinam cię... powiedz mi wszystko, wszystko — ja nie zdradzę... ja poradzę i pomogę...

Oprzytomniawszy nieco, panna Marya się podniosła... łzy jój z oczu płynęły... rzuciła się na szyję madamy...

— Moja Dumont — cóż ja ci mam powiedzieć? on patrzył na mnie — ja odpowiadałam wzrokiem, nigdy trzech słów nie mówiliśmy do siebie. Ja go kocham, i z téj miłości umrę powoli, on pewnie także... Zaniesiemy ją oboje do grobn.

Słyszac to Franczka rozplakała się.

— Jakto? jakto? nawet nie spotkaliście się — nie mówili — nigdy? pewnie!

— Na wszystko najświętsze przysięgam...

-- Ale to osobliwsza miłość! dodała madam. I nie dziw... Gdyby się dowiedziano, onby ją życiem przypłacił. Jakże się mógł ośmielić na was podnieść oczy! Ależ to przecie sługa!...

— To wychowaniec naszego domu... przerwała panna Marya.

— To człowiek biedny — najniższej kondycyi... I ruszyła ramionami...

Marya płakała i nie odpowiadała nic...

— Straszliwa tragedia — ciągnęła dalej poruszona Dumont — co tu z tém począć! To trzeba sobie wybić z głowy i serca, to nie ma sensu... okropna... a wojewodzina...

Zakryła sobie oczy Francuzka.

— Na samą myśl truchleję — dodała...

— Widzicie, rzekła — ja — ja się domyślam, mogą się dorożumieć inni. Wojewodzianka mizerniejsz, kaszlesz, zamysłasz się — widocznie ślub ten w niej wstręt obudza. Uchowaj Boże inni ludzie na tę myśl wpadną, zgubisz siebie i jego...

Surowość obojga rodziców była tak znana, iż w istocie Francuzka miała prawo się trwożyć.

Panna Marya stała już z oczyma suchemi, milcząca...

— Za cóżby mnie karać miano, albo jego? — odezwiała się wreszcie — oczyma tylko rozmawialiśmy z sobą i sercami... Trzeba będzie umrzeć z tęsknoty gdy mnie ztąd wywiozą — umrę — wy mnie nie wydacie; tajemnica pójdzie ze mną do grobu... A! wy nie powiecie nikomu!

Załamane ręce madamy świadczyły, iż nigdyby tego dopuścić nie mogła...

Rozmowa przedłużyła się, tak urywana i mało zawierająca treści jak jój początek — płakały, ścisnęły się, Dumont piła wodę, aby się otrzeźwić, litowała się — szukała jakiegoś ratunku, a znaleźć go było trudno.

Z tego co mówiła Marya, łatwo wyrozumiała, iż czyste, niewinne, wychowane bogobojnie dziecko, nie zamarzyło nawet o czemś, coby z karbów obo-
wiązku wyjść mogło... Wojewodzianka ograniczała się tém, iż chciała umrzeć. Dumont szukała w głowie sposobów, aby żyć mogła...

— Idzie wam o to, abyście się na siebie patrzali — odezwała się — więcej wami nie potrzeba... Niech się Godziemba stara, aby go Brühl wziął do swojego dworu...

Marya się zarumieniła przełęczniona — a madam mówiła do niej dalej:

— Może się to da zrobić — ale z ostrożnością wielką... Nie ma innego ratunku — ja z nim pomówić muszę — ja...

Wojewodzianka z kolei przeraziła się.

— Jak? o czém? z nim mówić! A! na Boga! zdradzić mnie!...

— Ale uspokójcież się — nikogo w świecie nie zdradzę, o niczém nie wiem i nie głupiam mu więcej nad to powiedzieć... co konieczne... Ależ ja nie pierwszy rok na świecie żyję, a wam umierać nie dam z takiej dziecinnój miłości... To chłopiec bałamut, ręczę, zuchwalec i niewart tak pięknego jak wasze serca...

Późno w noc skończyła się ta łzawa rozmowa, lecz wojewodzianka po niej uczuła się nieco spokojniejszą, a Dumont niemal do białego dnia była

się z myślami, jak ma do tego nieszczęsnego Godziemby przystąpić.

Wcale to nie było łatwo, gdyż we dworze wszelkie stosunki osób płci różnych, chociażby najniezależniejszych, nadzwyczaj ściśle były kontrolowane. Młodzież męska nie śmiała się otwarcie zbliżyć do fraucymeru, chyba w dni Zapustne pod okiem starszych, gdy tańce wyprawiano na sali. Dumont nieodstępnie była z pannami... Mieć więc zręczność mówienia z Godziembą — było prawie niepodobieństwem. Lecz jest li niepodobieństwo dla podżyłej, zręcznej kobieciny, gdy sobie czém głowę nabije?... Przez parę dni madam męczyła się na próżno... potem zaczęła się skarżyć na ból głowy. Rumianek był w takich razach uniwersalnym lekarstwem...

Nie pomógł jednak. Skutkiem narady z doktorem, pani Dumont nakazano przechadzkę. Wojevodzina na czas jej niebytności przy pannach posadziła ochmistrzynię, gdyż panny miały swe goździny zajęć, których opuszczać nie mogły...

Dumont przez dwa dni chodziła do ogrodu na próżno... trzeciego czatowała i złapała Godziembę. Zobaczywszy ją, chciał z razu uciec — lecz Francuzka zawołała nań prędko, że mu ma coś powiedzieć. Nie patrząc nawet na niego, rozglądawszy się tylko, aby jej nie podsłuchano, szybko rzuciła mu te wyrazy:

— Waćpan powinienesz wyjść ze służby pana wojewody... Ja mu dobrze życzę. Wam tu grozi niebezpieczeństwo... Nie mogę mówić jaśniej. Proś waćpan, aby go odprawiono... Znajdzie się później inne miejsce, odbierzesz waćpan wiadomość. Rozumiesz?

Godziemba wybąknął coś niejasnego... Dumont pierzchnęła co prędzej. Choroba jój i ból głowy tegoż dnia ustały...

Pan Tadeusz wprost z ogrodu pobiegł do oficyny, myśleć co ma poczynąć...

Nie czuł się zupełnie czystym na sumieniu, słowa więc guwernantki utkwily w niem. Żał mu było dwór opuszczać, a do tego trudno nawet, wojewoda jako wychowawcem nim rozporządzał, sądził, że miał nad nim prawo życia i śmierci. Prosząc o uwolnienie, Godziemba musiał się rzec raz na zawsze protokcyi, pomocy, wszystkiego co mu przyszłość mogło zapewniać... Krok ten pozbawiał go jedyne go przytułku. Wprawdzie Francuzka obiecała jakieś inne miejsce, ale jakąż wagę mogły mieć jój wyrazy?

Chodził Godziemba po swój izdebce włosy targając, gdy go do starosty powołano...

Ten miał na niego ciągle oko, widząc go roz-targnionym i smutnym, a że sam był człowiek młody i wchodził we wszystkie młodości bole i choroby — postanowił przez litość przy pierwszej zrzeczności gdzieś mu się dać po świecie przewietrzyć...

Miano ważne papiery wysyłać do gubernatora w Humanu, wojewoda kazał sam, by je któryś z roztropniejszych dworzan wręczył i odpowiedź dostawił. Starosta Zawidecki był pewien, że Godziemba tą podróżą łaskę wyświadczy...

— No, panie Tadeuszu — odezwał się, — pakuj acindziej troki, czy tłumoczek... jedziesz z papierami do Humania.

Godziemba stał wcale nie pokazując po sobie wesołości. Spadało to na niego zbyt nagle, nim się miał czas rozmyślić, co zrobić z radą madamy i z sobą. Rozpaczliwe usposobienie od czasu zaręczyn wojewodzianki pchało go do jakiegoś kroku szalonego. Czuł że pozostać tu dłużej nie powinien. Nie wiedział jeszcze co z sobą robi, ale mu na rękę było wyrwać się na swobodę. Dziecinna miłość nie miała celu i była szaleństwem, od niej samój uciekać należało...

Jeszcze myślał w jaki sposób odpowie, gdy starosta Zawidecki, zawołał zdumiony.

— A toż co jest? Słyszałeś waćpan? jedziesz do Humania...

— Jestem chory — rzekł Godziemba — pan starosta przebaczy.

— Właśnie widzę że waćpan chory jesteś, i dla tego wysyłam go. Młodemu nie ma nic zdrowszego jako dobrze się przetrząść i aurę odmienić.

Godziemba zamiast podziękować, stanowczo odparł:

— Nie pojadę.

Marszałek osłupiał.

— Mości Godziemba — zawołał — u nas we dworze nie ma — *nie*, póki kto jest na służbie pana wojewody, acan to wiesz... Gdybym jego odpowiedź odraportował — wiesz konsekwencye, jakieby za sobą pociągnęła?

— Jestem chory — mruknął Godziemba — i — proszę o uwolnienie ze służby.

Usłyszawszy to, starosta uszom prawie nie chciał wierzyć.

— Co waćpanu jest? jaka chandra go napadła? zawołał — mam nad nim litość — życzę się pomiarkować. Waćpan nic nie masz na świecie oprócz łaski pana wojewody, a jeśli ją stracisz...

— Pan Bóg nad sierotą — westchnął Godziemba.

Widząc ten upór, marszałek popatrzał i z życzliwością zbliżył się do niego.

— Ale powiedzże mi co ci jest? to niezrozumiałe...

— Nic mi nie jest — począł Godziemba kwaśno — łaskę pana starosty umiem cenić — ale — ale — ja postanowiłem iść w świat, tu się zestarzeję i z dworzanina nie wyjdę, a łaska pana wojewody...

Nie dokończył — starosta głową dziwnie trząsk.

— Jak sobie chcesz — odezwał się zimno; — tylko ponieważ nawet wartogłowów gubić nie lubię — daję czas do namysłu do jutra... Do Humania po-

jedzie Dębicki, waćpan się namyśl, a jeśli bunt chcesz podnieść — jakiego sobie piwa nawarzysz, takie pić będziesz...

Skłonił się Godziemba i wysunął się za drzwi.

— W tém coś jest — rzekł sam do siebie starosta Zawidecki. Przywołano natychmiast Dębickiego, który z radością pobiegł po konia i przyjął polecenie. Wieczorem starał się wybadać marszałek towarzyszków Godziemby, czy się z kim nie powaśnił, czy co nie zmalował — lecz nikt o niczém nie wiedział.

Tymczasem Tadeusz do swój izby na górę poszedłszy, z myślami się bił i sam do stanowczego kroku podbudzał. Wziąwszy na rozum, doszedł teraz, iż madam, która była przy wojewodziance, musiała nie darmo ostrzedz go o niebezpieczeństwie. Bebuś mógł dosledzić jego wycieczki w ogrodową ulicę i znaki dawane... Niebezpieczeństwo w takim razie mogło być w istocie groźne, gdyż wojewodę znano z tego, iż się miał za pana życia i śmierci swych podwładnych. Opowiadano po cichu rozmaite stare dzieje o znikłych dworzanach, o domierzonych karach, które się krwawo zakończyć miały... Godziemba więc postanowił nie czekając odprawy, boddaj nocą wysunąć się do miasteczka, a ztamtąd w świat ruszyć... Dokąd? sam dobrze nie wiedział... O czém? to także było pytanie. Zamknąwszy się w izdebce, począł od inwentarza tego co sobie wysłnżył... Kassa zawierała kilkanaście złotych, gar-

deroba była dosyć porządna... Konia, który mu służył, zabrać nie czuł się w prawie. Westchnął biedak... lecz postanowienia nie zmienił. Nie chciał uciekać jakby przewinił, nie pożegnawszy tego, który się uważał za opiekuna i dobroczyńcę. Siadł więc list pisać z pożegnaniem do pana wojewody. Za powód w nim stawił, iż musiał prowadzić życie bezczynne... i że sobie — jak mówiono naówczas, szczęścia chciał na świecie szukać... Dziękował za wszystkie łaski i — i — prosił o przebaczenie za krok samowolny... List napisawszy, odczytawszy, przepisawszy, upakował małe zawiniątko, i już ciemnym wieczorem, właśnie gdy na kolację do marszałkowskiego stołu dzwoniono, wysunął się do ogrodu niepostrzeżony.

Starosta Zawidecki nie widząc go przy wieczerzy, nie dał znać po sobie nic — inni sądzili, że go gdzieś wysłano... Nazajutrz rano nie było go na mszy; nie doczekawszy się na śniadanie, pan starosta posłał po niego. Doniesiono mu, że izba była otwarta, klucz w zamku, a Godziemby ani śladu... Ten, który chodził, dodał po cichu, że na stoliku list jakiś leżał. Marszałek pobiegł sam... Obejrzawszy się nie wątpił już, że Godziemba uszedł... Był to ważny wypadek... straszliwa niesubordynacja... bunt, samowola.

Wiedział, iż dla samego przykładu wojewoda płazem tego nie puści.

Skutki dla Godziemby, gdyby się go pochwycić udało, mogły być straszliwe: więzienie o chlebie i wodzie, któż wie? w pierwszym impecie może skazanie na karę cielesną. Żał mu się zrobiło młokosa, radby był zwlec rapport do wojewody, ale już w całym dworze wiadano, domyślano się, szeptano, że Godziemba uszedł. Nie było więc sposobu, tylko list odnieść i o tém co się stało oznajmić.

Potocki rozdrażniony był właśnie i gniewny — tysiącem różnych spraw go męczono... Gdy starosta wszedł, list schowawszy za suknię, chodził po kancelaryi brodę ogoloną gładząc i trąc, co było najgorszym znakiem. Odwrócił się ku niemu... godzina była niezwykła...

— Co mi waćpan powiesz?...

Starosta Zawidecki sam nie wiedział jak zagaić...

— Stała się u nas rzecz... rzecz niezwykajna, ekstraordynaryjna, odezwał się po namyśle... Dziś rano Godziemba na mszy i śniadaniu nie był, poszedłem zobaczyć czy nie chory, nie znalazłem go i w mieszkaniu... tylko... list...

Wojewoda brwi coraz marszczył i rękę wyciągnął milcząc... Potrzeba było pismo wręczyć. Rozwał kopertę wojewoda i poszedł z pismem do okna; marszałek śledził fizyognomię, widział jak zbładła i ręce się zatrzęsły. List rzucił o podłogę..

— Błazen! zawołał. Posłać kozaków za nim, nie musi być daleko! On mi tu będzie za służbę dziękował, on, którego wychowałem, i co mi wi-

nien wszystko! Patrzcie go! jakie foufry! Niech mi za nim jadą i związanego dostawią. Pięćdziesiąt bizunów na kobiercu i na odwach, do ciemnego karceresu, na chléb i wodę, żeby miał czas przyjsć do rozumu...

Za służbę mi będzie dziękował!

Oczy wojewody zrobiły się straszne; starosta słuchał, ale dreszcz po nim chodził.

— Za tém pójdzie, że mi tu dalej fornale i hajducy za służbę podziękują! Trzeba dać naukę...

Wtém wojewodzina uchyliła drzwi...

— Słyszałaś asińdźka! zawołał coraz bardziej się rozogniając Potocki. Słyszałaś co się tu u nas nowego święci? Ten smarkacz, młokos, ten niezdar, któremum nie dał umrzeć z głodu... Godziemba, nie pokłoniwszy się poszedł precz... le-dwie raczywszy mi listem za chléb i sól podziękować.

Wojewodzina załamała ręce

— Ale możeż to być?

Spojrzała na starostę, który ruszył ramionami nie mówiąc słowa.

— Słyszałaś asindziej rozkaz? to zgorszenie, to skandal... Proszę mi zaraz wysłać za nim, i com dysponował, żeby się co do joty spełniło...

Starosta głowę pochylił i wyszedł...

W istocie natychmiast wyprawiono pogoń, ale wysyłając ją, pocziwy marszałek choć surowe wydawał rozkazy, umiał wejrzeniem i ruchami dać poznać kozakom, żeby się zbytecznie nie upędzali

za zbiegiem. Wybrał wreszcie takich, których znał, że Boga w sercu mieli, i umyślnie się wygadał głośno, co schwytanego czekało.

Po całym dworze rozeszła się wieść dziwna, niezrozumiała o ucieczce, a razem o gniewie okrutnym pana wojewody. Była to gratka niepospolita dla złośliwego Bebusia, który ręce zacierał z radości, myśląc o kobiercu. Obiecywał sobie być świadkiem wykonania wyroku, i latał jak opętany powtarzając, iż Godziembę czeka pięćdziesiąt...

Gdyby śmiał, byłby z tém wpadł i do panien — lecz tu mu wchodzić, inaczej niż posłanemu, nie było wolno.

Dumont pierwsza dowiedziała się zrana w korytarzu od starszej ochmistrzyni o ucieczce, i ostrożnie o tém szepnęła pannie Maryi, dodając iż się to stało z jój rady...

Miała więc czas wojewodzianka wypłakać się w kątku, oczy obmyć i uspokoić się, nim wyszła na pokoje. Ochmistrzyni upewniła madam, a ta pannę, iż choć kazano ścigać Godzimbę, starosta Zawidecki tak to urządził, aby go nie pochwycono.

Przez cały dzień wojewoda chodził zagniewany i lajał kto mu się nawinał... uciekali wszyscy... Co godzina posyłał się dowiadywać czy nie ujęto Godziemby — lecz ani tego dnia, ani następnego, żadnego śladu nawet nie nadybano i trzeba się było z tą myślą pogodzić, że mu to njdzie bezkarnie.

Było tradycją w takim razie, gdy ktoś zawinił srodze tak, iż go więcej znać ani o nim wiedzieć chciano — że pozostałości jego uroczyscie wywlekano na dziedziniec pałacowy i w obec całego dworu, do najdrobniejszego szczątku palono. Stało się tedy trzeciego dnia, że pan wojewoda rzeczy Godziemby nakazał wyrzucić i spalić. Cały dwór był przytomny dawno już niewidzianej egzekucyi. Grozą to przejęło wszystkich. Od téj chwili nazwiska winowajcy wspomnieć, mówić o nim było najsurowiej wzbroniono.

Co się stało ze zbiegłym, nikt nie wiedział... W miasteczku badani Żydzi i mieszczanie, poprzy sięgali, że go nikt owéj nocy nie widział, nie spotkał.. ani z nim mówił. W okolicy nikogo podobnego na gościńcu téż nie napytali kozacy... nawet posłuchu...

Wojewodzianka płakała... chodziła do okna, choć nikogo tam już jéj oczy nie spotykały... a głupi Bebuś, który w upiory wierzył, zaklinał się, iż Godziemba musiał umrzeć, bo jego ducha raz wieczorem dostrzegł przesuwającego się około pałacu... Znano karła że plótł zawsze nie do rzeczy, i nikt mu nie wierzył.

IX.

Już na dzień Nowego Roku 1760, znaczna liczba gości sproszonej na wesele córki pana wojewody, do Krystynopola zjeżdżać się zaczęła...

Dostojniejszych gości stawiono w pałacu, w przeznaczonych dla nich apartamentach; innym dworzanie i służba ustąpić musieli z oficyn; wreszcie ostatek w miasteczku miał wyznaczone kwatery, bo wszystkie domy porządniejsze i część klasztoru księży bernardynów wziętą była w rekwizycję...

Śmiało powiedzieć można, iż co było najprzedniejszego w obywatelstwie Rzeczypospolitej, stawiało się na to wesele, o którym zawczasu głośzono, iż - za pamięci ludzkiej równego mu w Polsce nie było. Nietylko książę Czetwertyński, ale wice-marszałkujący starosta Zawidecki, i łowczy nadworny Sado-

wski, starosta rapczycki w pomoc wzięty, i przedniejsi z dworzan, Lipski, Jabłonowski, Dzbański, Polanowski, Świeżawski, Świejkowski, Kamenecki, Złotnicki zajmowali się ciągle przybywającymi gośćmi, których wszelkie potrzeby kosztem wojewody zaspakajano. Sanie, karety, powozy ładowne bryki ciągnęły ze wszęch stron, co chwila oznajmowane... Ruch we dworze był ogromny, dzień i noc nieustający. Ściągnięto w pomoc służbę od gubernatorów dóbr, część nawet żołnierzy wojewodzińskich musiano w liberyę poprzybierać, aby wszystkiemu starczyć... W pałacu stoły nakryte cały dzień, przyjęcie ciągłe, a w kuchni istne wrzalo piekło.

Wojewodzina szła spać po północy, a przed dniem się zrywała — bo na nikogo się nie rada była spuścić... Wojewoda od brzasku już był ubrany i albo z officyalistami odbywał konferencye, lub przybywających witał i odwiedzał...

W wigilię ślubu, gdy już się zjechały tłumy, gdy pałac się nappełnił i same obrzędy już przygotowywać zaczęły... gdy najdostojniejsi ze spodziewanych gości przybyli, — Krystynopol przedstawiał niemal obraz stolicy czasu sejmu...

Ludzie, co po kilkadziesiąt lat nie spotykali się z sobą, tu się witali niespodzianie znajdując. Z całej Rusi klienci wojewody, wszystko co mu winne było krescytywę, co żyło jego protekcyą, zbiegło się dworować potentatowi, z najodleglejszych prowincyj przyjaźni Potockim, spokrewnieni, cała partya dwor-

ska i Brühlowska przybyła uświetnić obchód uroczysty.

Było to jakby obliczenie sił i demonstracja przeciw Familii, szło więc wielce panu wojewodzie aby jak najwięcej osób zgromadził około siebie i w całej ukazał się potędze... Miał prawo być dumnym, gdyż z najodleglejszych krańców przystawiło się co żyło, i nie brakło ani jednego z imion wielkich Rzeczypospolitej. Brühlowie, którzy już znaczną część zaproszonych przybywszy zastali — mogli téż sobie winszować, iż taką siłę zapewnili do walki z nieprzyjaciołmi...

W oczach ich wprawdzie nieco dziwnie ten świat szlachecki musiał się wydawać, którego znaczniejsza część przybywając z zapadłych kraju kątów przywoziła z sobą strój, fizygnomię, obyczaj przedwieczny... Z przepychem wielkim a staroświeckim występowali niemal wszyscy, bo co najwspanialszego dom miał, to starém i odziedziczoném było po przodkach... Wyszły więc na scenę kołpaki sobolowe co Batorego może pamiętały, delie zygmunto-wskie, i pasy prastare, i broń, i klejnoty jakby z muzeów zapożyczone. Niejeden pradziadowski wdział kontusz i żupan lamowy, którego właściciel od dawna rozsypał się w trumnie.

Tak samo powozy i rzędy na konie i barwa sług — staroświecką fozą ściągaly oczy — ale tuż obok tego przedpotopowego świata widniał już drugi, co się rozstał z tradycją i przeszłością, a wdział

na się szaty europejskie, cudzoziemskie, tak samo jak językiem obcym się posługiwał... Nie sami Brühlowie występowali w perukach i frakach, znaczna część młodzieży arystokratycznej miała na sobie ten mundur przyszłości, który dziwnie trochę wyglądał i w jednych urągowało i niechęć, w drugich niemal wywoływał zgrozę. Samo wesele dwoisty miało charakter, gdyż było w istocie małżeństwem dwóch sfer społeczeństwa i przejednávaniem Rzeczypospolitej z obcemi żywioły. Ocierały się tu one o siebie wyższą jakąś siłą popchnięte i zmuszone chociaż powiedzieć nie było można, czy przymierze interesów było zarazem związkiem serdecznym. Kwaśno jeszcze jakoś przypatrywali się jedni drugim, chociaż nie okazując tego co po myśli chodziło i w sercu się działo. Czasem można było dostrzedz uśmiech z pod wąsa i szyderstwo zmarszczek, które otaczała pięknie trefiona peruka. Przebaczano sobie nawzajem szpady i karabele w pochwach zardzewiałe...

Starosta warszawski i minister wystąpili także z przepychem, w którym smak i elegancja nade wszystko górę brały... Brühl wiódł z sobą przeszło sto koni, a dwór jego wytwornością mógł rywalizować z panami w tym samym stroju cisnącemi się na pokoje. Pomiędzy dworzaninem ministra, a przebraną po niemiecku arystokracją, nie było prawie różnicy...

Stary Brühl, który wdzięczną twarz do późnego wieku dochował — rozpromieniony kłaniał się, ścisnął, prawil grzeczności, które będąc nałogiem nic go już nie kosztowały. Ojciec i syn występowali we wstęgach orderów, z gwiazdami u boku... jako wzory mody i smaku, którym nie sprostać nie mogło... Aloizy zmuszał się do wesołości, chociaż na czole jego dostrzegłby może znający go lepij, świeżo zatarte fałdy, w których się smutek i znużenie chowało...

Niekiedy rzucał oczyma ku narzeczonej, do której zaledwie słów kilka mógł przemówić. Kobiety szeptały pomiędzy sobą, że piękna wojewodzianka była uróżowana... Tak w istocie téż było, gdyż na błądzość przerażającą inaczej poradzić nie umiano.

Dwór jój składał się teraz z całego wieńca panien, pokrewnych domu, które za druchny służyły. Wśród tych młodych i wesołych po większej części twarzy, ofiara wyróżniała się przestraszonym obliczem i stale prawie spuszczonej oczyma...

W tém gronie piękności... choć nie w pierwszym rzędzie, wszystkich oczy zwracała jedna twarzyczka nie tyle blaskiem ile wdziękiem... Było w niej coś mówiącego o duszy... coś rzewnego zarazem i spokojnego, smutnego i jasnego. Pociągała ku sobie urókiem świadczącym zawsze albo o sercu lub o geniuszu... o uczuciu lub rozumie... Każdemu się zdawało, że ją rozumiał i że ona go rozumieć musiała... Każdy niemal spotkawszy jój wjrzenie,

musiał zaciekawiony spytać: — kto to taki? Młodzi i starzy zaintrygowani byli tą śliczną twarzą, która milcząc mówiła tyle...

Piękniejsze pewno od niej otaczały ją dziewice, rozkwitłe, błyszczące barwą zdrowia, z płomienistemi oczyma, z rysami regularnemi jak starożytne medale... ale żadna nie miała jój wdzięku. Miała ten wyraz — którego opisać niepodobna, to coś, co z niebios darem przychodzi, co dawniej czarodziejki swym wybranym przynosiły do kolebki.

Niewysłowiony urok ją otaczał jak aureola... Kryła się jakby zawstydzona, inne ją zazdrośnie zasłaniały sobą — przecież ją najwięcej widać było...

Kto to taki? szeptano w tłumie. I nie potrzeba było dopytywać, do której stósowało się pytanie; każdy zgadywał, że do téj z niebieskimi oczyma, ze złotym ciężkim warkoczem młodziuchnej dziewczki, która zdawała się z innych jakichś światów gościem...

Pani wojewodzina możeby była wolała, ażeby ta kuzynka nie przyjechała w druchny na wesele, bo jój gasiła narzeczoną, — i widziano ze zgrozą, jak młody Brühl, ledwie odstępwszy od swój przyszłej, gdy ujrzał w jój orszaku to zjawisko, stanął osłupiały i wlepił w nią oczy.

Po latach tylu — o cudo! poznał w niej od razu tę dziewczkę, co mu się uśmiechała na warszawskim zamku, którą naówczas w rączkę był po-

całował, której wspomnienie go nie opuszczało... tę, ku której tak tęsknił... Wiedział wprawdzie że ją tu spotka, mówił sobie nawet, że wypieszczony w wyobraźni ów obraz jęj, rzeczywistość zaćmi, że się rozczaaruje... Niestety! — dziećę wyrosło na anioła... rzeczywistość przeszła marzenie... Cześnikowa Potocka gasiła co ją otaczało...

Brühl zapomniiał o narzeczonęj, o weselu, o oczach, które na niego były zwrócone, i byłby stał tak nieruchomy nie wiem jak długo, bo spotkał wejrzenie i pół uśmieszek na jęj ustach, gdyby pan generałowicz Sołłohub nie ujął go w tęj chwili pod rękę.

— Widzisz ją! zawołał w uniesieniu, którego pohamować nie umiał. — Brühl! drogi przyjacielu — teraz zrozumiesz mnie może... i będziesz miał litość nademną...

Alojzy ledwie słyszał co mówiono do niego; myślał właśnie jakby się mógł zbliżyć do nięj. To go tak zajmowało, że się nie wahał użyć fortelu...

— Zareprezentujże mnie cześnikównie, rzekł, a raczćj przypomnij, bo mi się zda, żeśmy podobno znajomi z sobą...

Sołłohub w przekonaniu, że narzeczoną w wigilię ślubu wcale nie jest niebezpiecznym rywalem, rad z żądania, pochwycił go pod rękę i przecisnął się z nim do panny cześnikówny.

Zaledwie go przedstawiwszy, chciał mu dać zupełną swobodę i wysunął się. Cześnikówna piękne oczy zwróciła z dziecinną śmiałością na Brühla.

— Pani sobie zapewne nie możesz mnie przypomnieć, rzekł starosta kłaniając się — a ja — nie jest to komplementem, ale największą prawdą — ja od pierwszego spotkania z nią, do dnia dzisiejszego jój obraz miałem w pamięci, i — na pierwsze wejrzenie ją poznałem! Czy przypomnisz sobie pani tego chłopaka, co ją w dniu... wstąpienia na starostwo w śliczną rączkę pocałował??

Cześnikówna słuchała wciąż się uśmiechając zarumieniała się, pobladła, zmieszała trochę, odzyskała zaraz dziecięcą swobodę i spokój, i odpowiedziała głosem srebrzystym:

— Hrabia się pewnie mniej zmieniłeś odemnie... ja także poznałam go... zaraz...

— Czyni mnie to bardzo szczęśliwym... zawołał Brühl... nad wyraz szczęśliwym... Nie wiem czy wrażenia tych lat tak są trwałe czy jakiś dziwny urok rzuciłaś pani na mnie.

Śmiechem przerwała mu cześnikówna, i niewinnie, jak wówczas kiedy miała główkę całą w pukle ustrojona — popatrzała mu w oczy.

— Pan jesteś pochlebca... rzekła.

— Pozwolisz pani, ażebym ją kuzynką nazywał, od jutra będę miał do tego prawo — począł Brühl nie zważając, że się nań zwracają oczy — i bądźmy dobrymi przyjaciółmi — proszę o to...

Mój przyjaciel Sołłohub dał mi polecenia do pani, lecz spodziewam się innym razem się z nich wywiązać...

Usłyszawszy nazwisko generałowicza, panna cześnikówna nie a nie nie zmieszana, rozśmiała się, spojrzała w tę stronę gdzie stał, potem na chusteczkę, którą w rękę trzymała spuściła oczy, podniosła je... i zdawała się mówić, że odgaduje polecenia, ale one ją niewiele obchodzą. Miała coś w sobie dziecięcego, naiwnego, śmiałego razem i skromnego...

— Generałowicz szczyci się jego przyjaźnią... odezwała się po cichu...

— Wolnoż mi spytać, czy umiał sobie także życzliwość pięknej kuzynki pozyskać?

Cześnikówna niby się trochę namyslała — i cicho szepnęła:

— Pan hrabia wiesz, że nam bez pozwolenia starszych — nie wolno życzliwością rozporządzać...

Trochę żartobliwości smutnej było w tych słowach, które o uczuciu nie świadczyły...

Starosta tak się zajął druchną, iż o narzeczonej zapomniał. Mniszech którego minister wykomendował, szepnął mu coś w téj chwili na ucho, i wzięwszy go pod rękę powoli z zaczarowanego koła wyprowadził. Oczyma pożegnał Brühl piękną cześnikównę — zmuszony będąc odejść.

— Mój drogi — szepnął mu szwagier — wszyscy uważają że jesteś do zbytku grzeczny w wigilię wesela dla pięknej kuzynki. Wojewodziny oczy zaczęły świecić złowrogo, musiałem cię odciągnąć Na Boga... odłóż to na potem...

Zaledwie marszałek go porzucił, nadbiegł Soł-
łohub...

— A co zapytał.

— Nie! zaledwim począł rozmowę, kazano mi
iść precz... odparł Brühl.

— Nie jestże to bóstwo! krzyknął generałowicz.

Starosta nie umiał odpowiedzieć, czuł może aż
nadto urok, co je otaczał...

Nikt nie uważał, że za odchodzącym Brühlem
dwoje ślicznych oczu poszło goniąc tęsknie, nie
wstydząc się wcale téj pogoni... i nie czując, aby
ona za złe mogła być wzięta.

Cześnikówna, która już od dni kilku bawiła
w Krystynopolu, i miała czas bliżej się zapoznać
z wojewodzianką, zbliżyła się później ku niej...
Piękna narzeczona jak nieprzytomna stała wśród
tego tłumu...

— Mówiłam tylko co z twoim przyszłym ko-
chana Maryo — odezwała się cześnikówna — wiesz...
to bardzo miły człowiek... a myśmy z nim bardzo
dawno, dawno znajomi...

I po cichu, żywo, śmiejąc się zaczęła opowia-
dać swoje spotkanie na warszawskim zamku. Pa-
miętała i o tém, bo jój to powtarzano, że naówczas
ktoś sobie żart zrobił i swatał ją panu starościu,
ale się do tego nie przyznała. Pomyślała tylko, iż
dziwnie, dziwnie imię i nazwisko zgadł ten prorok
szyderca... Wojewodzianka słuchała zimno, oboję-
tnie, oczyma oślepleni wodząc po sali...

Odstąpiły trochę na bok...

— Ty taka jesteś smutna i zmęczona, szczeniotało dziewczę... Prawda! że ten ślub to straszna zawsze rzecz... ale twój Brühl ma tak dobrą, łagodną, miłą twarz, że — jabym się go nie obawiała, i ty nie powinnaś!

Smutny uśmiezek przebiegł po ustach wojewodzianki, która sobie przypomniła rozmowę u stołu...

— Nie dziw się mi — rzekła... Dla ciebie to człowiek obcy, z którym zaledwie kilka słów przemówisz w życiu — a dla mnie to pan i władca... którego mam być niewolnicą.

— Ale nigdy niewolnicą! oburzyła się cześnikówna... Co za myśl moja droga! poddawać się nie trzeba... a potem... jeśli się kochać będziecie... czyż zacieży niewola?

Wojewodzianka obejrzała się jakby lękając, aby ich nie podsłuchano... gorzki uśmiech bladej jej usta ściągnął...

— A jeśli się kochać nie potrafimy? szepnęła.

— A! toby było bardzo smutno! opierając główkę na ramieniu narzeczonój, odezwała się cześnikówna. Jak ci się zdaje?

Popatrzały na siebie...

— Bóg jeden wie!

— A serce twoje?

Marya spuściła oczy...

Muzyka, która się w tej chwili odezwała na galeryi, zwiastowała pochód do wieczery... pary

już się wiązały, Brühl nadbiegł podać rękę narzeczonój. Cześnikówna ciekawie oczy w niego wlepiała, gdy jój towarzyszkę posłuszną i zrezygnowaną odprowadzał...

Jój zamiast Sołłohuba, któremu kazano prowadzić jakąś kasztelanową, z powodu, iż ona jak jego matka z domu była Radziwiłłówną — dostał się mały kuzynek Potocki, i znikli w wirze idących do stołów...

Nie będziemy opisywali obrzędów ani dziewiczego wieczoru, ani nawet pańskiego wesela, które odpowiedziało zapowiedzianej wystawie i było — królewskie... Kawał drogi, którą szli państwo młodzi z orszakiem do kościoła, kazał pan wojewoda wysłać suknem pousowem szeroko... Dzień był mroźny i słoneczny, wąsy marżyły szlachcie i dłonie do szabel przylegały, ale nikt dotkliwego nie czułzimna, tak wszystkim w duszy ciepło było...

Brzmiała muzyka, szmigownice i moździerz zwiastowały światu *gaudium magnum*, rzucano ubóstwu srebrne pieniądze, wiuszowały gromady, niosły podarki kahały, a wojewoda w poczuciu swėj potęgi, marzył o daleko większej jeszcze, która dlań była dostępną...

Ktoby był zajrzał w duszę jego — znalazłby na dnie jój koronę, tak samo jak w marzeniach familii stała ona za cel wszystkich zabiegów...

Z tryumfalnym marszem po błogosławieństwie JMci księdza Wołłowicza, któremu na pamiątkę

ofiarowano krzyż kosztowny i pierścień — wrócili do pałacu, którego ganek, sień i przedpokoje, mimo zimy, zasłano kwiatami, aby młodemu małżeństwu drogę przyszełego życia ukwiecić.

Tłumy zaproszonych zapełniły sale i pokoje... Wielu z nich, ledwie raz w życiu widziało gospodarstwo i wcale ich poznać nie mogli, witali na los szczęścia, szlachta schylała się do kolan pana wojewody, i odchodziła uszczęśliwiona, gdy magnat rzucił dobre słowo.

Mówiono o księciu kanclerzu i bracie jego, że niemal całej Rzeczypospolitej familie i ich kolligacye znali na pamięć, że pamiętali twarze tak, iż nigdy mnogich panów braci przyjmując nie wzięli Dowejki za Domejkę, a o jednym z nich, że niby serdecznie przyciskając do piersi braci w *liberum veto*, psuł im nosy i policzki umyślnie je trąc o ostre guziki fraka. Pan wojewoda wcale zwyczajn tego nie miał i popularności w ten sposób nie szukał... Dumniejszy daleko skarbił sobie przyjaciół protekcyą, ale ich trzymał w przyzwoitej odległości, i gdy mu się do kolan schylali, ledwie głową kiwnąć raczył...

Wśród téj ciżby pan podkomorzy Laskowski znalazł się *insperate* ze skarbnikiem Zagłobą razem...

— Pan Jezus przy dziecięciu! zawołał podkomorzy — a asińdziej co tu robisz?

— Hm! szepnął skarbnik — zaszczycono mnie inwitacyą — trudnoż było odmówić? Odbyłem pię-

kną podróż dobrą sanna, i ot — mam przyjemność podkomorzego uściskać — to mi stanie za wiele...

Ręce sobie podali.

— Ja też — odezwał się Laskowski — zaproszony zostałem, a że z mojego powiatu nikt jechać nie mógł, jako podkomorzy przybyłem reprezentować go... Co asińdziej na to mówisz?

— Co mam rzec?... Wystąpił pan wojewoda, że go już nikt nie zakasuje... ale... (tu chrząknął i do ucha się pochylił Laskowskiemu) panna młoda jakby z krzyża zdjęta, a pan młody jakby nie do ołtarza na gody i do Sakramentu, ale w kręgle szedł grać... tak sobie lekko poczyną... Szkoda mi biednej wojewodzianki, którą nam ten Niemczyk konfiskuje. A no!!...

I usta sobie zatkał palcami...

— Mnie się widzi — dodał po chwili, że to nie wesele, ale obóz sposobiący się do wojny...

Laskowski się uśmiechał.

— Żeby nie było co podobnego jak pod Olkiennikami... rzekł: w takim razie my, co tu marcepany pana młodego jeść będziemy, musimy stanąć po jego stronie! he?

— Jam stary—rzekł skarbnik, nie moja rzecz...

— Ja też — dorzucił Laskowski; ale młodzi będą mieli co robić...

Jednak — rozśmiał się obejrzawszy — pamiętasz acińdziej, gdyśmy razem stali czasu wjazdu na starostwo? Dobry z waćpana prorok — swatałeś

mn Maryę Potocką... przypominasz sobie, a los dopisał i dał mu... choć inną, ale tego samego imienia i nazwiska...

To mówiac wskazał skarbnikowi, gdzie między druchnami jaśniejąca pięknnością dziewczęcią stała w bieli, w kwiatach i brylantach, śliczna cześnikówna...

— A oto ta... o której mowa!...

Popatrzała.

— Ponoby ją Brühl wolał od wojewodzianki — rzekł skarbnik, ale taby mu miliona nie wniosła...

— Mospanie mrugając rzekł Laskowski — jój czy więcej niż dwa miliony warte!!

Rozmaite postrzeżenia czyniono tak do koła... a wszyscy niemal z zajęciem spoglądali na bladą narzeczoną, która mimo zabarwionego rumieńca z rozkazu matki, wyglądała smutnie...

Gniewało to panią wojewodzinę — lecz już nie czas było córkę strofować, gdy dom miała rodzinie opuścić. Stary Brühl, dostrzegłszy w synowej tych oznak trwogi i cierpienia, poszedł sam zabawiać ją rozmową — lecz mimo całej swój zęczności i galanteryi nie mógł na niej wymóżyć nad kilka słów, w których nie wiele było związku. Wojewodzina postrzegłszy tę jego wyprawę i odgadłszy jej cel, czatowała nań w powrocie, aby wrażenie, jakiego mógł doznać, naprawić...

Stało się wedle jej woli — minister po krótkiej rozmowie cofnął się i znalazł na drodze wojewodzinę..

Starosta Warszawski. T. I.

— Marynia nie bardzo jest dziś zdrowa, szepnęła mu na ucho: trudno biednemu dziecku, co się nigdy w życiu od naszego boku nie oddalało — pogodzić się z myślą rozstania... Nie śmiała jest bardzo... Wszystko to, da Bóg, przejdzie..

— Ani wątpię, odparł Brühl, całując w rękę panią wojewodzinę — będziemy się starali oba z synem, aby kochanej synowej życie jak najprzyjemniejszym uczynić... Spodziewam się, że dwór, zabawy, świat...

— A! panie ministrze — rzekła pani Anna — najprzód do nich jeszcze musi nawyknąć... ale że do dobrego łatwo się przyzwyczajają... Marynia porzuci tę nieśmiałość dziecięcą... bo to jeszcze dziś dziecko...

— Mój syn, dodał minister — nie pochlebiając mu — ma charakter tak zgodny i miły, iż nie wątpię, że sobie wkrótce serce małżonki pozyskać potrafi.

— To już ma — już ma! z przyciskiem odezwała się wojewodzina. Marynia zna swe obowiązki, wychowana bogobojnie...

Rozmowę ktoś przerwał — i na tém się ona skończyła. Wojewodzianka do tego dnia przygotowana była, z myślą małżeństwa miała się czas oswoić, a bladość i pomieszanie spowodowane były wypadkiem, którego nikt się nawet domyślać nie mógł...

Gdy pochód uroczysty z pałacu do kościoła się rozpoczął, że niezmierny tłum ludzi z kluczków sąsiednich i z dalszych dóbr Potockich, z Tartakowa, Waręża, Łaszczowa, Witkowa, zalegał dziedzińce i miasteczko — musiano strzec nacisku ciekawych, wzdłuż suknem wysłanej drogi ustawić piechotę wojewodzińską, służbę, dworzan, a nawet i dwory niektórych panów przybyłych gromadnie na wesele... Murem więc po nad drogą stała ta straż... gdy państwo młodzi przy odgłosach marszu powoli postępowali do kościoła...

Na pół drogi od pałacu, wojewodzianka idąc ze spuszczonei oczyma... postrzegła u nóg jęj padający bukiet róż białą wstążką związany, mimowolnie wejrzenie jęj podniosło się... i ze łzami ujrzała tuż stojącego Godziembę w stroju paradnym, z głową gołą i czapką w górę podniesioną... Błady był jak trup... Panna Marya zadrżała... drnżki sądziły, że o sukno zawadziła stopą, podtrzymano ją i szli... dalej... Nikt nie dostrzegł zbiega, który się tak zuchwale, korzystając z zamieszania, zjawił w Krystynopolu, jakby urągając władzy pana wojewody... Dopiero gdy po ślubie znowu wracali państwo młodzi, a starosta zawidecki wśród nacisku przed niemi porządek robił — idąc natrafił nagle na Godziembę... Nie miał czasu ani słowa rzec, ani coś przedsięwziąć — języka, jak mowią w ustach, zapomniał, zmieszał się... W głowie mn się pomieścić nie mogło zuchwalstwo czło-

wieka, który śmiał prezentować się po takiej ucieczce... na dworze pana... Właściwie ciążył na nim dekret skazujący go na kobierzec i więzienie! Obowiązkiem było starosty natychmiast go pochwycić i zamknąć.

Zadrżał na myśl, iż stojącego nade drogą mógł zobaczyć wojewoda, który w gniewie nagłym hamować się nie umiał, choćby nań tysiące oczu patrzyło... Poczciwy marszałek rad był szalonego młokosa ocalić — byłby utaił, że go widział, ale tu, gdzie go znali wszyscy, poznali zaraz dawni towarzysze, i szmer się wszczął po przejściu orszaku między nimi.

Powtarzano imię Godziemby... szukano go oczyma, podawano sobie z ust do ust osobiwą nowinę...

— Głowa mu na karku świerzbi! wołał Złotnicki — dosyć, aby kto słowo pisnął wojewodzie — żadna moc go nie ocali... zgubiony człowiek.

— Szalona pałka! mówił Dzbański, szukając oczyma na okół — niechby go kto poczciwy ostrzegł, aby uchodził póki cały... korzystając z tego, że tu dziś wszystko wre...

— Na miłość bożą, niech mu kto powie!

— Waryat! mruczeli inni...

Właśnie w ganku między dworzanami i służbą była mowa o tém, gdy wolno od kościoła idący zjawił się Godziemba — jak gdyby był w domu i najbezpieczniejszy w świecie. Czapka na bakier,

ręka za pasem, ubrany wytwornie... nie zdawał się ani wiedzieć o tém, że mu ziemia pod stopami gorzała... Starosta Zawidecki, który biegł właśnie rozdawać rozkazy artylleryi, kiedy na jaki sygnał z moździerzy palić mają, oko w oko zetknął się z Godziembą, i w pierwszym impecie rękę podniósł jakby go za kołnierz chciał chwycić.

— Życie ci niemiłe! krzyknął — co waćpan tu robisz!!

Godziemba cofnął się krok i rękę do szabli przyłożył.

— Co waćpanu, panie starosto? albow to ja poddany wojewody, co mu zbiegł z gruntu? Szlachcie jestem, nie przymierzając, jak i on — podziękowałem za służbę, wziąłem inną i z dworem moim tu przybyłem!

— Z jakim u licha dworem? Myślisz, że wojewoda ceremonie z waścią albo z jego protektorem czynić będzie? Co ci się śni!...

A cicho dodał nagłąc:

— Zmykaj, człowiecze! mówię ci... zmykaj, pókiś cały...

Godziemba ramionami ruszył.

— Ani myślę, rzekł...

Wszyscy się skupili okrążając go do koła.

— Z kimże u dyaska przybyłeś? zapytał się starosta.

— Z panem starostą warszawskim, do którego dworu mam zaszczyt się liczyć...

— Licho cię tu przyniosło! mruknął marszałek: wolałbyś był w Młocinach zostać. Widzieli cię wszyscy, jak nie zamelduję o was wojewodzie, na mnie potem gniew wyrze; pijże sobie piwo, jakiegoś nagotował...

— A pewnie! pewnie! odezwał się obojętnie Godziemba, obie ręce kładąc za pas.

I z najzimniejszą krwią został z innymi w ganku.

Ponieważ do wojewody dnia tego dostąpić nie było podobna — starosta Zawidecki też nie chciał spieszyć z raportem, któryby gody pomieszał — nikt zaś Godziemby tknąć się nie ważył, śmiały chłopak pozostał swobodnym. Zdawało się wszakże, jakby biedy szukał i jój się napraszał... Z dworzany rozmawiając, z ganku wszedł do przestronnej ogrzanej sieni, w której się ciągle służba i panowie przewijali... Wojewoda niejedną raz wśród dnia, sam wydając rozkazy, musiał wychodzić.

Już czas obiadowy się zbliżał. — gdy w chwili kiedy go się najmniej spodziewano, wyszedł wojewoda, szukając Mniszcha, który był na chwilę z sali się wymknął, a tam go Brühl zapotrzebował. Przebiegając oczyma zgromadzonych, wojewoda zobaczył i poznał Godziembę... Zdało mu się zrazu, że się omylił — jakkolwiek czasu miał mało, szybko ku niemu przystąpił, a widząc, że go oczy nie zwiodły, zmarszczył brwi.

— Co ty tu robisz? krzyknął gniewnie: ty łotrze niewdzięczny... ty!...

— Przybyłem z dworem pana starosty warszawskiego, do którego należę — odparł śmiało Godziemba. — Łotrem nie jestem... Nie uciekałem, ale za służbę podziękowawszy odszedł... Szlachcie jestem nie poddany...

Wojewodzie usta zadrżały, dziki uśmiech je ściągnął, oczy błysły — ręką miał dać znak jakiś — i wstrzymał się — popatrzał na Godziembę długo.

— Masz szczęście, trtniu, że dziś taki dzień — precz mi z oczu — precz mi z oczu...

Dłoń wojewody drżała — Godziemba z wolna skłonił mu się i wcale nie spiesząc odszedł ku drzwiom, a oczy Potockiego ścigały go do progu. Przez tę krócinchną chwilę wojewodzie w ustach i gardle zaschło... otarł czoło ręką — i pierwszego jakiego spostrzegł dworzanina wysłał po starostę Zawideckiego.

Historya rozgłosiła się zaraz i rozniosła od ust do ust, spodziewano się okropnej zemsty jakiejś — ale dzień upłynął, a Godziembie włos nie spadł z głowy...

Bebuś, który na tę uroczystość przepyszenie został wystrojony i razem z Bebą na usługach wojewodziny był ciągle — korzystał z dawanych mu rozkazów, aby czynić wycieczki ku rozmaitym częściom pałacu, w zwyczajnych dniach mu niedostępnym. Parę razy wdarł się do panien do garderoby, pozwalając sobie żartów nieprzyzwoitych — kilkakroć zawitał do piwniczego i butelek, pełną

kieszeń nałapał cukrów ze stołu — w ostatku na ganek się wyrwał i tu posłyszał, gdy o Godziem-bie sobie rozpowiadano. Schwytawszy tak dosko-nałą plotkę, powrócił z nią co najprędzej za krze-sło wojewodziny, czatując na chwilę, gdy jēj bę-dzie mógł to podać do ucha... Dopatrzył wreszcie wolnego momentu i szepnął, że Godziemba był we dworze i postawił się ostro panu wojewodzie...

Wojewodzina była jeszcze surowszą od męża, z siebie więc sądząc, nie wątpiła, iż katastrofa na-stąpi, której tego dnia rada była uniknąć. Gdy po-tém po raz pierwszy zbliżył się do niēj mąż, od-wiodła go na bok...

— Zjawił się słyszę Godziemba — szepnęła mu na ucho... czyście go już kazali zamknąć?

— Nie — odparł wojewoda — zmitygowałem się... Chwalił mi się, że do dworu Brühlów na-leży — to mi wszystko jedno... Dziś frej — nie przystoi mi tego dnia truć — jutro go wezmą i w kajdankach do Niemirowa zawiozą...

Wojewodzina nie odpowiedziała nic... Bebuś, który był za krzeselkiem ukryty, słyszał wszystko i uradował się niezmiernie.

W tēj chwili kapela huknęła, i wojewoda po-spieszył, gdzie go obowiązki powoływały...

X.

Już było dobrze z północy, gdy państwa młodych, wedle obyczaju polskiego, uroczyście do ich apartamentów odprowadzono... Tu, w salce do niego przypierającej, Brühlowie przygotowali cukrowe gody dla łaskawych gości... Wojewoda występował po królewsku, minister też nie chciał się dać zaćmić, choć ta wieczerza nie dozwalała mu tak się okazać z bogactwem swém i przepychem, jakby był życzył sobie.

Od kilku dni służba pana ministra miała salę pod swym kluczem... przybyłe wozy wyladowywano, a przystrojenie odbywało się tak tajemnie, iż najciekawszi, do których Bebuś się liczył, przez dziurki od klucza tylko dopatrzeć mogli, iż się tam pilnie krzątano. Słyszał było stukanie, stąpanie, brzęk... Wnoszono pudła, kufry i kosze, ale przed przyję-

ciem państwa młodych, z miejscowych nie dopuszczono nikogo. Zbывano się natrętów bardzo grzecznie, ale bardzo stanowczo... składając się rozkazami Jego Ekscellencyi...

Gdy nareszcie na dany znak otwarły się drzwi salki, ujrzano coś jakby z tysiąca nocy wydarty obrazek... Całe ściany salki wybite były świeżych farb gobelinami, przedstawiającemi w wieńcach kwiatów girlandy aniołów i obrazy mitologiczne... Jedną ścianę całą zajmował kredens, od stropu do posadzki lśniący nagromadzonemi naczyniami złocistemi, półmiskami i misami ogromnemi jak tarcze, dzbanami, roztruchanami, beczkami... Konew złocista, w której butle stały... podparta na dwóch smokach, zdawała się z niemi razem na straży tego skarbcza ustawioną... Z obu jej stron dwa stoły całe kute ze srebra, przedziwnej roboty kielichami różnych rozmiarów i barw zastawione były... Nie tyle tu kruszec oczy ściagał, co misterna robota, która daleko cenę jego przewyższała.

Całą posadzkę miękkimi wysłano dywanami... Po rogach w wielkich kandelabrach bronzowych płonęły świece piramidami piętrzące się do góry... Porcelanowy pajak nad stołem lśnił także i światłem jarzącem i kolorami świeżemi swych kwiatów... Z pośrodku ich wychylone amorki... zdawały się róże i lilie ciskać na głowy gości...

Stół wielki który się ciągnął przez całą salę, pięknnością zastawy, wszystkie te przewyższał cuda.

Środkiem jego w wazonach olbrzymich, ustawiono żywe kwiaty, trudne do rozróżnienia od porcelanowych ich rywalów... Z obu ich stron na zwierciadłach rzędami nimfy i amory pobrawszy się za ręce przeglądały z za kryształowych kielichów... Całe nakrycie stołu, talerzyki, noże, łyżki, widelce były złote...

Na misach, w koszach z porcelany i srebra... stosy cukrów i owoców włoskich, smażonych i świeżych nęciły oczy, — a gdy ucichła kapela, która państwa młodych przeprowadzała — wśród chwilowego uciszenia — niewidzialna... jakby z niebios muzyka, cicha, łagodna, melodyjna, dała się słyszeć zdumionym gościom, którzy ani instrumentów, ani grających na nich, ani miejsca z kąd płynęły te dźwięki — odgadnąć nie umieli...

Czarodziejski ten chór stłumiony, niby daleki... oczarował gości... zamilkli wszyscy słuchając...

Hymn jakiś uroczysty brzmiał jakby z za jedwabnych wychodząc opon, które ściany okrywały... Niekiedy cichnął niby się oddalając i ginąc, to znowu zbliżał, podnosił, wzmacniał... aż nareszcie... skonął w niedosłyszaniem westchnieniu...

Natenczas Brühlowie naprzód państwo województwo oboje, potem dostojniejszych gości do stołu zapraszać zaczęli. Kielichy już były nalane... pili więc, kto się tu petrafił docisnąć, bo ledwie cząstka gości mogła miejsce znaleźć — zdrowie mło-

dych państwa... Tymczasem biskup Wołłowicz szedł poświęcić pokoje i łoże...

Szturm przypuszczono do stołów, w mgnieniu oka je opróżnił, i natychmiast napełniły się jakby czarodziejsko nowymi misami, nowymi cukry i słodyczami... Jedni wychodzili, wchodzili z kolei drudzy, tymczasem u drzwi klęcząc państwo młodzi powtórnie wzięli błogosławieństwo rodziców i drzwi się za nimi zamknęły...

Wojewodzianka osłabła niemal ze znużenia, wprost poszła do kłęcznika, który stał w jej pokuju... Na nim przy starożytnym obrazie N. Panny Częstochowskiej, paliły się świece, leżała wspaniale oprawna księga... Padła przed nim na kolona, głowę złożyła na rękach złamanych — i tak pozostała nieruchomą. Brühl cofnął się do drugiego pokoju i spokojnie usiadł na krześle... Zegar na kominie wskazywał pierwszą po północy godzinę... z dala słyszeć było niekiedy luczniejsze tony pałacowej kapeli... i okrzyki szlachty spełniającój zdrowia wojewody i dygnitarzy...

Cisza tych kilku komnat, mrok który w nich panował... odbijały smutno jakoś od wrzawy, która dochodziła z dala i miała w sobie coś dzikiego niemal...

Z krzesła, na którym usiadł Brühl, przez drzwi otwarte widać było tę kobietę w biele, w wieńcu z pochyloną głową, nieruchomą, jak mamurowy posąg na grobowcu. Pół godziny upłynęło w oczę-

kiwaniu — wojewodzianka nie drgnęła nawet... Starosta wstał i przeszedł się po sypialni. Na twarzy jego malowało się najdobitniej — znudzenie... Ziewał niekiedy zasłaniając się ręką, zdawał się czekać niecierpliwie jak się skończy — i żadne inne uczucie nie rozpromieniło mu twarzy.

Spojrzenie na zegar, którego skazówki żółtym krokiem zbliżały się ku drugiej godzinie, zdało go się nareszcie natchnąć jakimś postanowieniem i odwagą...

Z wolna przestąpił próg pokoju żony, zbliżył się do klęcznika; i popatrzywszy na nią chwilę, odezwał się głosem stłumionym:

— Proszę mi przebaczyć, że przerwę modlitwę..

Wojewodzianka z wolna podniosła twarz bladą, po której ciekły dwa łez strumienie... Brühl który już chciał mówić wstrzymał się — litość odmalowała się na twarzy i zafrasowanie razem...

— Godzina bardzo spóźniona — rzekł — pani — by należało odpocząć — ja — pójdę do mojego pokoju, wskazał na drzwi garderoby... Mógłbym zadzwonić na służącą...

Widząc że Marya drżała ciągle — dodał głosem pełnym łagodności:

— Niech się pani uspokoi... proszę mi wierzyć, nie jestem ani złym, ani grubiańskim, ani natrętnym... Pani jesteś zupełnie swobodną, a moje prawa ograniczają się do służenia jój i — jeśli podobna osłodzenia losu... z którym niestety! prze-

jednać się potrzeba... Pani jesteś okrutnie zmęczona? Nie prawdaż? Potrzebujesz spoczynku?

Marya nie odpowiadała nic...

Brühl widząc, że się chwiała, chwytając za klęcznik, podał jej rękę i podprowadził do krzesła, na które jak złamana — upadła...

Jakiś czas patrzył na nią; westchnął.

— Chciałem pomówić — uspokoić — ale dziś nawet najłagodniejsze wyrazy byłyby barbarzyństwem... Zadzwoń na służącą — i dam pani dobranoc...

To mówiąc oczyma szukał dzwonnika, którego nie było... poszedł do drzwi, przez które wyrzwał Przedpokój był pusty... W drugim dopiero dwie garderobiane wsparte na stole szeptały z sobą — dał im znak i sam zniknął. Przechodząc około żony, wziął ją za zwieszoną rękę, pocałował i szybko usunął się do swojego pokoju...

Tu także nie zastał nikogo.

W drugim spało dwóch lokajów... Popatrzał na nich nie budząc — świece ustawił bezpiecznie i wrócił do gabinetu, w którym szeroka sofa za wygodne stała łoże...

Przez dni kilka trwały uroczystości weselne, ale trzeciego już część gości rozjeżdżać się zaczęła... Państwo młodzi przyspasabiali się do drogi. Z wielką pociechą wojewodziny, niepokój i trwoga młodej starościny, tak widoczne dni pierwszych, zwołna jakoś ustępowały. Nie była wesołą, ale zdawała

się przytomniejszą -- spokojną... Brühl pozostał jak był chłodnym, uprzejmym dla wszystkich, w potrzebie wesołym, ale gdy konieczność ta ustała — poważnym chętnie i nieco zamyślonym...

Trzeciego dnia, gdy już mniej nieco gości pozostało w Krystynopolu, a generałowicz Sołłohub ciągle jeszcze dosiadywał, nie chcąc z oczu stracić ubóztwianej cześnikówny — napadł znowu przyjaciela Brühla, aby za nim przemawiał...

Starosta dosyć kwaśno przyjął z razu żądanie...

— Mało znam cześnikównę, rzekł — moje słowo wcale u niej ważyć nie będzie. Co ci w głowie? Uproś swoją krewną Radziwiłłównę... kolli-gatów... starszych zresztą i poważniejszych odemnie ja ci się na nic nie przydam...

— Przepraszam cię — przerwał Sołłohub. W téj chwili kiedy ty jesteś cały swém szczęściem zajęty...

Tu Brühl nieznacznie ruszeniem ramion mu odpowiedział.

-- Jaby cię nie nudził tém ciągnął dalej generałowicz — ale mam powody, dla których to czynię. Wczoraj jakoś korzystając z zamętn, udało mi się przysunąć do panny i zawiązać rozmowę... Chwaliłem się jój twoją przyjaźnią... mówiliśmy o tobie... powiedziała, że takiego jak ty przyjaciela zazdrości. Dziewczę takie szczere i naiwne, nie mogło cię się nachwalić. Masz u niej łaski...

— A dajże mi pokój — przerwał niecierpliwie Brühl...

— Użyj ich na korzyść swoją!

I Solłohub począł go ściskać... a uareszcie ujawszy pod rękę zaprowadził do cześnikówny i przy niej go posadził. Dziewczę się zarumieniło z radości, nie kryjąc z nią, uśmiechnęło się wdzięcznie.

— Tego szczęścia się nie spodziewałam, ażeby pan starosta chciał się nudzić ze mną... Ale to poświęcanie dla przyjaciela...

Solłohub był odszedł — Brühl siedział jak na torturach... Przez te trzy dni patrząc na cześnikównę, rozkochał się w niej na zabój. Młodość owa dla ideału, która lat tyle rosła w duszy powoli, teraz za zbliżeniem się do niego, rozpłomieniła się... paliła go jak szata Nessusa. Obawiał się z nią zdradzić — a niewinne dziewczę, nie wiedząc o tém, czując tylko instynktowo w jego duszy życzliwość i sympatyę — narzucało mu się wejrzeniami i całym wdziękiem, którego nie znało potęgi.

— Wie pani, że to rzeczywiście poświęcenie — rzekł Brühl odważając się wreszcie spojrzeć jój w oczy i prędko odwracając wzrok — a! tak jest, to poświęcenie rzeczywiste przemawiać za kimś... tam, gdzie tylko za sobą mówić bierze pokusa.

Cześnikówna niby czy doprawdy nie zrozumiała, podniosła niebieskie źrenice i jak w tęczę spojrzała na niego...

— Pani mnie nawet zrozumieć nie możesz... pani nie znasz tego do siebie, iż jesteś niecz-

pieczną istotą... a Sołłohub nieroztropny [prawd-
wie, że mnie na ogień tych ślicznych jój oczu
naraża!

Rumieniec wystąpił na twarz panny cześnikówny.

— Że też panowie z tego wielkiego świata nie
możecie się zbliżyć do nas... żebyście nam nie
prawili tych komplementów!.. Westchnęła. Dopra-
wdy, mnie się zdawało, że pan starosta, musisz
być szerszym i prawdziwszym... O tych oczach
i o ich potędze słyszę ciągle... to tak nudne!..

Uśmiechnął się Brühl...

— Daruję mi pani — rzekł — ale zaklinam
się na wszystko co mi najdroższe... mówiłem prawdę;
czułem co mówiłem! powiedziałem to mimowoli —
choć mi nie wolno... i choć pani gniewać się możesz...

— Gniewać się? ale nie... tylko wolałabym
mówić i słyszeć co innego... Słyszałam, że pan
starosta tyle rzeczy umiesz... masz tyle dowcipu...
a dla mnie przynosisz ten chleb powszedni, który
dają ubogim...

Starosta słysząc te słowa — zamyślił się smu-
tnie...

— A! pani gdybyś wiedziała jak jesteś bogatą —
rzekł jakby mimowolnie się unosząc... Ale — milczę!
Cóż mam mówić za Sołłohubem?

— Mówmy o czém inném — spuściwszy oczy
odezwała się cześnikówna.

— Dałem mu słowo, że sprawę jego u pani
będę popierał; — niestety! rzekł Brühl z zapalem —

Starosta Warszawski. T. I.

nie potrafię dotrzymać obietnicy... Gdyby to nie było szaleństwem i zbrodnią, powiedziałbym pani:— ani Sołłohuba, ani nikogo w świecie!! Popatrząwszy na panią dwa dni—człowiek się staje wściekle zazdrosnym.

Znowu cześnikówna zdawała się nie rozumieć, spuściła oczy, ale się nie pogniewała—a po chwili szepnęła:

— Po drugich dwóch dniach i zazdrość i pamięć... odchodzi!

— Omyliłem się — poprawił Brühl — ja lat dziesięć nieustannie na nią patrzałem...

Oczy cześnikówny podniosły się.

— Tak jest, pani — od téj chwili jakieś pani podała mi rączkę do pocałowania na warszawskim zamku... miałem ją ciągle przed oczyma, aż do tych dni... Rosłaś pani w mych myślach... patrzałem jakieś rozkwitała... Cóż dziwnego, że taka stara.. tu wyrazu zabrakło — że taki stary... poprawił się... zmieszał — że jedném słowem — jestem zazdrosny...

Nastąpiło milczenie.

— Ale przyjaźń, panie starosto — odpowiedziała z wolna panna Potocka — wszak przyjaźń zazdrosną być ani powinna, ani może...

I oczyma zmierzwszy go, dziwnie potrząsała śliczną główką, a loczki co ją otaczały, kołysały się na ramionach, i każdy z nich zdawał uczucia swój pani podzielać i wyrażać. Mówiły wszystkie Brühlowi: Czyż się to godzi być takim balamutem?..

Widząc, że się na nich oczy zwracają, Brühl chciał wstać już...

— Muszę panią pożegnać — szepnął cicho, choć radbym, aby mnie do tego krzesła przykuto — ja ludziom zazdroszczę, ale widzę, że oni mnie też strasznemi mierzą oczyma... Sołłohub zabija wej-rzeniem... Sołtyk... zastrzeliłby mnie, gdyby mógł i umiał... nie wiem ilu posiekałoby mnie na kawałki... Odechodzę... ale — ponieważ dalem słowo przyjacielowi, wstawiam się za generałowiczem... bądź pani na niego łaskawa!

Brühl wstał był z krzesła.

— Usiądź pan na chwilę — odezwała się cześnikówna. Muszę się mu wypowiedzieć. Jestem sierotą... nie mam matki coby mnie spytała, kogo ja chcę... i kogo wybieram... Opiekunowie mną rozporządzą jak zechcą. Dziś — jutro — nie wiem, powiedzą mi: — Oto twój przyszły! Wybiorą mi jak najłepiej podług siebie... ale... będę przyjaść musiała co mi los narzuci... Cóż to pomoże Sołłohubowi, choćbym mu była życzliwą?..

Westchnęła cześnikówna...

— A serce pani? wolno spytać... rzekł Brühl z cicha — mówi ono za nim?

Potrząsała główką i mocno się zarumieniła.

— Ani za nim, ani przeciw niemu... Serce moje... ja nie wiem... nie pytałam go o to... milczy. A gdy oczy podniosła była w nich jakby łez zasłonka przejrzysta, w których się unyło spojrzenie.

Podawała rączkę staroście... i umilkła. Alojzy odszedł trochę pijany, trochę zmieszany — tak, że gdy niecierpliwy Sołłohub przystąpił do niego badając — starosta nic mu na razie odpowiedzieć nie umiał.

— Mnie się zdaje — do ucha mu nareszcie wrzucił, — że... ma dla ciebie — szacunek! wiesz co to znaczy — ale więcej nic... Zdaje mi się też, iż serduszko jój nie wolne... kto tam zbada kobietę!

Rezolutnie bardzo generałowicz ręką rzucił.

— Wiesz co? odezwał się — jam tak głupi, czy taki niepocziwy przez to kochanie, że byle moją była... ja więcej nie chcę.

— A serce?

— Zdobę... przekona się — pozna! zlituje! Powiesz, żem szalony, ale ja — ja bez niej żyć nie mogę...

Cóż było odpowiedzieć na to? Starosta z góry popatrzył na przyjaciela, uściśnął go i zmilczał...

Gdy się to działo, a dwaj starzy towarzysze rozmawiali z sobą, oczy panny Maryi ciągle ku nim były zwrócone, jak gdyby odgadnąć chciała, o co pytał Sołłohub i co mu starosta odpowiadał. Czy odgadła... ze spokojnej jój twarzyczki wyczytać było niepodobna...

Po kilku dniach pobytu w Krystynopolu, wyjazd państwa młodych do Warszawy i Młocin, gdzie zamieszkać mieli, został na piętnasty stycznia oznaczony. Tymczasem przodem szły przepręgi, furgony, dwór, wyprawa pani i fraucymer, jaki jój

matka przydawała... Dumont płakała ciągle, nie mogąc się oswoić z tą myślą, że najdroższą utraci... Zbliżyła je do siebie jeszcze więcej niż dawniej wspólna obu tajemnica... Wojewodzianka miała w niej pocieszycielkę i powiernicę... Ona jęj wytłómaczyła zniknięcie Godziemby i ona nazajutrz po ślubie szepnęła, że zuchwały chłopiec znalazł się najdziwniejszym sposobem na dworze jęj męża... nie uląkłszy się z nim przybyć do Krystynopola... Naówczas przyznała się dopiero Marya przed madamą, że ona go w dzień ślubu, idąc do kościoła, widziała... Trwoga była wielka obu... ażeby go nie pochwyciono... Dumont nie śmiała się dowiadywać, ażeby nie zwracać uwagi — nie wytrzymała wreszcie, i trzeciego dnia spotkawszy w korytarzu starostę Zawideckiego, zaczęła go ostrożnie o Godziembę.

— Prawda to, że się w czasie wesela wrócił i śmiał stawić przed wojewodą?

Starosta człęk dobrego serca, ruszył tylko ramionami.

— Niestety! rzekł — młodzieńcze zuchwalstwo nie zna granic.

— Cóż się z nim stało? spytała Dumont.

Zmieszał się starosta widocznie.

— Prawdziwie nie wiem, szepnął oglądając się — a raczój, powiedzieć nie mogę...

Uklonił się i odszedł.

Odpowiedź starosty miała złe znaczenie, a choć tajemnica we dworze była ściśle zachowywawana,

najprzebieglejszy ze szpiegów, który wszędzie się wcisnąć i podsłuchać, Bebuś wiedział, że z rozkazu wojewody pochwycono Godziembę, i — jak powiedziano — wsadzono go tak, że więcej światła dziennego ujrzeć nie miał...

Dowiedziała się o tém madam, ale nie chcąc przerażać Maryi — zmilczała o tém przed nią, zapewniając, że się mu ujść udało...

Państwo młodzi po uroczystém pożegnaniu, przy którym popłakali się wszyscy, prócz ojca, bo ten łzy, choćby je miał na powiekach, ukrywał, aby się słabym nie okazać — wyruszyli z wielką kalwakatą i dworem do Młocin i Warszawy...

Pani starościna zbyt była rozżalona opuszczając Krystynopol, siostry, brata, swoją jedyną przyjaciółkę Dumont — i całą przeszłość, której tu wspomnienia zostawały, aby boleć nad losem nieszczęśliwego Godziemby... Usłyszała tylko wypadkiem, że mąż jej dowiadywał się o dworzanina, którego polubił i który znikł mu w Krystynopolu. Nikt się nie zdawał domyślać, co się z nim stało; składano na jakąś płochość młodzieńczą, na jakiś wybryk niesforny, na przypadek niedocieczony ujście nagłe Godziemcy, spodziewając się jego powrotu...

Tymczasem biedny chłopak, który nie przypuszczał, ażeby swobodnego szlachcica z orszaku własnego zięcia wojewoda mógł kazać chwycić, a po pierwszym widzeniu się ze starym, miał się już za

ubezpieczonego — padł ofiarą swój nieopatrzności. Wojewoda nawykły był do ślepego posłuszeństwa od wszystkich, miał jednak ludzi, na których więcej niż na innych rachował. W staroście Zawideckim zawsze się domyślał zbyt miękkiego serca — i do spraw, w których więcej hartu było potrzeba, posługiwał się innymi.

Podkoniuszy Wilczek, a zwłaszcza niejaki Zarębski szczególnie się w takich razach odznaczał... Znał go wojewoda z tego, że go nie nie kosztowało choćby zamordować człowieka, byle rozkaz dostał. Gdy szło o plagi, o burdy — o wymiar ostrój sprawiedliwości, Zarębskiego wołano.

Człeczek był niewielki, od konia miał nogi wysokozławione, barczysty, szeroki, brzuchaty, opój sławny i koster... małowówny, ale do awantur śmiały mu się oczy. Temu wojewoda drugiego dnia przykazał, aby Godziembę wziął tak, aby hałas z tego nie było. Zarębski, który go dobrze znał, wyszukał zaraz, nie spuścił z oka, zaprosił do siebie na warcaby, a zwabiwszy do izby, mając w pogotowiu dwóch drabów, związać kazał, zakneblować i zanieść do lochu pod wieżą na bramie... Godziemba się bronił mężnie, żołnierzy pozakrwawiał, sam dostał dwie rany, lecz w końcu go obalono i wzięto... Loch ten, do którego wrzucano go, służył tylko dla więźniów najciężej obwiniętych... Był to karcer *in fundo*, bez okien, wilgotny, zamknięty na dwie kłódki żelazne... Chleb

i wodę przez okienko stróż więźniowi podawał, które we drzwiach na ten cel było zostawione... Można tam było zgnieć zapomnianym, jeśli wojewoda nie spytał o więźnia...

Z izby, w której Zarębski pochwycił Godziembę — do lochu było przejście przez korytarz i podziemie, w których się tylko żołnierze kręcili... Tu choćby kto spotkał prowadzonego — nie bardzo zwracał na to uwagę. Rzecz była w Krystynopolu nie nowa, a o tém co się działo z rozkazu pana, mówić nie śmiano... Gdy miotającego się Godziembę niosły prawie na rękach wojewodzińskie ciury, żywój duszy nie było na drodze. Starosta Zawidecki dowiedział się o uwięzieniu gdy było dokonane. Ratunku już nie widział żadnego...

Gdy ojca Godziemby zasiekano dla miłości pana wojewody, a dziecko przez litość do Krystynopola wzięto... nie miało ono nikogo na świecie, oprócz swój mamki, kobiety, o której wspomnieliśmy, a która straciwszy własne dzieci, do swego wychowanka namiętnie się po macierzyńsku przywiązała. Dla miłości jego przywlokła się Sawaniha do Krystynopola i w miasteczku poszła służyć, dlatego tylko, żeby — jak mówiła — dziecko swoje czasem oglądać. Kobieta już była nie młoda, lecz silnej budowy, do pracy nawykła, istna wiedźma ukraińska, gdy postarzała. Twarz miała wyschłą i spaloną, włosy siwiejące rozczochrane — wejrzenie dzikie — charakter nieunoszony:

lecz za dwie robiła, nie nużyła jój robota żadna, siłę miała ogromną, i nikt jój w służbie nie mógł nic zarzucić. Dobijano się o Sawanihę. Całą nagrodę w jój ciężkiem życiu stanowiło, że w niedzielę mogła pójść do swego panicza, i stojąc przy drzwiach lub siedząc na ławie, pomówić z nim, posłuchać go, czasem w głowę pocałować.

Gdy Godziemba pierwszy raz uchodził z Krystynopola, pamiętał o tém, aby Sawanisze się oznajmić... bo wiedział, że ona w światby za nim ruszyła, albo z tęsknoty się zapłakała... Ona go na trakt wyprowadziła sama i pobłogosławiła... Wróciwszy z Brühlem, poszedł znowu do niéj... Mamka była nierada zuchwalstwu, chciała mu nazad iść kazać, nie dał się Godziemba... Drugiego dnia, widząc że mu się nic nie stało, i ona się uspokoiła... Gdy potém nagle nie stało go, stara nie miała pokoju. Przeczucie jakieś mówiło jój, że coś złego wydarzyć się musiało... Korzystając z mnóstwa ludzi, jacy się jeszcze po weselu, około pałacu kręcili, Sawaniha się wcisnęła w dziedzińce a że ją z dawna dobrze tu znano, nikogo nie zdziwiło że się tu znalazła. Nieznacznie wypytywać zaczęła... nikt jój nic nie umiał powiedzieć. Niespokojna zaczepiła starostę, z którego oczu tylko wyczytać mogła, iż niedarmo się niepokoiła... Zarębskiego nie było co badać, ten nikomu nie odpowiadał nigdy, mruczał, kłął bił i popijał. Siedząc i kręcąc się około odwachu, a mając oko baczne

na wszystkich, Sawaniha napatrzała pokaleczonych żołnierzy... miała przeczucie jakieś, że od nich coś dowiedzieć się może. Jeden z dwóch ciurów, Semen Zawity, znajomy jój był jako pochodzący z tój samój okolicy... Sawaniha, niby z politowania obiecała mu ranę opatrzyć, dać ziele skuteczne i wygoić, poprowadziła do miasteczka... Tu opatrując mu głowę, kazała wódki postawić, i pojąc powoli dopytywała. Semen nie bardzo z razu chciał usta otworzyć, wódka je dopiero rozwiązała. Sawaniha o mało nie padła dowiedziawszy się co spotkało Godziembę — ale stłumiła w sobie gniew, i ziele dawszy Zawitemu — dostawszy języka gdzie umieszczono jój panicza... odprawiła do kordegardy.

Wyplakawszy się w kącie, nałamawszy ręk... myślała o ratunku... Do wojewody iść, paść mu do nóg, wypraszać, wiedziała że się na nic przyda... Mogła tylko zostać wychłostaną... Przekupić stróżów nie było sposobu... Sawaniha najprzód obliczyła co miała, powięzała węzelki swoje, uczyniła się chorą i za służbę podziękowała... Wkupiła się potem w komorne do Żydów, i rozpoczęła jakby żebracze życie... Wychodziła codzien zrana, wracała nocą, jadła kawałek chleba suchego z solą, popiła go wodą i na workach w kącio próbowała usnąć a spocząć.

Całą jój robotą było, włóczyć się około pałacowej bramy i odwachu... oglądać mury... lub w głębokim rowie pod mostem, siedzieć ukrytj.

Śniegi jeszcze leżały, ziemia była zamarznięta... Sawaniha w suchych krzakach i gałęziach nagromadzonych pod mostem miała przytulek... Tu jój nikt dojrzeć nie mógł... Oglądając bramę i rozpatrując się we wejściu do lochów, stara obrachowała, że piwnica w której jój drogie dziecko było zamknięte — musiała gdzieś ścianą, głęboką — przytykać do mostu... Nie zraziło jój to, że — jak jój opowiedziano — więzienie było pod ziemią. Z téj strony od parowu mur nie mógł już sięgać zbyt głęboko; rów zdawał się ułatwiać to, co Sawaniha zamyslała... Ze ślepą wiarą, że musi trafić tam gdzie ją miłość jój prowadziła — zaczęła w krzakach pod mostem powoli wyrąbywać zmarzłą ziemię, szukając ściany... Ścianę chciała choćby paznogciami wydrapać, i wyłamać w niój otwór, i dziecko swe uwolnić!!

Zamiar mógł się wydawać szalonym i był taki w istocie — ale miłość nie wątpi o nicém i daje siły, których pospolitemi nie można... Sawaniha od dzieciństwa nawykła była do łamania się z losami i wszelkiego rodzaju zawadami w życiu... Wolę i cierpliwość miała niezłomną... Nie przyszło jój na myśl nawet, że omylić się może, że cała praca na nic się nie przyda... wierzyła w to, że Opatrzność, że Święci Pańscy, że Siły niebieskie jój pomogą... Na targu kupiła dwie tępice, zbite siekiery, które do rąbania ziemi i muru starczyły. Śnieg, na pozór będący przeszkodą, służył jój po

odgarnieniu do przykrycia świeżej ziemi. Rachuba nie omyliła jęj... Wprędcie obnażyła ścianę... Mur był gruby, stary, zlany jak jeden głaz... Zwolna poczęła go łupać... Szła praca opornie, ale otwór się powiększał... Szczęściem przed bramą było pusto, i stukania jęj nikt słyszeć nie mógł... Od brzasku do późnej nocy Sawaniha biła mur cierpliwie...

Byłaby może i część nocy dla pośpiechu nie opuszczała swęj jamy, ale cisza panująca około pałacu nie dozwalała kuć tak bezpiecznie ściany jak we dnie. Niepostrzeżona, przesuwała się o świcie — a nie wychodziła ztąd aż zciemniało... Z nadzwyczajną energią zrazu niezręcznie, potem nabrawszy wprawy, stara po odrobinie wygrzebując gruz dobywała się do wnętrza... Przychodziło jęj na myśl, że praca być może nadaremna — ale wnet wiara w Boga i jakieś jasnowiedzenie macierzyńskie, odejmowało jęj zwątpienie... Otwór sięgał coraz głębiej... Sawaniha wkładała weń głowę i uderzając w ścianę, po rozgłosie starała się przekonać, czy gruby mur jeszcze dzielił ją od podziemia...

Jednego wieczoru... gdy przyłożyła ucho do cegieł, — usłyszała z wnętrza odpowiadające jęj jakby lekkie pukanie... Uszczęśliwiona poczęła gwałtownie, oszalawszy niemal rwać gruz i bić cegły... tego dnia jednak nic zrobić nie mogła... Noc nadchodziła, stara obwinęła się w płachty swoje, a że mróz był zelżał, nie odchodząc już do miasteczka

całą noc na 'próżnych spędziła posłuchach... Jak dzień — zaczęła pracować znowu i choć zmęczona i głodna, rozgorączkowana łamała cegły do wieczoru... Jedna z nich wreszcie potoczyła się do wnętrza... Stara chwyciła sterczące do koła gruzy i silnemi rękami wyłamała otwór... Dysząc z niecierpliwości... głowę wsunęła do czarnej próżni — wołając swoje dziecko... Chwila milczenia dla niej wiek trwała... ale głos słaby dał się słyszeć z głębi. Fadiejek jęł żył... dostała się do niego... była szczęśliwa...

Przebudzony ze snu, chory, pół żywy, z nadzieją wyswobodzenia się Godziemba odzyskał siły... Noc sprzyjała ucieczce, bo nocą nikt do drzwi nie przychodził... Otwór w murze był wysoki i ciasny, dostać się do niego, osłabionemu ciężko było... ale tam czekała go — swoboda...

Chwytając się chropawego muru, wdrapując i spadając — Godziemba w ostatku ręką mógł dosięgnąć otworu. Sawaniha chwyciła ją i niemal sama go wywlokła... W téj chwili podobna była do wilczycy ratującej swe szczenię... Zapomniała, że je pokaleczyć może... Poraniony, odarty, skrzwawiony Godziemba musiał, dobywszy się zewnątrz położyć na ziemi, bo na nogach ustać nie mógł. Przytomna stara z obawy, aby światła w otworze zawczasie się nie dopatrzone, zatkała go chrustem gałęzmi i śniegiem... Starczyło jęł sił jeszcze potem, aby dziecko osłabłe wziąć na barki i wy-

nieść je z parowu... Tu Godziemba orzeźwiony nieco, mógł już stanąć o swój sile i z pomocą Sawanihy iść dalej. Iść trzeba było natychmiast — iść i ślady zacierać za sobą na śniegu i zgubić je na gościńcu, aby nie zdradziły... potem znanymi ścieżynami szukać schronienia w lasach i gdzieś w litościwej chacie.

Ucieczka z więzienia była jeszcze mniejszą rzeczą niż uniknięcie pogoni... Nie wątpiła Sawaniha, że jeśli się nazajutrz rozgłosi ucieczka... na wszystkie trakty, po siolach polecą kozacy za zbiegiem. Mogło jednak przez dni nawet kilka pozostać tajemnicą, że więzień uszedł. Nikt posądzać go nie mógł o to, aby pomyślał o wydobyciu się z lochu... Stróż zwykle oknem we drzwiach spuszczał chleb i dzbanek z wodą i słowa nie mówiąc odchodził. Ledwie raz w tydzień otwierano drzwi i dowiadywano się o więźnia...

Ciemna noc dosyć szczęśliwie posłużyła Godziembie... zawieja śnieżna obiecywała zatrzeć ślady... Sawaniha złożywszy panicza pod ścianą szopy jakiś — sama pobiegła po swe węzełki i odzież do karczmy... Godziemba tak był znużony, tak się czuł chorym, że siedząc usnął... Obudziła go powracająca i zmusiła do dalszego pochodu nocnego...

Nazajutrz, ani dwóch dni następnych w Krystynopolu nikt nie pomyślał nawet o Godziembie. Zarębski dawno w duchu sobie powiedział, że —

zaczekać tam musi marnie... (Tak się wyrażał). Trzeciego dnia stróż, który nie słyszał głosu i nie otrzymywał odpowiedzi, przyszedł oświadczyć mruczając, że więzień albo chory, albo zmarł, bo się go dowołać nie można... W kilku tedy ze światłem zeszli do lochu...

Łatwo sobie wystawić osłupienie ich, gdy więzienie pustém zastali. Chciano zrazu stróża obwinić... nie pojmując co się stało, gdy ktoś w górze wskazał zatkany otwór... Przestrach się stał ogromny musiano wojewodzie raportować, obawiał się każdy — Zarebski zaklął się, że nie pójdzie.

— W złości wojewoda w mordę mi gotów dać... rzekł ponuro — a ja — jak Boga kocham, oddam i — jutro będę wisiał. Nie chcę...

Spadło to na starostę Zawideckiego, któremu łatwiej było zwiastować złą nowinę, bo on za nią nie odpowiadał — ale Zarebski.

Nazajutrz rano, gdy przyszło do rapportu stawać wprzód zbywszy inne sprawy powszednie — starosta oznajmił, że ma coś złego do powiedzenia — ale to co się stało, nie było jego winą.

— Zarebski z rozkazu Jaśnie Wielmożnego pana wsadził Godziembę *in fundo*.

— Cóż? zdechł? spytał wojewoda...

— Lepiejby zrobił, gdyby to uczynił — rzekł śmiało starosta...

— A cóż się z nim stało?...

— Uciekł...

Potocki zbladł, ale zdawał się nie wierzyć uszom...

— *Ex fundo?* uciekł? Któż mu otworzył?

— W ścianie dziura wybita...

Długo wojewoda nie odpowiadał ani słowa... patrzył, usta zagryzł... myślał... oczy całe zdawały się chwilami w białka obracać... cera żółkła... Wszechmogący pan... nie mógł pojąć zuchwalstwa, z jakim mu się ofiara wymknęła. Nie szło mu o Godziembę, ale o to, że powaga jego naruszona została.

— Kto winien? kto... pomógł? spytał cicho. Starosta nie na to odpowiedzieć nie umiał.

Nakazano jak najsurowsze dochodzenie — ale zarazem wojewoda zabronił mówić o wypadku i pragnął, aby go nie rozgłaszano... Zarębski tegoż dnia dostał abszyt i odprawę; czem się nie koniecznie zmartwił, bo mu wszakże dano jakąś konsolację... Stróża odesłano na wieś... loch *in fundo* kazano zamknąć i zarzucić...

O ściganiu jakoś mowy nie było nawet — gdyż zdawało się niepodobieństwem na ślad trafić — a może też sam wojewoda pragnął dalszej zemsty uniknąć... któraby zbyt wielki rozgłos miała... Wojewodzina gwałtowniej to uczuła od męża... i mściłaby się srożej pewnie, lecz po naradzie wspólnej postanowiono pokryć to milczeniem... Bebuś, który pode drzwiami, wedle obyczaju słuchał, przeląkł się straszliwie, gdy się dowiedział

o tém co się stało... Gęba mu tak świerzbiała, iż tegoż dnia, oprócz Beby, w garderobie wyspowiadał się z tajemnicy przed jedną panną, i pobiegł do Dumont z tą nowiną. Uradowała się niezmiernie Francuzka, dowiedziawszy się o szczęśliwój ucieczce Godziemby i postarała o to, aby uboczną drogą donieść pani starościnie. List poszedł niezwykle kresami, bo oddawszy go wojewodzinie, Dumont była pewna, że wprzód będzie rozpieczętowany i czytany, zwłaszcza że był do hr. Brühlowej, — ale przez pocziwego księdza, który podobne korespondencye zwykle madam ułatwiał...

O Sawaniszce mało kto w miasteczku wiedział — zniknięcie jój przeszło prawie niepostrzeżone. Spodziewano się kilka dni powrotu, potem w powszechne weszło przekonanie, iż ją gdzieś wilcy stadami właśnie się włóczący — bo to było około Gromnicznej — zjeść musieli. Myśl ta się tak dobrze przyjęła, iż opowiadano potem wypadek ze szczegółami... jak gdyby ktoś był jego świadkiem. Często nie inaczej tworzą się ludowe podania.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.





Biblioteka Raczyńskich

JK 916



JK0916